

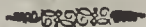
ORBEKA.

A ZEPHYRUS

ORBKA

POWIEŚĆ

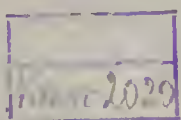
JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.



WARSZAWA.

Nakładem i drukiem S. Lewentala, przy ulicy
Widok Nr 1566a.

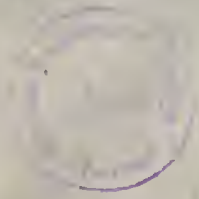
ОБЪЕМ



ИЗДАНИЕ ПОСЛЕДНЕЕ

Дозволено Цензурою

Г. Варшава 3 Октября 1868 года.



АКАДЕМИЯ

Библиотека Академии Наук
Варшава

300,-

1979 J 280

ROZDZIAŁ I.

Wiosieczka Krzywosielce, położona w okolicy Siedlec, uważaną była, pomimo małej, stosunkowo do innych dóbr tej okolicy, rozległości swej, za jedną z najpiękniejszych i najwygodniejszych na kilkadziesiąt mil kraju w około. Liczono ją do tych posiadłości, które u nas zwyczajnie złotemi jabłkami zwano; ryby, grzyby, mąka, łąka, wszystko w niej było, czego tylko zapragnęła dusza, wyjąwszy, jak mówią, ptasiego mleka.

Z owych jeszcze wieków, gdy stosunki dalsze były utrudnione, a ludzie zbliżyć się do siebie i towary nabywać mogli tylko na wielkich dorocznych targowiskach, pozostało nam to pojęcie dobrego majątku, przywiązane do ziemi, która mniejwięcej wszystkie skromne potrzeby ówczesnego życia zaspokoić mogła. W owych też wiekach każda niemal wioska, co najwięcej z pomocą blizkiego miasteczka, obchodziła się sama sobą. Życie było proste i niewykwintne, a te droższe przedmioty niezbędne, których dom własny dać nie mógł, dziedzictwem spadały z pradziadów, nawet aksamitne szuby po kilka z kolei wdziewało pokoleń, wcale się tego nie wsty-

dząc. Zbroje, choć drobniały barki, pokładano coraz grubiej łosiowemi kaftany, ale jeszcze je dzwigano, aż nieużyteczne, zardzewiałe zawisły spoczywać na ścianie. Szlachecki dwór odległych kątów prowincyj, jeszcze w XVIII wieku mieścił w sobie mnóstwo rzemieślników i wszystkie przemysły powszedniemu posługujące życiu, na małą skalę.

Sycono miód, wylewano świece, warzono piwo, tkano sukna i kobierce; na wsi sporządzały się płótna i bielizna stołowa. Dwór miewał swojego kowala, ślusarza, cieślów, stalmachów, stolarzy, krawców, szewców, mularzy. Nie byli to zapewne rzemieślnicy zbyt biegli i wykształceni, ale po nich wymagano trwałości roboty więcej niż wytworu i sztuki; wychodziło to może drożej, ale nie opłacało się gotowyni groszem, a pieniądź też był rzadszy i przeznaczaniem jego, aby nieco popluty szedł do mieszka. Tak się zbierały kapitały wprawdzie nie procentujące, ale nie roztrwaniane.

Otóż Krzywosielce miały to do siebie, że w nich właściciel mógł się sobie zamknąć, odosobnić i niczego od nikogo nie potrzebując, żyć tak, jak się to wówczas żyć było przywykło: bez zbytłych prywacyj i niedostatku pierwszych potrzeb średniego stanu. Mała wioska, ale zamożna, rozciągała się po nad rzeczulką, żwawo płynącą do Buga, po nad nią leżały prześliczne jęj łąki, okrążone majestatycznymi lasami, na pół czarnymi, wpół iglastymi. Zaoszczędzony starodrzew dosięgał tu nadzwyczajnych rozmiarów, których tylko na nizinach, jak Białowiezka puszcza dochodzi. Sosny kupowano na maszty, a na pniu dębu ściętego dwóch ludzi mogło się położyć i wyciągnąć nogi wygodnie. Pola wzniesione nieco, były żyzne i rodziły piękną pszenicę; ryb dostarczała żygawka rzeczulka i sadzawki około dworu.

Starzy dziedzice Krzywosielec dobrze też sobie byli obrali miejsce na zabudowanie dworu, i osadzili drzewa, które teraz otaczały go jakby gajem gęstym i zielonym: lip, klonów, kasztanów i jodeł.

Dwór był *more antiquo*, na podmurowaniu, ale drewniany, utrzymywano powszechnie, iż takie są zdrowsze. Drzewo wszakże, ścięte w porze, dobraną doskonale, wyschłe, stało jak mur sto lat, nie wypaczając się i nie zsiadając, a pan Bóg od ognia strzegł.

Zdała od grobli jedno tylko czoło, ciemne, poważne, z dachem ganku na słupach rzeźbionych widać było, przed nim, jakby na straży dworu, nieco opodał ntął ogromny krzyż drewniany, czarny, który ramiony stare drzewa przenosił; z gąszczy drzew dobyśpała się dalej skromna wieżyczka domowej kaplicy; po za drzewami kryły się gumna i zabudowania.

Nie było w tém wszystkiem nic szczególnego, nic coby zwracało uwagę osobliwością jakąś, przecież przejeżdżając każdy sobie powiedział, w duszę spojrzawszy: — Jak to tu dobrze i zaciszno być musi!

Tak, dawniej cisza, ten pokój, którego świat dać nie może, uważanym był za dar najdroższy; w ciszy chciano spędzać ten żywot Hiobowy, żywot prób i boleści, jak najmniej pragnąc, jak najmniej wywołując walk i przygód, byle się czysto i cało do brzegu wieczności przybiło! — Naówczas jeszcze była wieczność i nadzieja, dziś — ale to do powieści nie należy.

Człowiek brał za młodu do sakwy pielgrzymiej tę najgłówniejszą prawdę kierowniczą, że tu jest gościem krótkim, że tu kruche i wątłe wszystko, że żywot znikomy, on sam i ludzie słabi, że wszystko zawodzi, i że, jak Kochanowski śpiewał, cnota tylko skarbem, którego nikt nie zabierze!

Wszystko się mu też w tém świetle wydawało inaczej, rzeczywistość była dla niego snem, a wiara

w niebiosa rzeczywistością jedyną. Ztąd wcale inna cena rzeczy ziemskich i żywot prawie zakonny, bez jutra... na obozowisku!

Słabsi się zapominali na noclegach życia, ale bicz Boży chłósnał i szli dalej z pokorą. Nikt się do zbytku nie przywiązywał, do tego co roznamiętnia, rozgorączkowuje i oślepia człowieka na nietrwałość doczesnych rzeczy; szło się, byle z bogiem, w pokoj, a do dobrego końca. W takim też świecie wiele ruchu, krzątania, zabiegów być nie mogło. Po co się starać? na co ubiegać o to, co jutro rzucić się miało wśród drogi?

Dwór w Krzywosielcach i zdala i z blizka takiem się wydawał mieszkaniem człowieka, oczekującego wielkiej godziny powołania do sądu i przejścia na świat inny. Otaczała go cisza, dziedziniec zarastał trawą, jedna ścieżka do kaplicy cokolwiek była wychodzoną i jedna cienista ulica w ogrodzie. W domu ciemno, pusto, глуcho: jeden stary sługa, jeden chłopak do pomocy, stara klucznica i nienłody woźnica.

W ciągu roku i lat tak się tu mało co zmieniło; wszystko szło tak jednostajnie swoim porządkiem, ze zwykłym trybem podobnej organizacyi życia, — choć dnie czasem bywały nieznośnie długie, lata biegły jak strzały. Jednego od drugiego rozpoznać nie było można, ani dat pochwytać.

We dworze mieszkał od lat przeszło dziesięciu, zamknięty jak anachoreta, człowiek niemłody, ni stary, w wieku średnim (miał czterdzieści lat podobno), pan Walenty Orbeka. Choć nazwisko brzmiało z cudzoziemska i pochodzenie też może było nie tujejsze, rodzina ta bardzo już długie wieki gnieździła się w kraju, z nim zrosła i używała własnego herbu, a prerogatyw szlacheckich. Orbekowie mieli nawet wcale piękne kolligacye. Dziad był jakimś mie-

cznikiem, ojciec podczaszym ziemi Litewskiej, tylko pan Walenty, zwany przez grzeczność podczaszycem, niczem być nie chciał.

Za młodu, skończywszy wychowanie, rzucił się był w świat gorąco, ale widać, że się tam na nim oparzył, bo po śmierci ojca, wróciwszy do Krzywosielec, już się ztąd nie ruszył. Znajomości ani szukał, ani ich do zbytku unikał; przyjmował grzecznie, odwiedzał rzadko i to tylko z musu, aby nie chybić sąsiadom; mówił mało, nie znano w nim fantazyi żadnej, prócz że książki lubił i nad niemi całe dnie i noce przesiadywał. Grywał przytem na klawikorcie, a gdy mu czytania i muzyki na zajęcie czasu było mało, mówiono, że malował także, choć jego robót żadnych w domu widać nie było. W kaplicy odprawiała się regularnie Msza święta co niedziela i święto; uczęszczał na nią pan Walenty, a prócz tego odwiedzał ją i w dni powszednie, ale uważano, że siedział zamyślony, nie modląc się, bez książki.

Ze wszystkiego widać było, że na sercu jego spoczęła ciężka ręka boleści i niezgojone pozostawiła na niem rany; ale z życia jego przeszłego nikt nie prawie nie wiedział; — domysłano się tylko. Pan Walenty był zresztą człowiekiem wychowania pięknego, słodkim, uprzejmym, lecz jakby z postanowienia chłodnym i ująć się niedającym. Nikt z niego słowa gorętszego nie dobył. Jeżeli w pierwszej chwili objawił zdanie przeciwne w rozmowie, w rozprawy dalej i dowodzenia się nie wdawał i jakby opamiętawszy się cofał, milcząc uparcie.

Człowiek tego rodzaju, choć nie bardzo majątny, ale rządnym, nie stary, swobodnym, obudzał naturalnie nie jedną chętkę poznania go w ludziach bliżej zamieszkałych, nie jeden też projekt niewieścięj główki; ale to się okazało tak niemożliwém wkrótce, że o nim

później prawie zapomniano. Żałowano go, ubolewano nad nim, jak nad człowiekiem straconym. Tak utrzymywały panie.

Najgorętsze wejrzenia odbijały się od niego, jak od opoki; zdawał się ich niewiedzieć i nierozumieć.

Żresztą pan Walenty, acz poważny i milczący, wcale się nieszczęśliwym nie wydawał, ani skarżył, ani za takiego chciał uchodzić, owszem oświadczył wszystkim, że mu na wsi, wśród tego spokoju, dobrych ludzi, starych drzew, mierności dostatniej, wygodnie było i niczego więcej nieżądał, tylko żeby tak dokończyć cichego żywota.

Ciekawsi wiedzieli doskonale, (bo to w sąsiedztwie, a przy braku zajęć każda drobnostka obchodzi) jak pan Walenty dnie przepędzał. Raz na zawsze jeden tam był i prawie niezmienny porządek.

Wstawał nie rano w złą porę, na wiosnę i latem dość wczesnie, stary jego kredcencz i sługa razem, którego Jaskiem zwano, choć włosy miał siwe, przynosił mu kawę, a zastawał go już z książką w rękę najczęściej. Po tém śniadaniu, albo w ogrodzie pod lipami, lub w pokoju, czytał pan Walenty do obiadu który dawano obyczajem owych czasów, najpóźniej o pierwszej. Jedzenie było bardzo proste, a do niego szklanka czystej wody, lub rzadko jeden kieliszek wina. Po obiedzie zwykle grywał na klawikorcie do wieczora; szedł na przechadzkę, wracał na wieszę, o dwóch potrawach, i grał jeszcze, albo czytał do późna w noc. Czy że nie mógł sypiać, czy że mu cisza nocna do pracy była najwilsza, długo przeciągał czuwanie i dwie świece woskowe, które Jasiek mu stawiał, nie starczyły prawie nigdy; spalał jeszcze zapaśne, które zawsze przygotowano dlań na kominku.

Czasem, wśród nocy, ludzie słyszeli chód jego żywy po pokojach, lub dziwną jakąś, burzliwą grę na klawikorcie. Jedyną zmianą w tym porządku było, że się puścił z książką w lasy i z ołówkami na przechadzkę, a w takim razie często obiadu nie jadł, ograniczając się wieczerzą.

Zmuszony do wyjazdu na godzin kilka, powracał do domu z widoczną przyjemnością, z twarzą rozpromienioną i biegł zaraz do swoich książek. Nie miał on ich wiele, nowych kupował mało; trzymał gazetę jedną, najwięcej grzebał się w starych foliantach, które mu z różnych stron przysyłano. Pożyczał też po sąsiednich bibliotekach, w Kodniu, w Biely, a nawet w Lublinie.

Jasiek utrzymywał, że rzadko, lub prawie nigdy nie widział go pisać; robił notatki na małych papierkach, ale te potem garściami w komin rzucał. Komin ten, dniem i nocą podsycany olchowemi, suchemi drewkami, był wielką przyjemnością pana Walentego, nałogiem, bo nawet latem w pokoju bawialnym tłała zawsze kłoda olszowa. Ogień ten stawał mu widać za towarzysza; z książką na kolanach, z głową spuszczoną, patrzył w płomyki sinawe, zielone fioletowe, różowe, które tylko sucha olszyna wydawać umie w tak pięknych barwach, i dumał, a dumał bez końca. Jasiek, przywykły instynktowo do tej roboty, wchodził po cichu i gdy jedno polano gąsto, drugie podkładał.

W nocy znać on sam podrzucał drzewa, bo rzadko kiedy z rana na nowo to ognisko rozpalać było potrzeba.

W niedzielę szedł pan Walenty na mszę, siedział milczący, często zapominał się i dłużej od innych tu pozostał, ale nie widziano go, żeby mu się usta po-

ruszyły modlitwą. Czy źródła jej wyschły w nim, czy cała ona wewnątrz duszy się kryła? któż to wie?

Ksiądz Porfiry, Bernardyn, człek zacny i uczony, ba nawet Św. Teologii magister, który ze mszą do Krzywosielec przyjeżdżał, postrzegłszy ten chłód w człowieku, dla którego miał szacunek usiłował go trochę badać i duszę mu otworzyć, ale pan Walenty z wielką go cierpliwością wysłuchawszy, odpowiedział:

— Mój ojcze, nie sądźcie człowieka z powierzchowności, różne są usposobienia ludzkie, a często ten co usta ma zamknięte najrzewniej i najgoręcej się modli.

I ksiądz Porfiry, jako mądry kapłan, zostawił go w pokoju, jego wewnętrznej modlitwie.

Drugim razem, znając to jego życie, na pół żartem zagadnął:

— A już też, podczaszycen kochany, moglibyście śmiało wstąpić do klasztoru, bo i tak zakonne życie prowadzicie, a widzę u was i S. Bernarda i Summę S. Tomasza, i Bollardystów, i Chryzostomów i Auguśtynow, więc wam Teologia miła... Stworzeni jesteście do celi!

Pan Walenty się uśmiechnął.

— Gdybyż-to, gdyby tak było! — zawołał, — ale was znowu myślą pozory, mój ojcze. Nie czuję się ja godnym tego powołania, anim w takiej zgodzie z duszą moją, żebym ją mógł jako czystą złożyć Bogu na ofiarę. A kto wie, czy kiedy do tego dojdę?

Wskazał na dopalone zgłiszczce w kominku.

— Patrz, mój ojcze, — rzekł, — nie powiedziałżebyś, patrząc na te siwe popioły, że tam już iskierek nie ma pod nimi? Porusz-że je, a ujrzysz żar, który mocniej pali nad płomię, a dłużej nad nie trwa. Tylko że wiek przykrył go tym zimnym popiołem.

I ksiądz Porfiry, jako mądry kapłan, znowu zamilkł, ale sobie pomyślał:

— Biednyż to człowiek, jeżeli tam w nim takie żary pozostały.

A wieczorem na jego intencję odmówił litanią, po tém był już spokojny.

Tak się to wiodło w tych Krzywosielcach, a byli tacy, co panu Walentemu szczerze zazdrościli tego usłanego wygodnie gniazda i tak porządnie osnutego żywota. I nie jedna młoda i ładna panienka, patrząc zdala na mężką bladą, dość pięknych rysów i szlachetnego wyrazu twarz człowieka tego, który miał wiele uroku w słodczy charakteru, malującą się na obliczu, westchnęła sobie, myśląc: — Byłby dobry mąż z niego!

Ale w tém właśnie był sęk, że pan Walenty, grzeczny dla pań, jeżeli się z niemi spotykał, nieokazując im ani wstępu, ani obawy, jakoś tak zimno się obchodził, tak króciuchno kończył rozmowę, iż się do niego żadna przybliżyć nie śmiała.

W braku wiadomości o żywocie i sprawach tego tajemniczego sąsiada, krążyły wieści po okolicy, niewiedzieć z kąd pochwytywane, jedne dziwniejsze nad drugie; powtarzano je wieczorami, ale rozsądniejsi nie dawali im wiary. Kiedy niekiedy to pan sędzia Dostałowicz, to pan łowczy Wirczyński, to nawet podkomorzy Bukowiecki, odwiedzali pana Walentego w jego Tebaidzie, jak ją nazywał ks. Porfiry. Zastawali go zwykle u kominka, nad jakąś książką, albo przy klawikorcie, który zamykał śpiesznie, bo się z muzyką wcale popisywać nie lubił; przyjmował ich uprzejmie, prawie wesoło, dobrą kawą, owocami w lecie, czasem kielichem starego węgryzyna; rozmawiał żywo i okazywał wielkie wiadomości, ale do dna człowieka nigdy się dobrać nie było można. Każdemu

potém z łaskawych sąsiadów w tydzień, półtora, ceremonialną płacił wizytą za pamięć jego, i zabawiwszy godzinę, choć go tam zapraszano gościnnie, śpiesznie do Krzywosielec powracał.

We święta i dnie huczniejszych zabaw w zamożniejszych domach, jak u podkomorzego Bukowieckiego, u którego się bawiono wesoło, bo miał trzy dorodne i posażne córki na wydaniu, zapraszany listami, zawsze się nie zdrowiem lub interesami jakimiś wymówił, aby zgietku i tłumnej kompanii uniknąć.

Byli by mu zapewne wszyscy na ostatek dali pokój, zostawując jego losom, gdyż nikt dotąd na najmniejszą zmianę jego postępowania wpłynąć nie umiał, gdyby nie nadzwyczajny wypadek, który dołą szczęśliwego dotąd (inaczej nazwać trudno) pana Walentego wstrząsł i spokojem jego zachwiał — na zawsze.

Mówiliśmy już, że pan Walenty wypisywał sobie Gazetę Warszawską, nie zerwawszy do tyła ze światem, żeby go już nie z niego obchodzić nie miało; rzadko bardzo przybywało co z poczty, oprócz tego dziennika, po który raz w tydzień aż do Brześcia podobno posyłać musiano.

Często też gazeta przywiczona kilka dni przeleżała, nietknięta nawet, na stoliku, bo gospodarz czém innem zajęty, nie był jój ciekawym.

Jednego wieczora wszakże Jasiek, który ją przynosił, przerwał panu czytanie oznajmieniem, że z gazetą przywiózł służący gruby list z dużą pieczęcią.

Pan Walenty niezmiernie rzadko listy odbierał. Kazał więc go sobie podać. W istocie pismo zwrócić mogło nawet Jasia uwagę; była to ogromna koperta, bardzo starannie zaadresowana i zamknięta niepospolitych rozmiarów pieczęcią herbowną. Adres był po francuzku, bardzo dokładny, wyraźny, bez omyłki.

Pan Orbeka długo papier obraział w rękę, nim się go otworzyć ośmielił, wiedział on z doświadczenia, niestety, jak rzadko list zwiastuje dobrą nowinę, jak często złą przynosi; był przekonany, że zła czy dobra wieść, zawsze mu trochę spokoju duszy odbierze. Ale wreszcie potrzeba było zebrać się na odwagę, siwy Jasiek stał ze świecą i czekał, patrząc w oczy, i drugi towarzysz samotności pana Walentego, poczciwy jego przyjaciel, pudel Nero, siedział także przed nim, badawczo patrząc na pana, jakby strapienie jakieś dla niego przeczuwał.

Pan Walenty nie śpiesząc się oddał pieczętkę, wydobył sążnisty list, i, rzuciwszy na podpis okiem, przebiegł go wejrzeniem jedném, potem stanął jak wryty i niedając po sobie znaku ani smutku, ani radości, stał jednak za długo, jak na całkiem chłodnego i przytomnego człowieka.

Jasiek, który świecił, patrzył na pana i w końcu się uląkł tej jego skamieniałości, Nero począł łapą drapać go po nodze, jakby usiłował przebudzić. Walenty stał, myślał, w końcu zwolna list złożył na stole, skinął na Jaska, aby sobie odszedł, a sam po pokoju przechadzać się zaczął.

Nieumiejąc czytać, ciekawy stary sługa nie mógł tajemnicy pańskiej podpatrzeć, zrozumiał wszakże łatwo, iż się coś ważnego stać musiało. Dano wieczerzę, poszedł do niej obyczajem swym gospodarz, siadł, ale roztargniony nic nie wziął do ust i wstał żeby znowu chodzić po pokoju, prawie do białego dnia.

Nero, który znał pana doskonale, zrazu mu w przechadzkach tych towarzyszył, jakby okazując współczucie i pewien niepokój, potem w ostatku poszedł na swe zwykle miejsce przed kominem i kilka razy głęboko westchnąwszy, usnął.

Nad ranem Jasiek znalazł pana ubranym wcześniej niż zwykle, i na nogach, w głębokiem zamysleniu; a gdy przyniósł kawę i chciał odejść, pan Walenty go zatrzymał.

— Słuchaj-no, mój Janie, — rzekł, — będę musiał naczas jakiś wyjechać do Lwowa i do Warszawy, a tu u nas podobno do podróży nic niema. Wątpię, by która bryczka wytrzymała; konie stare... no, i Hrysza... jak go tu brać w drogę, kiedy niedowidzi? a prawdę rzekłszy, konie jego prowadzą, a nie on je.

— A już to wszystko prawda, — odparł Jasiek, — bośmy się bardzo doma zasiedzieli. Ale chyba, z przeproszeniem pana, że o to pytać się ośmielam, nie ma tam w tém nic złego?

Pan Walenty łagodnie się uśmiechnął.

— Mój kochany Janie, — rzekł, — nie młody jesteś; wiesz to dobrze, że człowiek nigdy wyrokować nie może, gdy mu się co stanie, — czy to na dobre, czy na złe wyjdzie, i któż to wie? Złe często się obraca w najlepsze, dobre w nieszczęście. Ale po ludzku biorąc, to co mię spotyka, złem nie jest. Wolałbym może, aby się to nie stało, ale przeznaczonem widać było. Gdybym ci mógł powiedzieć o co idzie, byłbyś może bardzo uszczęśliwiony, — a przecież...

Jasiek złapał pana za nogi, a Nero, widząc go tak pieśzotliwie przystępującego doń, z łapami skoczył na kolana, bo był bardzo zazdrośny.

— A, mój ojczu! jeżeli tak, — zawołał Jaś, — powiedzcież mi, co to jest?...

— Niepotrzebne ci to, — rzekł pan Walenty, — ależ wkrótce dla nikogo tajemnicą nie będzie. Rzecz bardzo prosta: mój dziad miał brata we Lwowie, pochodzimy bowiem z rodziny Ormiańskiej, ten brat miał syna, który mi wypadał stryjem. Był to bardzo

majętny kupiec, bezdzietny, do którego się dlatego nigdy nie zgłaszał, aby ludzie nie posądzali o chciwość. Stryj umarł, zostawił parę milionów majątku, kamienicę we Lwowie i w Warszawie i wszystko to mi zapisał. Cóż ty na to?

Jasick, którego pan Walenty posądzal, że plaśnie w ręce, że się gorączkowo rozraduje, stanął ze zwieszoną głową.

— Może to być dla was wielkie szczęście, rzekł chłodno i powoli — ale, ja stary, ja głupi, to tam ja-koś inaczej rzeczy biorę. Było ci mój drogi panie dobrze i spokojnie, usłałeś sobie gniazdo jakiegoś chciał, nikt ci nie przeszkadzał, życie płynęło jak u Boga za piccem, chleba nie brakło, na wygodach uczciwych nie zbywało, choć zbytku nie mieliśmy. Cóż ci przy-będzie z tego milionowego majątku? oto może zazdrość i natręctwo ludzi, fałszywi pochlebcy i podstępni przyjaciele, nad których ja i Nero, cośmy ci służyli dotąd pewnie lepsi jesteśmy. Więc bądź co bądź, daj wam Boże szczęście przy nowej doli, ale ona już tém, czém te spokojne dni wasze były, nie będzie.

Pan Walenty wstał i uściskał go.

— O! masz zupełną słuszość, zawołał żywo — wypowiedziałeś tylko to co ja od wczoraj myślałem. Serce mi bije, wyrywa się, owłada mną już ta gorączka złota i siły, czuję się zmienionym, innym, gorszym. Kto wie czy pohamować się postrafię, czy użyć będę umiał tego majątku, czy?..

Zakrył sobie oczy, a Nero widząc niezwykaj-ne wzruszenie pana, aż skomleć począł, stary zaś Jasiek, któremu o łzy nie było trudno, po prostu się rozpłakał. —

— Jest-to próba, której poddać mnie podobało się Bogu, rzekł pan Walenty, dobędę z siebie od-

wagi i postaram się jęj podolać. Proszę cię mój stary, wiadomość zachowaj dla siebie.

Jasiek ścisnąwszy pana w milczeniu za kolana, odszedł, a Orbeka zadumany wziął, niewiedząc co robić, gazetę ze stolika, i pierwszą rzeczą na którą padły oczy jego, była następująca wiadomość:

„Piszą nam ze Lwowa, że bogaty kupiec tamtejszy, ze znamienitéj i starożytnéj familii Ormiańskiej Orbeków pochodzący, Rajca i Sekretarz J.K.M. pan Piotr Orbeka, zmarł dnia 5 maja, po krótkiej chorobie, mając lat wieku 65. Majętności swe w kapitalach gotowych, summach na dobrach zahypotekowanych, różnych kosztownościach we Lwowie przy ulicy Syxtuskiej, jako też w Warszawie na Podwalu, nie mając bliższej rodziny przekażal wszystkie testamentem synowcowi swemu, w okolicach Siedlec mieszkającemu, w dobrach dziedzicznych Krzywosielece. Pan Walenty Orbeka, spadkobierca nieboszczyka, znanym był i u nas w Warszawie przekilkunastu laty, jako jedna z ozdób salonów stolicy i człowiek nauki miłujący, dla których swobodniej, szego uprawiania, całkiem się w wiejskiem ustroniu od niejakiego czasu, zakopał.“

Korespondencya ta była przykrą panu Walentemu, przekonywała go bowiem, że cały kraj już ma na niego zwrócone oczy, że mu naprowadzi natrętów bez miary, i że jego dni samotne bezpowrotnie się skończyły.

Jakoż nie daléj, jak z południa tegoż samego dnia, landara podkomorzego Bukowieckiego już się zatoczyła przed ganek Krzywosielecki, a otyły sąsiad wydobyty z niéj z pomocą bratanka i sługi, wpadł z głośném, gotowém powinszowaniem do skromnego domku, wołając:

— A niechże tego szczęśliwego człowieka uscis-
kam... a witajże nam Krezusie nasz! Niechże przy-
patrzę się, jakie to na waszeci uczyniło wrażenie,
bo mnie — szelma jestem (było to przysłowie pod-
komorzego) podobna wiadomość nabawiłaby nieza-
wodnie apopleksyi.

Na panu Walentym prócz smutku i zakłopotania
nic nie widać było, podkomorzy też spostrzegłszy,
iż do innego tonu nastroić się wypadło, wysapawszy
się po wyściskaniu gospodarza, spowaźniał równie
i wziął się do przywodzenia zdań o znikomości rze-
czy światowych..

Podkomorzy bowiem, acz całe życie pędził
w huczném gronie licznej rodziny i przyjaciół, roją-
cych się około córek na wydaniu, dwóch kuzynek
mających w jego domu i rezydentki je-
dnej nadzwyczaj pięknej, acz nie poważnej — choć
mało czytał i zdawał się nie mieć wiele czasu do my-
ślenia, był bardzo rozsądny i praktyczny. Wiedział
on, jak z kim począć, co komu powiedzieć, jak się
do humoru zastosować i ująć sobie człowieka.

— Mój mości dobrodzieju, rzekł po chwili prze-
rywanéj rozmowy, waćpan dobrodziej lepiej to pe-
wnie wiesz odemnie, że jak są *gratiae status* (łaski
stan) tak są i *onera status* (ciężary stanu)... Majątek
znaczny wkłada też wielkie obowiązki i publiczne,
mości dobrodzieju i społeczne, to darmo. Nie na
to się go ma, żeby się lepiej jadło i piło, a wyżej
głowę darło, lecz aby się służyło nim i krajowi
i braciom. Więc też darmo, nie usiedzisz asindziej,
szelma jestem, w Krzywosielcach nad swemi książ-
kami, musisz sobie i kółko pewne, ba i towarzyszkę
życia *sociam vitae* dobrać, i...

Pan Walenty głowę spuścił.

— Na to tylko odpowiem panu podkomorzemu, rzekł, iż mi pono z nowemi obowiązkami i nowém życiem tak już dobrze i spokojnie nie będzie, jak mi tu przez te lata w Krzywosielcach było.

Westchnął.

— A to darmo! w pół żartobliwie dodał Bukowiecki, *accipes onus pro peccatis*, (weźmij ten ciężar za grzechy). Ej! ej! szelma jestem, cieszyłby się nie jeden, gdyby na niego to brzemie spadło!

Do niczego tak ludzie nie lgną jak do szczęścia, niech się ono zjawi gdziekolwiek, leć jaónaz ogień; gdyby tak do niedoli, gdyby taksp ze włók uciem i pomocą! Niestety...

Jeszcze podkomorzy nie wygadał się, gdy trzask z bata, zajechał pan Łowczyr Wirczyński długa, chuda figura, śmiejąca się zawsze i uchodząca za dowcipną, ongi członek palestry lubelskiej w sąsiedztwie pospolicie zwany Wygą.

Od progu począł bić pokłony i sypać powinszowania zabawne. Mimowoli podkomorzy zobaczywszy go ramionami jakoś ruszył, nie lubili się bowiem, i rzekł w duchu. — Jest już, jak na lep... a Łowczy też pomyślał.

— Już go tu przyniosło, sądzi pewnie, że go dla której córki schwyty...

— To tylko jedno asindziejowi powiem, odezwał się Łowczy, że nie ślepa *fatalitas* jak nniemali poganie rządzi światem, ale rozumna Opatrzność, i że *quidquid fit*, staje się zasłużenie. Nie mogła fortuna lepiej paść jak na naszego Sokratesa Krzywosieleckiego. Zatem, *gaudeamus* i *Te Deum laudamus*.

Niedokończył jeszcze, bo mu się na daleko dłuższą perorę zbierało, gdy cichutkenko wsunął się Sędzia Dostałowicz, człek małomówny, żółty zazdrośny, podejrzliwy. Obeszło go to także, iż znalazł

już podkomorzego i Łowczego, bo każdy acz sam jechał, brzydził się innemi dworakami złota, wszakże pokrywszy w sobie to wrażenie uściśnął rękę gospodarza z wielkiem uczuciem, i zdobył się na kilka słów powinszowania.

Z sędzią Dostałwiczem przybył nawet ksiądz Porfiry, który u niego gościł, aby panu Walentemu złożyć życzenia, a może *data occasione* (przy podanej zręczności) i konwent przypomnieć.

Biedny kieżyna winszując rumienił się sam, że należał do tego grona ludzi, co złotemu cielcowi przyszedł biec pokłony. Najprzykrzejszego wrażenia doznawał pan Walenty, czuł on w duszy, że te grzeczności, te pochlebstwa i czułości nie dla niego były, ale wciąż siły którą posiadał, potęgi tej grosza, tak niezłamanej i strasznej w rękach złych i słabych ludzi. Przerażało go to dla samego siebie, co chwila bowiem jaśniej postrzegał, jak ciężko mu będzie zadaniu życia podołać.

W takim dniu, już dla samego obyczaju krajowego, na sucho się obejść nie mogło, choć pan Walenty nie cierpiał pijatyk i częstowania. Musiał wszakże kazać podać parę butelek starego węgrzyna, i parę flasz niemniej starego miodu.

Wieczór był cudny, majowy, goście zasiedli w ganku, czas schodził szybko na gawędzie ożywionej, byliby może przydłużej zabawili, gdyby w końcu milczące usposobienie gospodarza, nie zniewoliło ich do odjazdu. Czuli, ile ten człowiek miał do myślenia, może do walczenia z sobą, dyskrecya kazała poszanować ten poważny smutek, acz dla pospolitych ludzi niezrozumiały. — Podkomorzy, zaprosiwszy wszystkich na gospodarski obiadek pozajutro, ruszył się pierwszy, za nim inni, i choć pan Walenty zapraszał gościnnie na wieczerzę, nikt nie pozostał.

Po wyjeździe gości, zmęczony Orbeka wyszedł na ganek ku ogrodowi, ze swoim pocziwym Neronem.

Turkot bryczek niknął w oddali, cisza wiosennej nocy, stara znajoma, otaczała go znowu. Przed nim obłany światłem srebrzystem księżyca, rozciągał się ów ogród stary, szumiący niezrozumiałą modlitwą, po którym lat tyle, dni tyle, wieczorów tylcsamotnych przechodził, nie domyślając się nawet, by go cokolwiek z tego zielonego kąta wyrwać znów na świat miało.

Teraz więcéj niż kiedykolwiek czuł on wartość tych dni upłynionych, téj swobody niezakłóconéj niczem, téj złotéj tęsknoty pustelniczéj, na której skrzydłach dusza leci po nad światy!

Ze łzami na oczach prawie, powolnym krokiem zszedł do swojego ogrodu. Tu wszystko doń znajomym jakimś, zrozumiałym mówiło głosem; i śpiew słowika i drzew szumy dalekie szemranie wody obracającéj młyn i piosenki pastusze i klekotanie bocianów układających się do snu, zlewały się w jakieś istne Oratorium ziemi pełne mistycznych dźwięków. Tu i jego dusza umiała się złąć i połączyć z chórem powszechnym stworzenia do zgodnéj pieśni ku Bogu i niebiosom. Wieleż to niezabytych chwil ciężkich tu przybył. ukołysany tą harmonią powszechną do spokoju, jakiego świat dać nie może?

Pamiętał on te godziny walki, gdy mu nieposłuszna dusza wspomnieniami oszalała, rwała się z gniazda w świat znowu, gdy wszystko czem życie mami, widmami jasnymi przesuwalo się przed nim, wabiąc ku sobie... gdy znękany, zbolaly, opadał nasilach i zostawał wrosły do tego kąta ziemi, który mu tylko szare dni ciszy miał do dania.

A teraz, gdy wrota na oścież stały otworem do wyjścia, droga złotogłowy usłana, jak straszno przestąpić było ten próg wyżłobiony w dniach dumań,

po za którym wrzał bój ze światem, z sobą, z ludźmi, namiętnościami, fałszem lekkomyślnością.

Pan Walenty raz już przebiegł był po żarzących węglach innego żywota; młody, pełen ufności, a raczej niedoświadczenia, na dnie tych zachwytów młodzińczych znalazł on gorzkie męty zawodów. Serce ludzkie, ten drogi kamień tak jasny, roztopiło się w jego dłoni jak lodu kawałek na trochę wody mętnej, w którą gorzka jego łza spłynęła.

Spróbował on świata, ale się nie zużył, w piersi zostały mu posypane popiołami pragnienia gorące, czuł się niepewnym, słabym, wiedział z pewnością prawie, że głowa mu się zawróci, że będzie nieszczęśliwym.

Ale życie, ach to życie, nawet w boleściach ma uroków tyle!

I rumienił się sam przed sobą biedny Orbeka, widząc, że tym wiatrem co go na fale popycha, była garse złota szyderczo przez los nań rzucona.

Było coś szatańskiego w tej próbie, na jaką został wystawiony, szczęśliwy, spokojny, lub uspokojony przynajmniej, odrętwiały, zastygły... czuł się porwanym siłą fatalną z tego portu na morze.

Kilka razy powtórzył sobie: — Dlaczegożbym nie miał się wyrzec wszystkiego i tak jak jestem pozostać?

Ale słabość ludzka jest najstraszniejszą z sofistek; ona mu odpowiedziała.

— Dlaczegoż, jeśli ci to złoto ciąży, nie masz go użyć i rozporządzić niém lepiej niżby potrafil inni? Rozrzuc je, rozdaj, rozsławaj rozumnie.

Łudził się biedny.

Wśród tych myśli upływał późny wieczór, noc już była; ogród oblany rosą, w której perłach gdzieś niegdzie księżyc połyskiwał, pełen woni, cienia

i śpiewów ptaszęcych, zdawał mu się rajem, z którego miał być wygnanym.

Przypominał sobie przechadzki swe, marzenia i muzykę i malarstwo i książki.

— A to są jedyne przyjemności życia — rzekł, po których nie ma przesytu, nie zostają męty, wiecznie się pije i pragnie, a dusza wychodzi czystą, coraz przejrzystsza, coraz silniejszą, jakby przysposobioną do lepszego świata.

Zerwał gałąź bzu, która go oblała chłodnemi łzy nocy i deszczem zwiędłych kwiatuszków, i powlókł się do swojego klawikordu. Leżała na nim ulubiona sonata Beethowena, jedna z tych jego ostatnich, natchnionych walką niewysłowioną uczuć i myśli w chaotycznym boju, ból ścigający rzucających się ku Bogu. Było w niej całe życie człowieka. Allegro jego młodości, świeże i wonne, Largo rozkochane, Menuet uczty i wesela, potem jakby na szyderstwo urywek pogrzebowego marsza i finał pełen marzeń i tęsknot starości, choć pełen jeszcze niedogorzałego życia.

Dla Orbeki ta sonata była niemal własną jego historią, wyśpiewaną mu jaśniej, niż on sam wypowiedzieć ją umiał, usiadł i palce same pobiegły po klawiszach z tą niewysłowioną energią, jaką ma człowiek tylko w wybranych chwilach życia, czując się spotęgowanym, jakby czemś wyższem nad siebie, czemś od siebie samego lepszem.

A gdy skończył grać, postrzegł się dopiero, że po rozpalonej jego twarzy, strumieniem płynęły łzy gorące, łzy, jakich dawno nie ronił. Zlewał on niemi tę drogę którą miał przechodzić, która ciągnęła go a była dlań straszną, kusila go i przerażała, wabiła i odstraszała razem.

Ale już stary człowiek wczorajszy, ustępował z jego piersi, nowemu nieznajomemu! O! bo upoka-

rzajaco słabym jest człowiek, nawet gdy zna tę nędzę swoją; zewnętrzne wpływy jak taranem rozbijają kruchy mur jego przekonań, wali się co bronić miało, płacze się nad ruiną, i ustępuje zwycięzcy.

Z przerażeniem postrzegł pan Walenty sam zmianę jaka w nim zaszła; nie był sobą, czując jeszcze, że nim być przestał. Marzył, pragnął, upojonym był i nieowładnął wolą swoją.

Te mary wszystkie, które dawniej nie śmiały progu przestąpić i nikły przed jego zimną twarzą, teraz ośmielone, uzuchwalone, szyderskie, siadały mu na piersiach i głowie naigrawały się spętanemu, wkładały nań więzy i wlokły.

Marzył a marzenie zabija, truje i poi. Napróżno usiłował odpędzić widma, nie miał w sobie téj siły wczorajszej, która go przeciw nim zbroiła.

Wstał z załamanemi dłońmi od klawikordu, blade, rozgorączkowany.

— Stało się, rzekł w sobie, a więc nowa życia próba, próba bez wiary, bez jutra, bez miłości; stypa ostatnia, pogrzeb spokoju i ciszy rozmodlonój. Pochłonie burza?... pochłonie. Cóż że jedno więcej zginie piasku ziarno utopione w morzu?

A z ganku od ogrodu, śpiewały mu słowiki w bzach pieśń pożegnalą, i wiatr oblewał go wonią wiosenną lasów, a księżyc odziewał krajobraz jakby srebrnym całunem.

Podkomorzy Bukowiecki jeżeli chciał wystąpić, to — szelma jestem — potrafił. Bawiono się tam często, bo młodych dziewcząt dwór był pełen, to też zabawa, goście, uczta, tany, kuligi, świąteczne skrzypki, imieniny, urodziny, anniversarze, majówki, obżynki, obsiewki, nigdzie tak nie bywały świetne, tak wesołe, i udatne jak tutaj. Dwór miał już tę tradycją wesołej gospody, że się w nim nikt nie zląkł

ani przed obiadem przybywających niespodzianie dziecięciu osób, ani najeżdżającego kuligu. Sama jejmość, podkomorzy, panny umiały tak urządzić wszystko, że się nigdy nie postrzegło najmniejszego zakłopotania.

A gdy już się miano czas na przyjęcie przygotować, to wystąpiono co się zowie. Podkomorzy miał swoich dostarczycieli, ryby wkoszach, zwierzynę pewną, przysmaków zapasy, a nawet muzykę na zawołanie.

Kapela to była niewykwintna: pierwszy skrzypek, na jedno oko ślepy żydek, ale artysta, choćby go do Warszawy posłać, to by się nie powstydział, klarncistów dwóch również starozakonnych, z tych jeden fenomenalny, basetla huczna i namiętna — w dodatku bębenek. Więcej trudno na wsi wymagać. Mieli to do siebie wirtuozi, że często po osiemnaście godzin grając z rzędu, spali wszyscy, a dlatego swoje robili, ot tak już mechanicznie, z nałogu. Tylko pierwszy skrzypek nie sypiał, ale za to pijany był zawsze, co mu ognia dodawało. Nikt tak mazura nie potrafił zagrać jak on, same nogi się rwały, pedagryści wybrykiwali, jakby skrzypce były o wemi — co to wiecie — zaczarowanemi.

Aronka też często młodzieź całowała w entuzyazmach, i kochały go panny, mimo że jednego oka mu brakło i nie ładnie miał je zasunięte włosami i jarmułką.

Po naradzie z podkomorzyną, która ani tuszą, ani humorem nie ustępowała mężowi, naradzie tak tajemnej, że żadna z panien nawet przez dziurkę od klucza nic podsłuchać nie mogła, bo rozmowa toczyła się po cichuteńku — obiad na który zaproszonym został Orbeka, postanowiono uczynić bardzo wystawnym.

Matka tę tylko uwagę zrobiła mimochodem cór-

kom, że mogłyby na ten dzień wziąć liliowe z różowym sukienki, świeżo sprowadzone z Warszawy. Panny różnie to sobie tłumaczyły i uważały za znak wielkich, wielkich jakichś zamysłów.

Po szczupaka, którego w koszu zabrakło, posłano umyślnie biedką do Kodnia, z kąd i mięso świeże przyjechać miało. Przygotowania były takich rozmiarów jak na imieniny, kielich nawet zwany *Philosophorum*, z powodu, że na nim Sokrates, Plato i Arystoteles byli wykonterfektowani, dobyty został z pudełka safianowego, w którym zwykle spoczywał.

Wszystko się jakoś nadspodziewanie składało. Lajzorek arendarz o niczem szczęśliwie na tę ucztę nie wiedząc, przywiózł ogromnego węgorza, na którego widok dusza gosposi się rozradowała, postanowiła go dać z rodzenkami i sosem podpalanym, a kucharz przyrządzał w ten sposób delicyonalnie. Około południa w wigilią, znowu nad wszelkie spodziewanie, przywiózł leśniczy Sapiieżyński, któremu pozwalano kosić łąkę na granicy, ogromnego rogacza. Comber i pieczeń z rożna ze śnietaną, drugi półmisek przeWyborny, gospodyni chodziła podśpiewując. Już mniej się troszczono o szczupaka, który miał być wedle programu dany z szafranem, ale choćby go i zabrakło, można się było obejść bez niego. Słowem jednym sposobilo się do wieczora wszystko jak z płatka, gwiazdy pomyslnie świeciły téj sąsiedzkiej uczcie wyraźnie. Ale często los sobie tak drwi, mówiąc po prostu, z człowieka, dopuści go prawie do źródła spragnionego, a dopiero za kołnierz uchwyci i — wara!

Podkomorzy siedział w ganku po obiedzie i podśpiewywał palcami bębniąc, po stoliczku, na którym kawę mu podać miano, tę kawę wiejską z kożuszkiem

prawdziwym, do migdałami lukrowanych sucharków, kawę naszą, jakiej nikt nigdy nie pił zagranicą.

W tem tuman pyłu zwrócił jego uwagę. Na wsi w długie dni samotne, tuman pyłu na grobli zdaleka ujrzany, stanowi zagadkę, nad której rozwiązaniem czasem cały dwór domysłność swą wysila. Wychodzą wszyscy na ganek, pan, pani, dzieci, słudzy, czeladź z folwarku, chłopcy ze stajni, każdy przypatruje się, domysła i usiłuje odgadnąć; pył się przybliża, widać konie, potem powóz, ale często bywa to tylko zwodnicze owiec stado...

Tym razem podkomorzy był sam; wstał, rękę przyłożył do czoła, oczy zmrużył i zawołał: — Szelma jestem, goście! Ale goście! dodał po chwili. I zawołał jejmości.

Jejmość wyszła, popatrzyła i uderzyła w rączki pulchne. — Powóz, żółty nawet, ale któż to może być?

Wnet i cały dom był w ruchu, tymczasem zbliżała się ta zagadka coraz bardziej, pokazała się karetka bombiasta, żółta, konie pocztowe, tłumoków przed, za i na powozie co niemiara.

— Szelma jestem, baby! zawołał niegrzecznie podkomorzy, bo rupieci wiele, ale kto?

Poczęto odgadywać, napróżno; w istocie trudno się było tego gościa domysleć, który przybywał za węgorzem i rogaczem, ale daleko mniej od nich pożądanym.

W każdej rodzinie są krewni mniej więcej dalecy, bo gubieni po świecie, często tacy, których niebardzo by się odszukiwać chciało.

Jedną z takich kuzynek, była siostrzenica samiej pani, sławna z wdzięków i zalotności, niegdyś panna Palmira z Wyhołowiczów baronowa von Zughau, potem podczaszyną, Braclawska Sierocińska. dziś

podwójna rozwódka, niewiasta wielką rolę grająca na warszawskim bruku. Była to istota, jak utrzymywano, czarująca, ale nad wszelki wyraz płocha i zalotna; miłosnych jej intryg nikt zliczyć nie umiał, sięgały one wszystkich kraju prowincyj, zagranicy i przeróżnych sfer społecznych. Kochało się w niej wojsko, duchowieństwo, dygnitarze starzy, młodzi, panowie, poeci, artyści, bankierowie. Pani Palmira (pospolicięj zwana Mirą), mimo doznanych tylu przygód, które w szesnastym roku życia rozpoczęły się, nie miała nad lat dwadzieścia i pięć; była w kwiecie młodości, wdzięków, w rozkwicie dowcipu i umiejętności bałamucenia, którą podniosła do tak wysokiego stopnia, iż szła o zakład, że każdemu komu zechce zawróci głowę. Bawiło ją to niezmiernie, gdy przywiodła mężczyznę do szału i zapaniętania, a prawdę rzekłszy, to tylko jedno może stanowiło cały życia jej cel i interes.

Rozwódka, swobodna, dosyć majątna, przynajmniej tak z życia jej sądzić się godziło, trawiła żywot w sposób najdziwaczniejszy, widywano ją z kolei to u wód, to w stolicy, to na wsi, to najdalsze przedsiębiorając podróże, a wszędzie, gdziekolwiek zjawiała się, ciągnął za nią szereg wielbicieli. Bez tych obejść się nie mogła, gdy armia ta ją opuściła natychmiast rekrutowała sobie nową, a przychodziło jej to z największą łatwością. Zresztą równie łatwo potem pozbywała się śmiechem i obojętnością, lub szyderstwem natrętów.

Mira była małego wzrostu, (choć na wysokich korkach nosiła trzewiczki), nader zręczną, okrągłą, białą i różową jak cukierek; włosy blond, jasne nieco, na czerwoną barwę zarywające, twarzyczka dziecinna, okrągła, z dołkami od uśmiechów, ząbki jak perełki, rączki jak u dzieciny, nóżka do

śmieszności malutka. Ale to rysopis paszportowy, który nie jeszcze nie mówi; nie dają się opisać oczki jęj, figlarne wejrzenie, to tęskne i łzawe, to uśmiechnięte i puste, zmienny wyraz lica, po którym jak w dniu wiosennym migały chmury i pogody, przelatywały łzy i uśmiechy, groźby i obietnice. Nic na świecie ruchawszego nad tę twarz widzieć nie było można, często gdy spuściła główkę smutna, w chwili podnosiła ją już jakby czarodziejsko zmienioną na roztrzepaną. Śmiech i płacz w jęj duszy zdawały się trzymać za ręce. Czasem zła była jak szatanik, niekiedy jak anioł dobra i łagodna, łzawa, litościwa.

Fantazyja rządziła jęj sercem i życiem, gdy czego zapragnęła gotową była na największe ofiary dla osiągnięcia celu, a w chwilę potem łzami okupiony skarb rzuciła na drodze i deptała nóżkami. Tak postępowała z uczuciami, z ludźmi, ze wszystkim, co się w jęj rączki białe dostało.

Z wadami temi, niestety! Mira była zachwycającą, można się było do nięj przywiązać, oszaleć dla nięj i umrzeć, mówiono też o kilku co życiem przypłacili miłość, ale ona wzdychała tylko nad ich losem, wcale się nie myśląc odmienić ni poprawić. Zdaje się też, iżby to było i zapóźno i napróżno.

Pani podkomorzyna od bardzo już dawna nie widziała kuzynki, a nie życzyła sobie wcale jęj odwiedzin, bo naganiała głośno postępowanie i niechęcia córkom dać złego przykładu, który tak jest zaraźliwy. Dwa rozwody i kilkanaście intryg czyniły ją dla wiejskich prostaczków, — kobietą przerażającą. Można więc sobie wystawić zdumienie, nieukontentowanie, zakłopotanie gospodarstwa, gdy Mira wyskoczywszy z powozu jak ptaszek, ze śmiechem i łzami, przypomniała się im nagle.

Państwo podkomorstwo stali oboje w niemém

osłupieniu, on sam szczególnież ze względu na obiad jutrzejszy, zaproszonych gości i Orbekę był zafrasowany.

Piękna pani łatwo dostrzegła po twarzach, iż ją tu nie z wielką radością witano, ale to było dla niej zadanie do przewyciężenia, nic więcéj. Ona tak umiała sobie zyskiwać serca, iż nie zwątpiła na chwilę, że najdalej do wieczora wszystkich zbałamuci i głowy im pozawraca.

Szczebiocząc, podskakując, rozczulając się wspomnieniami rodzinnymi, Mira przylgnęła naprzód do podkomorzego i w pół godziny go udobruchała, potem nieznacznie zwróciła się do jejności, którą pochwyciła za serce płacząc nad wspomnieniem matki, babki i familii. Naostatek pochwyciła panny i pobiegła z nimi trzpiocząc się do ogrodu, jak dziecko spragnione prostéj wiejskiéj rozrywki.

Gdy odeszła, podkomorstwo długo siedzieli na-przeciw siebie milczący.

— Szelma jestem, rzekł wreszcie podkomorzy wzdychając, musieli tam to biedne kobiecisko ogadać niesłusznie, ona mi się bardzo wydaje miłą i serdeczną.

— Właśnie, żem toż samo powiedzieć chciała, odezwała się podkomorzyna, nie może być, żeby nasza Mirka taką była, jak ją nam złe języki obmalowały.

— A powiadam asindzce, moja panno, dodał podkomorzy, że jest taka słiczna i taka przylepka.

— Może tam główka roztrzepana trochę — westchnęła jejność, ale serce najlepsze. Uważałeś jegośność, jak jéj łzy płynęły na wspomnienie babki, domu.

— Ale, bo, to, szelma jestem, rzekł podkomorzy, ten świat, ten świat, potwarca, a ludzie na nim... Cóż

dziwnego, że się niedoświadczonój kobiecie nie mogła noga ośliznąć.

— Niech to tam Bóg sądzi! dodała pani.

— Ale nam, moja dobrodziejko, spadła jak z deszczem na jutrzejszy obiadek, i prawdziwie nie-wiem, ciszej dorzucił podkomorzy, czy w porę czy nie ze wszystkim. Bo jakkolwiek miła, ale trzpiot kobiecina, roztrzepanica, dziecinna, a Orbeka, którego fetujemy, sensat, człek surowy, to go będzie ra-ziło.

— Czyż ona tam będzie z wami siedzieć, odez-wała się podkomorzyna, ją dziewczęta wezmą, bo ona, jak widzisz, dziecinna jeszcze, i bawić się lubi. Nie będzie mu się przecie naprzykrzać.

— Takbym to i ja miarkował! zakończył podko-morzy, a tymczasem, szelma jestem, jak ona, panny nasze i kuzynki i rezydentka siadą do stołu, to bę-dzie wianek piękności, że go nie łatwo gdzieindziej zobaczyć. Tylko mi dziewczęta do twarzy postrój, a skromnie — moja jejmość — kto tam wie co być może!

— To mój jegomość, próżno już sobie i roisz, nasze dziewczęta ładne, świeże, młode, ale to tchórz-liwe trusie, a jak obok nich i Izabelka i Emilka wystąpią.

— No, no! jejmość swoje, przerwał podkomorzy, albo ja to się napieram czy projektuję, trzeba wszak-że zawsze konika na targ wyprowadzić, a kupią to dobrze, a nie, drugie dobrze.

Podkomorzyna nieznacznie ramionami ruszyła posłyszawszy już, jak obłok biały sunące dziewczęta z Mirą na przedzie, która się zarumieniona, zmęczo-na rzuciła na krzesło.

— Acóż to za śliczny ogród! co za rozkoszne powietrze, jaka miła okolica! jaka wiosna cudowna!

wolała, tu chciałoby się żyć i umierać gdzieś w lesie, w chatce! (Chatka i las, *une chaumière et son coeur*, były wówczas w modzie. Marya Antonina budowała chałupki w Trianon, a u nas nie było pałacu bez dzikiej promenady i chaty słomą pokrytej, a zwierciadłami wewnątrz przystrojonej).

— Wié ciocia — dodała, ja tak dawno już nie byłam na wsi, że mi się teraz zdaje, jak gdybym do moich lat dziecinnych, po bolesnych snach, wróciła. Życie przeszłe wydaje mi się zmorą, marzeniem, ułudą, tak mi tu dobrze! tak mi tu na sercu pogodnie. Doprawdy, zamieszkam na wsi.

Podkomorzy się uśmiechnął.

— A gdziebyś tu asindzka tych wszystkich fioków i cacek dostała, do których przywykłaś?

— Zrzuciłabym suknie, cacka, ubrałabym się w prostą płócienną, w słomiany pasterski kapelusik.

— Tak! tak, tylko kijek w rękę i baranka na różowej wstążeczce, a podobna byś była do tych pasterek co je na wachlarzach malują, rośmiała się podkomorzyna.

A tymczasem z niebieskich oczów Miry fantazja, wspomnienie (może katar podróży) wycisnął łzę, która popłynęła po twarzyczce, szybko otarta i wnet osuszona uśmiechem. Podkomorstwo jednak widzieli tę perłę, spojrzeli po sobie i oboje powiedzieli w duszy:

— Biedna to kobiecina.

Tą łzą do reszty ich zdobyła.

Cóż dopiero, gdy przy wieczerzy, unosić się zaczęła nad każdą potrawą (na co gospodyni była niezmiernie czuła), gdy każdy półmisek wywoływał w niej nowe zachwyty, a po wieczerzy sama zaproponowała gry niewinne i poszła jak dziecko szaleć

z pannami, w pierścionka, cztery kąty i ciuciu babkę.

Gdy się rozechodzili spać, Mira już zawojowała wszystkich bez wyjątku, aż do sług i czeladzi, dla każdego mając uśmieszek, grzeczne słówko, podarek, pochlebstwo, wejrzenie.

— Czarownica, szelma jestem, rzekł podkomorzy biorąc pantofle, takięj kobiety jak żyję nie widziałem. Dziwić że się tu, iż głowy pozawracała. *Vade retro! Satanas.*

Każdy się łatwo domyśli, że od razu poprzyjaźniwszy się z pannami, Mira, która je zaprosiła do swojego pokoju, pod pozorem pokazania jakichś strojów, skorzystała z téj chwili, aby się ze światem nowym, otaczającym ją, obeznać. Wydobyła z kufrów czém panienki zając i zabawić mogła, nakarmiła konfiturami, których się całe pudło znalazło, zachwyciła dowcipem i uprzejmością, a zarazem dowiedziała się od nich powoli wszystkiego czego potrzebowała, historii jutrzejszego obiadu, pana Orbeki, spadłęj na niego sukcesyi, i t. d.

Bardzo nieznacznie, śmiejąc się i szydząc, wybadała panienki o panu Walentym, wyciągnawszy z nich co tylko o nim wiedziały. Nie zdawała się do tego zbytniej przywiązywać wagi, owszem żartowała sobie z dzikiego anachorety, z psa przyjaciela, ze starego Jaska, z nocnych gorączek jego przy klawi-korcie (które wszystkim były znane). Jednakże najmniejsza z tych drobnostek nie uszła jęj ucha.

Gdy około północy panny rozbawione, wynosząc stosami prezenta kuzynki, wyszły od nięj skacząc i śpiewając, piękna Mira znużona, złamana, bezsilna rzuciła się na łóżko, zamknęła oczy i kazała służą-cęj się rozbierać, niemogąc już ruszyć ani ręką ani nogą.

A gdy służąca odeszła, łzy się potoczyły z pięk-

nych oczek na poduszkę, serce się jój scisnęło jakos, odegrawszy tę rolę pokornéj kuzynki, zalecającéj się krewnym, rolę, do którój wcale nie była przywykła. Ona rozpieszczone dziecię, obsypywane hołdy, obwiane kadzidłami, teraz — zmuszoną była korzyć się łasić, aby przejednać i uprosić pobażanie.

Ale łezki te nie łały się długo, wprędce osuszyły je nadzieja, marzenia, projekta, a przytém potrzeba było nie wypłakiwać oczek, aby je mieć jasne i wesołe na jutro.

ROZDZIAŁ II.

Dzień ten uroczysty nadszedł wreszcie, a u państwa podkomorstwa, jakkolwiek przyjmowanie gości było rzeczą bardzo zwyczajną, od rana niezmierny był ruch w domu. Przyczyniało się do tego potroszę i przybycie pięknej Miry, dla którój też wystąpić nieco wypadło.

Sama jejmość, najmłodsza z panien wydelegowana do departamentu kuchennego, rezydentka, która rządziła bielizną i srebrami, podkomorzy władnący lochem i napojami, od ósméj byli czynni. Ludzie processjonalnie snuli się, niosąc rozmaite aparata do sali jadalnéj.

Piękna pani, wczoraj przybyła, nieukazała się rychło, zasnęła długo, potém ubierała się dość czasu, naostatek wymówiła się pisaniem jakichś listów aż do obiadu.

Panienkom tylko dozwolono było dobiegać do

niój, aby się dowiadywać, czy czego nie potrzebowała.

Na wsi, pod owe czasy, obiad nawet w te dnie uroczystsze, dawano dosyć wczesnie, około dwunastój, kilku już sąsiadów przybyło, w bawialnym pokoju taca stała z wódką i przekąskami dla gości, aby im do obiadu cześć nie dokuczyła. Podkomorzyna o pół do jedénastój była już w wielkim stroju, turbanie na głowie i piórach, panny w sukienkach nowych.

Zaraz po dwunastój przyszła też i Mira. Gospodarstwo mocno się obawiali, ażeby strojem i wdziękiem córek ich nie pogasiła; — uradowali się prawie, gdy ją ujrzeli ubraną bardzo skromnie, ciemno, bez błyskotek.

Ale niestety! czarownica była jeszcze piękniejszą niż wczora, można ją było wziąć za młodziuchną pannieneczkę, tak wyglądała świeżo, tak miała minkę niewinną, skromną i potulną. Wśród osiemnasto i szesnastoletnich kuzynek, zdawała się młodszą ich siostrzyczką.

Prawie jednocześnie z nią wszedł na pokoje pan Walenty, na którego twarzy widać tylko było pomieszanie, zakłopotanie, niecierpliwość prawie. Przywitawszy się, natychmiast pośpieszył ukryć się w kątku, jak najmniej chcąc drugich zajmować sobą i sam zajmować się drugimi.

Nie spojrział nawet na kobiety, nie widział jak nieznacznie ciekawym zmierzyła go wzrokiem piękna rozwódka. Zdając się z twarzy go uczyć i badać — obawiając się wszakże, by gry téj nieposztrzeżono, nie odgadnięto, Mira udawała zajęcie czém inném, i grała wybornie rolę obojętnój.

Tymczasem goście się zjeżdżali, dom nappełniał, otwarto drzwi do sali jadalnój, pan Walenty jako solenizant, zmuszony był podać rękę gospodyni,

a los chciał, że go posadzono pomiędzy podkomorzy-
ną a Mirą.

Mira była niesłychanie skromną, milczącą, prawie
onieśmieloną. Mimowoli pan Walenty wzrok obrócił
na nią i — już go od téj twarzyczki uroczej oderwać
nie mógł. Wiedział on z prezentacyi nazwisko pani
ale kto ona była, nie wiedział wcale. Uderzył go,
wyraz dziewicy młody, pełen świeżości téj kobiety,
widocznie nie do wiejskiego należącój świata.

Przy obiedzie niewiem od czego zawiązała się
rozmowa. Mira poprowadziła ją tak zręcznie, że do
najwyższego stopnia rozdrażniła ciekawość Walen-
tego. Wiedziała, że lubił muzykę, pociągnęła go,
okazując niepospolitą jój znajomość.

Ale rzuciwszy parę ziarenek, które miały się w ser-
cu i myślach rozrastać, natychmiast umilkła, osło-
niła się milczeniem i ze strategią najdoskonalszą,
zdawała się cofać i bronić bliższej znajomości.

Orbeka był zdumiony, zmieszany, lecz pełen
uszanowania, nie narzucał się zbytęcznie.

Rozmowa téż pojedyncza stawiała się przy krą-
żących kielichach niemożliwą, całe towarzystwo
prowadziło szalony gwar, ów chór wesela, wśród
którego krzyżowały się dowcipne wykrzykniki, zdro-
wia, zapytania głośne, odpowiedzi zabawne, żarty
oklepane, ale zawsze do śmiechu pobudzające. Może
z całego grona biesiadników stół otaczających, naj-
mnień rozwesolonym był p. Walenty i Mira. Humo-
ry ich na pozór przynajmnień zdawały się dziwnie
zgodnemi.

Wypiło zdrowie Orbeki, życząc mu szczęścia
i pomyślności. Kieliszek Miry trącił o kielich sąsia-
da, a oczy jój sypnęli mu ogniem i iskrami głęboko
w duszę. Pan Walenty poczuł się jakby spętany
i przybitym. Był zwyciężony bez walki, a wydawał

się pod ciężarem tego szaku i upojenia tak nieczgrabnym, jak tylko wielkie uczucie lub namiętność czynić nas umie.

Jedna okoliczność dla wszystkich będąca tajemnicą, nawet dla Miry, przyczyniała się jeszcze do wrażeń, jakie ona na nim czyniła.

W życiu przeszłym biednego człowieka leżały na pobojoisku krwawe pamiątki wielkiej, szalonej, okrutnie zawiedzionej miłości, która zwichnęła całą dolę Orbeki. Ta kobieta, której on obraz nosił na sercu do dziś dnia, była jakby rodzoną siostrą Miry. Nadzwyczajne podobieństwo nie tylko twarzy, ale fizyognomii, uśmiechu, ruchu, głosu, przypominało męczennikowi dni zachwytu, dni nadziei, dni szczęścia... bardzo krótkiego.

Nikt w sąsiedztwie niewiedział nawet o tém, że p. Walenty był żonatym, był zdradzonym, i gdy mu rozwód wydarł żonę, postanowił mimo jej niewiary, dotrzymać swój przysięgi do śmierci.

W téj chwili to zjawiające mu się widmo ukochanéj, odświeżone, odmłodzone, jakby oczyszczone z przeszłości, aż do szaku go egzaltowało. Musiał całej siły i potęgi charakteru użyć, aby nie rzucić się pod nogi tego upiora; ale siedział roztargniony, jak na żarzących węglach, płonąc i bledniejąc na przemiany, modląc się, by obiad kończąc się co prędzej, uwolnił go od téj próby, której lękał się co chwila więcéj.

Jak na przekorę, gdy kielichy poszły koleją, zdrowie gospodarstwa, podkomorzego, podkomorzyny, pięknej Miry, córek, kuzynek, gości każdego z osobna, kochajmy się, oby się nam dobrze działo, i t. d. i t. d. nie było końca wiwatom i siedzeniu. Niektórzy się powymykali, ale głównym osobom nie godziło się wstać od stołu. Wszyscy trochę pod-

weseleni byli w tym humorze różowym, który osmieniała, brata, a nie zbyt czyni uważnym na to, co się w koło dzieje. Była to chwila obrana przez piękną sąsiadkę do przypuszczenia szturmu na podbitego już i tak człowieka. Zwróciła się ku panu Walentemu z uśmiechkiem i wejrzeniem rozpajającym, łzawém, a tak niewinnie śmiałem.

— A czy, pan też możesz lubić takie gwarne towarzystwa? spytała go po cichu; ja się przyznaję, że choć one są w obyczajach naszego kraju, zniesić ich nie mogę. Nawet w stolicy żyjąc, bom długo przebywała zagranicą i w Warszawie, cichego szukam kątku do spojrzenia na świat. Niepowiem że-bym go niepotrzebowała, tego świata, w którym jest ruch, życie, w którego głowach i sercach wre i gotuje się przyszłość, ale to dla mnie scena, której ja z łoży mojej przypatrywałbym się tylko chciała.

Pana Walentego poił wzrok jój, upajał dźwięk głosu, zasłuchany uśmiechał się błogo, a gdy skończyła, przez chwilę przysłuchiwać się zdawał jeszcze. Odpowiedź jego była niewyraźna, słowa plątały się w ustach, czuł że się jój wyda dziwnie pospolitym lub niewykształconym, ale miał do czynienia z niewiastą, która czytała w mężczyznach, jak w księgach otwartych. Zrozumiała ona, że wrażenie jakie czyniła, ośmielało go, — tryumfowała, więc się jój wydał lepiej z tém pomieszaniem, niżby się przedstawił z największym dowcipem.

— Al i pan nie lubisz gwaru! rzekła, — takiem się domyslała wcześniej z tego co mi o nim mówiono.

— Czy to prawda? — dodała żywo, ale spuszczaając oczy i głos zniżając, że pan wyjeżdżasz do Warszawy i Lwowa.

— Tak jest, pani, bardzo wkrótce.

— Jataż nie myślę tu bawić długo, szepnęła niby

nie umyślnie, a w istocie z głęboką rachubą — wracam do Warszawy. Wszak mogę mieć nadzieję, że mnie pan tam za dobrą znajomą uważać i odwiedzić zechcesz? Ja żyję samotnie, mało kto u mnie bywa, bawię się muzyką, książkami, mam kółko małe i dobrane, nie wiążą mnie żadne obowiązki.

— Jakto pani? przerwał niezręcznie, zdradzając się, Walenty, pani...

Podniosła Mira oczy śmiało na niego, i odgadłszy pytanie, odpowiedziała bardzo po prostu.

— Byłam zamężną, — ale nią nie jestem już. — Przecierpiałam wiele i pragnę zostać swobodną.

Orbeka nie umiał utaić radości, która mu twarz rozpromieniła. Mira przelotnym wejrzeniem, schwyciła ją, ale zdawała się mieć oczy spuszczone i nie widzieć nic.

Jakkolwiek przywykła do zwycięstw łatwych, do cudów — piękna pani dziwiła się jednak sama temu które widocznie odniosła w tej chwili — coś dla niej niewytłómaczonego w tym było. Rachowała na daleko moźolniejszy podbój, na opór, na walkę, — ten łatwy tryumf ją niepokoił, miałażby się zawieść na człowieku?..

Wśród przerywaną rozmowę, na którą tylko baczne kobiet oko było zwrócone, runęły krzeszła i ławy, podnieśli się wszyscy od stołu. Orbeka po dał rękę gospodyni, towarzystwo z kieliszkami, ze śpiewem, procesyą, przeszło do bawialnego pokoju.

Ale tu było za gorąco, więc jedni pod lipy, drudzy w ganek, inni do ogrodu wynosić się, zaczęli; towarzystwo dzieliło się, rozłamywało, grupowało, wedle powinowactw.

Podkomorzyna wszakże schwyciwszy głównego gościa; tego, o którego jęj szło najbardziej, nie myślała go puścić tak łatwo. Miała ona swe projekta,

i na uwięzi trzymała biednego rozmową; szczęściem nieopodal siedząca Mira mówiła doń daleko więcej zajmującym wejrzaniem, które grało po wszystkich strunach dawno oniemiałych, w sercu nieszczęśliwej ofiary.

Podkomorzynie szło o to wielce, aby się jej córki popisały przecie przed znawcą z muzyką, której się uczyły od madame francuzki, umyślnie sprowadzonej dla nadania poloru ich wychowaniu. — Było to tajemnie przygotowane, Wanda miała sonetę Mozarta, a Ewelinka waryacye Gelinka. Potrzeba było wszakże zręcznie tak jakoś naprowadzić rozmowę, aby panny niby mimowolnie i zmuszone siadły do wieńskiego klawikordu.

Stał on otwarty, a pan Walenty domyślał się dobrze co to znaczyło. Mówiono o różnych, przerwanych przedmiotach, aż o muzyce, a Orbeka zdobył się sam na prośbę, aby panny zagrały, za co mu podkomorzyna wielce była wdzięczną. Siadła więc panna Wanda do sonety, którą umiała doskonale, grała świetnie, chociaż jej wcale nie rozumiała.

Unosili się wszyscy, Mira najwięcej, w oczach jej szatańskich jakieś iskry przeleływały.

Waryacye Gelinka, w których były jak wówczas zwano, *krzyżowe sztuki*, to jest przekładania rąk, prawej do basu, lewej na wyższe nuty, zrobiły furorę. Panna Ewelina wstała od klawikordu różowa jak piwonia, ale szczęśliwa, że to morze trudne przebrnęła i przy płynęła do portu.

Z kolei panny zaczęły nalegać i prosić pana Walentego aby zagrał; nieszczęśliwy człowiek mający najwyższy wstręt do popisów, o mało nie uciekł z razu, ale Mira szepnęła mu słówko i zachwiał się.

— Cóż mnie mają obchodzić ci ludzie, rzekł sobie w duszy ośmielając się pan Walenty, zagram

dla tego upiora dni mojej młodości, a czy mnie kto zrozumie czy nie, czy w kim drgnie serce, czy lzę wycisnę, czy śmiech wywołam obojętny, cóż mi to szkodzi?..

Wiedeński klawikord był wyborny, dusza rozmarzona, Orbeka stał, chwiał się, miękł, dał zaprowadzić do krzesła, zaponniał w końcu o tłumie co go otaczał.

W sali panowała cisza, z ganku tylko przez otwarte drzwi wiatr wiosenny przynosił obłamki mów i wykrzyki popijających miód stary i węgryzna.

Mira sparta o stół siedziała w kątku na stronie, ale tak, że i on ją i ona jego widzieć mogła.

Twarz Walentego oblokła się nagle tak uroczystym wyrazem powagi, zachwytu, namaszczenia, że nawet płocha zalotnica uczuła się przejętą i wzruszoną. Widać po nim było, że w chwili kiedy miał dotknąć klawiszów, muzyka wewnątrz grała już hymn boleści w jego duszy; że przystępował do klawikordu tego, jak kapłan do poświęconej arfy.

Dla czego wybrał sonatę, Beethowena (re minor), tego sam pewnie nie wiedział, Beethoven był jego ulubieńcem. Zaledwie dotknął klawiszów, świat znikł, niewiedział już nawet Miry, która go pożerała oczyma łzawemi, zapomniał gdzie się znajdował, kto go słuchał, szatan melodyi pochwycił go w ramiona i uniósł po nad ziemię. by potem cisnąć i rozbić go nią.

Ma to do siebie dzieło geniuszu, że gdy je natechnienie wykonywa ognisćie, naówczas, jakkolwiek niezrozumiałe, niejasne, staje się pojętném dla wszystkich, mówi językiem który każdą duszą wstrząsa. Ta sama sonata nieudolnie wyczytana byłaby może wywołała uśmiechy, teraz, wycisnęła lzy, ruszyła sercami, zrodziła niepokój który maluje...

Walenty grał zapamiętale, gra jego przyciągnęła tłumy; stali w milczeniu, podziwie, niepokojąc się, gdzie ich ten człowiek z sobą prowadzi, czując, że lecą w światy w których niebywali.

Mira skryła twarz za firankę, płakała, była skruszoną, poruszoną, czuła się zmaląłą i bezsilną.

Przed chwilą jeszcze władała tym człowiekiem, teraz on porwał jęj duszę i rzucił pod nogi i deptać się ją zdawał.

Gdy Orbeka skończył nareszcie i obejrzał się po otaczających, którzy chwilę stali milczący pod wrażeniem gry jego, nim hurmem klaskać poczęli; zrobiło mu się wstydliwie, boleśnie, jak gdyby przed obcemi ludźmi obnażył duszę, wygadał jęj tajemnice, wypowiadał się ze wszystkich życia boleści.

Był upokorzony. Wśród powinszowań, Mira zbliżyła się i ścisnąwszy mu rękę, powiedziała tylko: — Panie, jam płakała.

To słowo zostało w jego sercu.

Powoli znowu goście się rozchodzić poczęli na swe miejsca, ale ta muzyka jakąś powagą oblokła najweselszych, jakby odgłos dzwonu od kościoła. Walenty usunął się do kątki, miał myśl wyjechać zaraz, brakło mu siły; patrzył na Mirę... Któż wie, mówił sobie w duszy, może jęj nigdy nie zobaczę, rozum każe nie szukać, ból stary radzi unikać, wiek nie do marzeń; cierpiałem dosyć, czemużbym dłużej nie miał popatrzeć na nią?

I siedział jak wryty, prowadząc roztargnioną rozmowę.

Nie wiedział, że gdyby był najszczerzej pragnął się wysunąć i dostać do domu, było to niepodobienstwem, popojono ludzi pozdejmowano koła, gospodarz, nie wiadomo z jakich powodów, postanowił niewypuścić gościa do dnia białego. Dla

innych było pobłażanie, dano się powymykać niektórym, na Orbekę pilne miano oko.

Pani domu tak znowu kierowała towarzystwem i ruchami w salonie, aby jedną z jej córek pan Walenty miał ciągle przed sobą. Wiedzano, że nie tańczy i to tylko powstrzymało od tanów przed wieczorzą. Dziwnym trafem zdaleka się trzymająca Mira, jakoś nieustannie wzrok Orbeki spotykała. Zdawała się go unikać, on wstydził się natręctwa tego, a pomimo manewrów oczy ich, ledwie się odwróciwszy, schodziły co chwila. Grały jeszcze panny i śpiewały, mimo wymawiania się; chciano jeszcze zaprosić gościa, ale się nie dał, był złamany; na ostatek jednej z panien, może trochę złośliwie, przyszło na myśl napaść na Mirę, aby i ona zagrała. Zaledwie myśl ta rzuconą została, pochwycili ją wszyscy, otoczyli oblegli. Walenty przyszedł z innemi; mężczyźni poklekali z kielichami, całowano w nogi, chciano ją gwałtem zanieść do klawikordu.

Mira zarumieniła się z początku, drgnęła jakby gniewem.

— Jakże pan może żądać tego po mnie — odezwiała się rwąc rękawiczkę, — żebym ja grała po panu?

— Dlaczegoż nie? — odparł Walenty, — ja nie jestem artystą.

— Więc to ma być jakiś popis... jakieś wyscigi? spytała.

— Nie, — zawołał Orbeka, — ja to rozumiem inaczej. Każdy z nas ma coś w duszy, do téj myśli swój dobiera muzykę, jaka ją najlepiej wyraża. Te pannie śpiewały piosenki, świeże i melodyjne, jak ich młodość, ja wypowiedziałem burzę moją i zwątpienie.

— A cóż ja wam powiem nowego? — żywo przerwała Mira, — nie znajdujesz pan, że może nie chciała.

bym wypowiadać się z tego co czuję? i że szczeniocząc czego nie czuję na śmiech się narażę?

— O moja duszo! — przerwała pani domu, — co wy tam filozofujecie! graj co umiesz i po wszystkim.

Mira także nim siadła zdawała się walczyć z sobą, ale w oczach jęj rozżarzał się ogień, rzuciła podarte rękawiczki, chustkę, i śmiało się przysunęła do klawikordu... Cisza, wielka cisza rozlała się po salonie, a było jęj potrzeba, aby posłyszeć pierwsze dźwięki tęg sonaty Bethowena, którą nazwano „Nocą księżycową“.

Od pierwszego dotknięcia Walenty zadręał, poznał mistrza; klawikord śpiewał pod palcami; muzyka nie zdawała się wykonywaną mozolnie, ale płynącą gdzieś z jakichś sfer niedościgłych.

Pospolitsi znawcy i słuchacze omylili się na prostocie tego szerokiego wstępu, posadzając Mirę o niewielką wprawę, ale po tym hymnie nastąpiła zagadka, którą się podobało komus nazwać „kwiatem zawieszonym wśród dwóch przepasci“, zdeptawszy ten kwiat, Mira rzuciła się na część ostnią pełną burz, piorunów, szaloną, szyderską, łzawą, namiętną i doskonale w istocie malującą stan jęj duszy! Tu dopiero zajaśniał cały talent wirtuozki. Walenty, który z początku siedział osłupiały, wstał, zakrył rękami oczy, rozgorzał. Coś takiego doznał w duszy, niepokój jakiś tak nim rzucił, iż zrazu chciał uciekać, ledwie całą siłą rozwagi pohamował się i pozostał.

Nieopisane oklaski zatrzęsły całą salą, godzili się na to wszyscy, że gra Miry była najświetniejszą ze wszystkich, Walenty zbliżył się, pocałował ją w rękę i rzekł stłumionym głosem: — Byłbym szczęśliwym, gdybym kiedy w życiu tak potrafił myśl mistrza wyrażać... Pani sama jesteś mistrzem.

Mira, już zupełnie ochłoniwszy ze wzruszenia, szczęśliwa była tylko z otrzymanego tryumfu. Struny uczucia przebrzmiały, dźwięczała miłość własna. Bukowiecka winszowała, ale kwaśno; panny unosiły się, ale posępne; po tych popisach posmutniało, gdy z drugiego pokoju, w sam czas, zabrzmiała kapela sprowadzona, a gospodarz, podawszy rękę matronie, zacnej pani sędziniej, rozpoczął polonezem.

Po tych uroczych dźwiękach, jak się mogła wydać skrzypka ślepego Aronka i basetla z klarnetami niepowiemy, ale dla młodych uszów była muzyka ta miłszym zwiastunem niż pierwsza. Mira, która była namiętną tanecznicą, zadrżała, rzuciła oczyma na posępną twarz Orbeki.

— Tańczysz pan? — spytała.

— Nigdy!

— A! co za szkoda! a ja tak namiętnie, tak szalenie lubię taniec.

Młodzież cisnęła się, zamawiając już do mazurów; piękna Warszawianka szukała oczyma towarzysza skocznych marzeń; osiemnastoletni Staś, syn pana sędziego Dostałowicza, otrzymał pierwszeństwo; chłopak był słiczny, a wyraz jego twarzy tak słodczy pełen, że go nieraz za panienkę żartami przebierano. Zalotnica jak wędką rzuciła nań okiem, wlepiła w niego wejrzenie i przyszedł do niej posłuszny.

— Wybieram sobie pana za tancerza na wieczór cały.

Staś rozpromieniał, pozerzał ją dawno oczyma, o biednym panu Walentym nie było już mowy, ni myśli, ni wejrzenia dla niego. Orbeka, po polonezie, usunął się na ganek, wykradł był swoją czapkę i miał podstępna myśl powrócenia do domu, czuł, że pobyt dłuższy coraz się stawał niebezpieczniejszym, głowa i serce obłąkiwały się, a kobieta ta już o nim

nie myślała wcale. Uśmiechała się do aniołkowatego Stasia, który zdawał się z nią unosić w siódmém niebie. Para to była przesłiczna.

Mira będąc posłuszną tylko popędowi, nie rachując, wcale jednak nie źle postąpiła, tracąc z oczów Orbekę, bo już i gospodarstwo się na nią trochę krzywili, widząc jak on ją ścigał oczyma, i goście szeptali.

W ten sposób uniewinniła się zupełnie, odzyskała serca gospodarzy, a uszczęśliwiła Stasia, który by był się dał już za nią w drobne sztuczki posiekać.

W ganku, gdzie Walenty posiedzieć musiał nim się potrafił wyrwać, zjawiała się panna Wanda z mamą, którą prawie zaraz odwołano; Orbeka pozostał z ładném dziewczęciem, które całe drżące, ledwie z nim mówić umiało.

I on téż nie był śmielszym od niej. Ona by się chciała wyrwać do tańczących, on uciec do domu, jój serce biło jakimś strachem, jemu niezmierną tęsknotą i znużeniem. Przywykły długo do ciszy i spokoju, wyczerpał na ten wieczór wszystkie siły — pragnął co rychlój być sam z sobą i odpocząć z myślami.

Ale przez grzeczność musiał bawić pannę, która ze swojej strony, starała się go zabawić jak umiała. Jakby naumyślnie ta rozmowa sam na sam, z której niewinne dziecię nie umiało korzystać, przedłużyła się nadzwyczajnie. Dopiero Staś, szukający panien do jakiejś figury w mazurze, przyszedł ją porwać, z czego pewnie była bardzo rada — a Walenty korzystając z osamotnienia, przez ogród ruszył ku stajniom do swoich koni. Tu jednak próżno szukał woźnicy, co żyło bawiło się na folwarku, nikogo znaleźć nie było podobna. Należało albo powracać pieszo do Krzywosielca, lub do sa-

lonu. Z dwojga, pierwsze wybrał pan Walenty, noc była cicha, księżycowa, prześliczna, a choć spory kawał drogi, przywykłemu do wiejskich przechadzek, nie wydał się on strasznym. Sam więc z myślami, obrazami, wrażeniami i goryczą w sercu, powoli powlókł się gościńcem, zostawując za sobą, jaśniejący od światła, dwór Bukowieckich.

ROZDZIAŁ III.

Gdy się opatrzone, że Orbeka znikł, był on już nadto daleko, aby gonić za nim myślano; zgorszył się tylko Bukowiecki, dowiedziawszy się, że pieszo uchodzić musiał. A już też, szelma jestem, niegodziło się tak postąpić, jakby z nieprzyjacielskiego domu! Muszę mu też to wymówić.

Mira posłyszała z rozmów przechodzących, że p. Walenty zniknął, ale ją to mało, lub nic wcale nie obeszło. Wrażenia pierwsze zatarły się już wesołym tańcem, a Staś był tak ślicznym, rumianym chłopakiem, pełnym życia i młodości, że wspartej na jego ręku, można było o milionach zdziaczałego, smutnego, uwiędłego Orbeki zapomnieć.

Oprócz Stasia, przy żwawej, wesołej, dowcipnej wdówce, roiła się młodzież, opasując ją i trzymając w oblężeniu. Strzelały i odstrzeliwały wejrzenia, słowa dwuznaczne, uśmiechy wiele, mówiące, młodzież traciła głowy, szalała, panny stały nieco zaniebane na boku, Bukowieccy oboje byli zasępieni. Wczorajsze dobre wrażenia zacierały się przed

oczéwistością, zalotnica warszawska, wydawała się mu niebezpieczną.

— Wiesz jegomość — szepnęła Bukowiecka, taki to czém się skorupka za młodu napoi...

— Oj tak! tak, moja dobrodziejko, odparł sam — szelma jestem, coś mi już dziś to ziółko nie pachnie. Bó niechżeby sobie do kaduka wybrała jednego, ale bałamuci wszystkich.

— A ja mój jegomościuniu, spytam się ciebie, choć to moja krewniaczka, po co ona do nas tu przyjechała? jak ty myślisz?

— Ha, no — może na rezydencyą.

— O! to ci dziękuję, tego sobie nie życzę, dla moich dziewcząt.

— Albo myśli, że się tu łatwiej trzeci raz za mąż wyda.

— Uważałeś jegomość, jak bezwstydnie tego Orbekę łapała, dobrze zrobił, że uciekł.

— Hm! hm! rzekł Bukowiecki, jak ona zechce, to go znaleźć potrafi.

— Nie da się on jój.

— To pytanie.

Przy wi czerzy postrzegła się dopiero, uniesiona wirem tańców i szalu Mira, że całe niewieście towarzystwo i gospodarzy naraziła sobie, pozawracawszy głowy młodzieży; ponieważ młody Stas najmnie j ją kompromitował, zwróciła się ku niemu, a reszcie poczęła dawać odprawę mniej więcej niegrzeczną, ale stanowczą. Postarała się trochę przejednać gospodarstwo oboje, ale z temi poszło ciężej jakoś, a gdy nad rankiem już odchodziła do swego pokoju, jeden tylko oszalały Stas ją odprowadzał.

Potrzebujemyż pisać obszerniejszą monografią téj kobiety, aby ją dać wam poznać lepiej? Typ to był wcale nie rzadki, chociaż egzemplarz dziwnéj

w swym rodzaju doskonałości. Istota, w której serce biło może, ale tylko pod gorącym wrażeniem teraźniejszości. Między wczoraj a jutrem, dla niej, nie było żadnego związku, jedno nie ręczyło za drugie. Namiętności, fantazyje, zachcenia, zacierają się kolejno. Było to istne serce bawełniane, które uciśnięte, przyjmowało na chwilę kształt mu nadany, lecz natychmiast potem mogło równie przybrać inny. Nic na niem nie rysowało się trwale.

Głowa i wyobrażenia wiodły ją raczej niż uczucie, kochała głowę, nienawidziła nią, ale w głowie tej panował chaos dziwny, i pragnienia nieustannie nowych rzeczy.

Były chwile, w których Mira czuła się stawała, gotową do poświęceń, w których umiała kochać, była pokorną, łzawą, serdeczną; żałowała za swe grzechy, przyznawała się do nich, brzydziła sobą — ale — niestety — były to tylko chwile. A po nich szły następowały jeszcze gorętsze, może jeszcze dziksze. Było to życie gorączek, dramatów, zmian, łzów i śmiechów, rozpaczy i szczęść, na drobne posiekanych kawałeczki.

Przeżywszy wiele poczętych szczęść i rozpaczy, które być miały wiekuistemi, Mira żadnego z nich nie wyniosła doświadczenia, marzyła jak w pierwszych dniach wiosny, spijała przyjemności dzisiejsze, nie troszcząc się o gorycze, jakie po sobie zostawić miały; rzucała się w bóla, które lada powiew łagodniejszy rozpraszał. Słowem, była to ta istota poety „wietrzna“ której postaci zazdroszczą anieli, a w której duszy, może nie tyle zła było, co nieuleczonój płochości.

Wróciwszy do swojego pokoiku zmęczona, rozbawiona, z mazurkiem w głowie, z szeptem Stasy w uchu, upojona tryumfami, padła na posłanie, po

wiedziawszy sobie, że potrzeba było na seryo pomysłu o jutrze.

Ale to postanowienie rozchwiało się poziewaniem, sen przyszedł skleić powieki, i w marzeniach tańczyła jeszcze, ale już tylko z Orbeką.

Zbudziła się zdziwiona sama, że ze wszystkich, nawet nad ślicznego Stasia, głębsze wrażenie na niej uczynił ten biedny, zwiędły człowiek, który tak uciekł niegrzecznie, bez pożegnania.

~ We dworze, po wczorajszej uczcie, zaspali wszyscy, miała więc czas Mira następujący list napisać do przyjaciółki swój, pani Lullier, do Warszawy.

„Kochana Lulu! przyrzekłam ci opisać moją podróż, i odkrycia po dzikich krajach. a choć niewyspana, zmęczona okrutnie. danego słowa dotrzymuję, winnaś mi być bardzo wdzięczną. Dla ciebie nie mam tajemnic; wiesz, że wybrałam się do tych Indyj, szukając trochę nowych przygód, a trochę może nowego towarzysza do dalszych wycieczek, bo mi już samój i nudno, i za długo tak jestem ni wdową ni mężatką. W waszój Warszawie wszyscy się ze mną oswoiłi, i to jest świat, co się rozwodzi a nie żeni. Pojechałam więc do pocziwój cioci. A! wystaw sobie, drogi w stanie pierwotnej niewinności, koleje powybijane do wnętrzości ziemi, błoto straszne, karczmy okropne; ale lasy kwitjące, wonne, wiosna czarodziejska. Po kilku dniach pielgrzymki, złamawszy tylko dwa razy moją żółtą karetkę, trochę połamana sama, dostałam się do ciotki. Dom patryarchalny, sześć panien na wydaniu, bale, jak się zdaje, codzień, czy przez dzień, muzyka złożona z żydów i cymbałów, towarzystwo przedwieczne, ale młodzież żwawa, ochocza, i chłopcy ładne, jak krew z mlekiem. Uczty Baltazara! co ci ludzie tu jedzą! cały boży dzień. nie masz wyobrażenia, jestem przestraszona,

patrzac tylko na to. Wujostwo oboje *de bien braves gens a l'antique*, przyjęli mnie zrazu zimno, bo mnie widać poprzedziła jakaś reputacya, *et on est severe et rigide à la campagne* ale potem zaraz ich udobruchałam.

Wystaw sobie, żeś trafiła na rodzaj baliku, była to uczta dawana na powinszowanie, czy już tam nie wiem jak nazwać — pewnemu panu Orbecie, który, z ubogiego szlachcica, został milionowym panem, przez spadek po stryju.

Ten Orbeka, *un original, misanthrope*, suchy, żółty, ni stary ni młody, życie spędził na wsi, nad książkami i klawikordem, z jednym psem i sługą. Dopiero go te miliony wyciągnęły na świat. Otóż, wystaw sobie, podbiłam go od razu. Patrzył na mnie w zachwyceniu, w jakimś osłupieniu, jakby na istot swych marzeń, drżał mówiąc, bełkotał... mówię ci pochwyciłam go; gra bardzo ładnie, ty wiesz Lulciu że i ja nie źle grywam, gdy chcę. Otóż tego dnia chciałam i zawróciłam mu głowę sonatą Beethowena

Jeżeli się jeszcze gdzie spotkamy na świecie ten człowiek *jest mój*. Nie powabny, nie młody smutny jakiś, nadto surowo wygląda, ale milionowy. W najgorszym razie, w intercyzie ślubnej można sobie zawarować, *une retraite honorable, avec 50 mille florins de rente: Ce n'est pas le bout du monde, mais c'est quelque chose*.

Na seryo pomyśl o nim.

Nieszczęściem przyszły tańce pod wieczór; on nie tańczy, a ja mam passyą do mazura, porzuciłam go w kącie, bo mi się trafił chłopaczek jak laleczka, a było ich do wyboru! Przeszaleliśmy z nim do białego dnia, ałem straciła z oczu mizantropa, który podobno pieszo uciekł do domu. Nie mam nadziei, że bym go już tu pochwycić mogła, ale go złapię w Warszawie, dokąd pojedzie.

Ja też tu długo bawić nie myślę, jako osobliwość *une couple des jours*, na téj pustyni, pojmuję, ale żyć niepodobna. Cały ten świat taki jakiś rubaszny, a mimo to — *d'une severité!* Przytem ubierają się, jedzą, piją śmiesznie. I fryzyera nie ma całkiem, a do *marchande des modes*, chyba do Warszawy posyłać.

Zdaje mi się też, że wczoraj nieostrożnie jakoś tryumfowałam, panny tutejsze, matki, ojcowie, krzywo na mnie patrzą. Bukowieccy widocznie się obawiają. O! mniejsza o to niewyżyłabym ich zrazami i bigosami. Dziś w całym domu tak słychać kapustę, że piszę trzymając flakonik pod nosem, bo mnie aż dusi.

Ale dla przyzwoitości, zabawię dni kilka, pozawracam głowy wieśniakom, rozkocham Stasinka, żeby całe życie wzdychał do mnie, zostawię mu pierścionczek na niezabudź, i, *adieu Messieurs!*

Biedne niewiniątko! żebyś wiedziała jak mu ręce drżały, gdy sparta na jego ramieniu wracała nad ranem, jak gorący pocałunek złożył na końcu paluszków moich, odchodząc z westchnieniem, z którego się śmiałam serdecznie. *Mais un petit bout de roman naïf, cela rajeunit, c'est rafraichissant* — nie prawdaż?

Chciałabym ci opisać wieś, bo ty jęj nie znasz wcale, a szlachecki dwór na wsi — *Ah! que c'est drole!* Ja, chociażem się wychowała w podobnym, ale już zupełnie zapomniała tych obyczajów. Każdy z tych panów jest w stanie zjeść na dzień całego wołu i wypić beczkę piwa, antał wina, *que sais-je?* zajeździć dziesięć koni. Wszystko to poubierane ze staroświecka, mówią głośno, klną strasznie, ale w gruncie jak się przekonywam, pod pantoflem wszyscy. Kobiety wszechmogące. A! jakie kobiety, moja droga, niewystawiasz sobie tego wykrochmalenia. téj powagi, śmiałości ich razem i naiwności.

Raz wyszedłszy za mąż, świat zawiązany, nikt tu nie słyszał o rozwodach, *un mariage c'est pour l'éternité on y entre comme dans un choître*. To pociecha, tylko że się rządzi despotycznie. Ubierają się przedwiecznie, mody nie znają; przychodzą tu one podobno w pięćdziesiąt lat dopiero, gdy już o nich w całym świecie zapomiano. Długobym tu wyżyć nie mogła, ale widzieć było warto przecie. Zdaje się, że za parę dni, *sans tambour ni trompette*, każę zaprządz do żółtej karetki i... stawię ci się, jednego białego poranka, aby cię uścisnąć, nagadać się i uśmieć. Tylko muszę wprzód się dowiedzieć, co się z moim milionerem stało, bo *je n'en demordrai pas*, musi być moim. Całuję śliczne oczki twoje.“

Mira.

ROZDZIAŁ IV.

Powróciwszy do domu pieszo, Orbeka zastał swojego wiernego Nerona w ganku niespokojnego, oczekującego; Jaska na ławce, a konie przy stajni. Woźnica bowiem, dowiedziawszy się o zniknięciu pana, krótszą drogą, mając nadzieję go napędzić, pospieszył do Krzywosielec. Rozminęli się z panem Walentym.

— Słuchaj Jasku, rzekł Orbeka do starego sługi, przygotuj mi tam, jak potrafisz, do drogi wszystko, jechać potrzeba, a tu mnie ci ludzie zamęczą powinszowaniami. Bryczka jaka jest, konie jakie Bóg dał, łada chłopak powiezie.

— A ja i Neron? zapytał Jasiek, łącząc naiwnie siebie z pocziwem stworzeniem, które się u nóg pana łąsiło.

Ty mój stary, zostan na straży w domu, rzekł Orbeka. Zachowasz mi tu wszystko nietkniętém jak było. Kto wie, jak i z czém powrócę. Może się nam ciche dawne wrócą czasy! A Nero — pojedzie ze mną dodał.

— To Nero szczęśliwszy odemnie, szepnął Jasiek, a! panie.

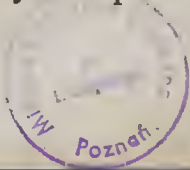
— Nie, — rzekł, ściskając go Walenty. ale ciebie robę stróżem wiernym mojego gniazda. Myśl tu o mnie i prosz Boga, abym cały powrócił.

Sługa się rozplakał, a pan może dlatego, żeby lzy nie pokazać, uszedł prędko do komina wygasłego i siadł przed nim na długie dumanie.

W parę dni potem, pan Walenty żegnał Krzywo-sielce, tak smutny, tak wzruszony, jak gdyby jechał nie na żniwo złote, ale na przewidziane męczarnie. Serce mówiło mu, że cierpieć musiał na nowo, a przeznaczenie gnało tą drogą nieuniknioną cierpienia.

ROZDZIAŁ V.

Są chwile jasnowidzenia w życiu — najzaciętszy niedowiarek, choć to sobie na swój sposób tłumaczy, fakt uznać musi, bodajby miał nazwać zwierzęcym instynktem, a nie wzrokiem duszy. Jak błysk nagły przelatuje przyszłość przed nami i czujemy ją nie-



uchronną, fatalną; wola złamana jęj potęgą, posłuszna jak ta słaba istota, która w paszczę węża leci sama, ciągniona wzrokiem jego — nagina się do widzenia swęj doli, choćby ta dola była najstraszniejszą męczarnią.

Orbeka wyjeżdżając z domu, wiedział, że go w świecie znowu czekają zawody ciężkie i cierpienia, jednakże nic nie czynił aby ich uniknąć, sam szedł w paszczę fatalności.

Od bardzo dawna nie wiedział już nawet co się z żoną jego, zaślubioną innemu, stało; na samym wstępie, przybywszy do stolicy, dowiedział się od przyjaciela, że owdowiała, że była dosyć biedną.

Sławski, stary druh pana Walentego, choć nosił mundur, zupełnie był swobodny i niezajęty. Bawił się rysunkiem, sztuką, czytał, malował; — należał do małego kółka miłośników malarstwa. Ubogi, cichy, nie marzący o świetnych losach, Sławski żył z dnia na dzień z małej pensyjki i z drobnych robotek. Egzystencya to była brukowa, biedna, zależna, z jednej strony ociérająca się o to co kraj miał najświetniejszego, najbogatszego, z drugiej o najuboższe sfery wyrobników sztuki, nędzniejszych od wyrobników rzemiosła. Szczęściem Sławski nie chorował jak wielu pseudo-artystów na fantastyczne gorączki, nie narzekał na świat, nie szukał w nim nasycen i wrażeń zbyt silnych, pijał tylko wodę, jadł mało, a pracował wiele. Ze wszystkich względów był to człowiek znakomity, choć wielu miało go za zimnego, za pospolitego, dlatego, że żadnej nie odegrywał komedyi i nie narzucał się ludziom, a raczej bronił od nich i odosabniał.

Z Orbeką spotkali się na ulicy; Sławski nie wiedział o zmianie jego losu, o spadku, o milionach, i powitał go zdziwiony. — Cóż ty tu robisz? po co ci

było ze wsi, gdzie spokojnie pracować mogłeś, ruszać się?

— Masz słuszość pytać, odpowiedział Orbeka, ale się mylisz, sądząc, że to zrobił z dobrej woli.

— A cóż cię zmusiło?

— Nic nie wiesz?

Sławski ruszył ramionami, i dowiedział się dopiero całej historii, a twarz mu się zasępiła. Wcale odwrotnie, nie jak pospolicie ludzie czynią, zwykł był unikać bogatych, pocziwy Orbeka już go przestraszał. Ledwie po starzej znajomości potrafił go gwałtem zatrzymać i dłuższą z nim poprowadzić rozmowę. Ale Sławski już się miał na ostrożności.

Od niego dowiedział się pan Walenty o owodzieniu żony swój i biednym jej stanie, i jego pośrednictwa użył, aby wesprzeć ją datkiem, którego by się pochodzenia nie domyślała. Ciągnęło go coś zrazu do nieszczęśliwej, ale siła jakaś przeciwna wstrzymała.

Zmuszony zająć się interesami, nie wiele wychodził pan Walenty, mało kogo widywał, prócz prawników i Sławskiego. Potrzeba było opery, muzyki i namowy Sławskiego, aby go wieczorem wyciągnąć do teatru, Włoszka primadona występowała w nowej operze, Sławski choć sam nie muzyk, namiętnie lubił śpiew, Orbeka dał mu się zaprowadzić do teatru.

Zastali w dosyć niewygodnie urządzonej sali tłok niezmierny, szczególnie wielkiego świata, elegantek, firecyków, jak ich naówczas zwano — (dzisiejszych lwów) — i piękności miodnych.

Chociaż wszyscy przysli niby słuchać muzyki i śpiewu, najmniej jednak słyszeć było obojga, opóźnieni widzowie wchodzili podochoćceni po obiadach, głośno rozmawiając, piękne panie w łóżach śmiały się na całą salę; trzaskano drzwiami, wołano się z je-

dnego końca teatru na drugi. Dopiero na główną arya owęj Włoszki, nieco się ciszej zrobiło, przestuchano ją trochę uważniej; ale po oklaskach, które koniec zwiastowały, szmer i wrzawa rozpoczęły się na nowo. Sławski miał zręczność ukazać Orbece najjaśniejsze gwiazdy tego Olimpu, najpiękniejsze twarze, z których do każdej przywiązana była jakaś ciekawa historia, najwybitniejsze postacie epoki, w rozmaitych odznaczające się zawodach.

Rozmowa szła bardzo żwawo między dwoma przyjaciółmi, którzy zajmowali dobre miejsce w niskiej łoży i prawie skryci byli od ciekawych oczów, gdy nagle Orbeka chwycił za rękę Sławskiego, i wskazał mu jedną z łoż piętrowych, do której właśnie wchodziły dwie strojne panie.

— Ty, co tu znasz wszystkich, rzekł, potrafisz mi zapewne powiedzieć coś i o tych dwóch pięknych twarzyczkach?

Sławski popatrzał chwilę.

— Jedną z nich jest przecie pani Lullier, której się nikomu nieznać niegodzi, odpowiedział.

— A druga? zapytał Orbeka.

— Druga jest niemniej sławna, lub jeżeli wolisz osławiona, ex-baronowa von Zughau, i ex-podczasyna, w języku fircyków, znana pod imieniem pięknej Miry.

— Dlatego właśnie pytam was o nią, że ją niedawno spotkałem na wsi, i dziwi mnie, że już ją znajduję w Warszawie.

— A! spotkałeś ją! odparł śmiejąc się Sławski— jeżeli wiedziała o twym spadku, dziwię się mocno, że cię całego wypuściła.

— Znasz ją? spytał Orbeka.

— I ja ją spotkałem w kilku domach, w których bywam, bo ona bywa wszędzie, ale ze mną to

co innego, ja stoję w kątku, nie odznaczam się niczem, oczy kobiet tego rodzaju nie sztrzelają na tak lichą zwierzynę, ominęła mnie ex-podczaszyna, nie zwracając uwagi.

— Bądź co bądź. to dziwnie urocza kobieta, zawołał Walenty — gdybyś wiedział jak gra!

— Gra, śpiewa, tańczy, rozmawia zachwycająco, to rzecz uznana, mówił Sławski, jest-to syrena, jest to najniebezpieczniejsza z pokus, jest-to kameleon, który co chwila się mieni, ale to kobieta bez serca, bez sumienia i bez litości.

— Surowym jesteś!

— Pobłażającym, rzekł Sławski, mógłbym powiedzieć gorzej ale ją potroszę uniewinniam tém, że nie ma tumeze i jednej kobiety, któraby tych samych ciężarów co ona, nie miała na sumieniu, tylko w mniejszej liczbie. Trzeba za coś rachować atmosferę, w której się żyje.

— Więc nie jest gorszą od innych?! rzekł Orbe-ka.

— Niech tam Bóg sędzi, odpowiedział Sławski, ja w ogóle nie przyznaję ludziom prawa wyrokowania o bliźnich. To co Chrystus powiedział o rzuceniu kamienia, rozumiem w tym sensie, że my wszyscy, zawsze w drugich sędziemy naszą własną sprawę. Trzeba być aniołem, by sprawiedliwy sąd wyrzec o człowieku. Gdzież i do jakiego wyroku nie domięsza się słabość ludzka?

— Możesz mi — choćby nie sądząc. coś powiedzieć o niej? spytał Walenty.

— Mało. — Obiło mi się wiele rzeczy o uszy, ale ta twarzyczka nie bardzo mnie zajmowała, nie dopytywałem się, nie śledziłem jęj. Dość mi było spojrzeć, by zadrżnąć. Historyja jest bardzo prosta, niezmiernie pospolita. Młodziuchną wydano ją za

starego, to był może pierwszy powód, dla którego rzuciła się w świat, nie mając czém serca wyżywić w domu. Młody chłopak zbałamucił ją, rozwiódł, i... nie ożenił się, bo rodzina nie dopuściła. Stracił dla niej znaczną część majątku... rozdzielono ich. Po nim nastąpił książę S., który, jak mówią, obiecywał ożenienie, ale dostawszy od żony policzek, pomiarkowawszy, że co miał, poszło wszystko na śliczne oczki, że ruina grozi, cofnął się. Podczaszy ożenił się z nią później, ale niedługo wytrzymał, gdyż piękna pani nosiła wprawdzie jego nazwisko, traciła jego pieniądze, mieszkała w jego pałacu, ale z nim żyć nie chciała. Nowy rozwód nastąpił, w dosyć podobno dobrych dla pani warunkach. Mąż ratował część fortuny, odstępując resztę zbytnicy. Mówią że i tę już pożarły podróże, fantazyje, stroje, rozrzutności wszelkiego rodzaju.

Nie liczę ci innych ofiar, które wymieniają, oskubanych, podrujnowanych, lub całkowicie zniszczonych przez piękną Mirę, ma ona tu sławę nienasyconego na pieniądze żarłoka. Nie może się obejść bez nich, na to, by je wyrzucać oknami. Ale od niejakiego czasu strzegą się jój wszyscy. Urok ma mieć niesłychany, i umie zrobić z siebie co zechce, nawet niewinne, skromniutkie dziewczę. Nic to jój nie kosztuje, ma to w naturze.

Gdy Sławski z zimną krwią anatoma opowiadał, Orbeka wpatrywał się w wystrojoną panią, która śmiałemi oczyma przebiegała teatr, główką i uśmiechami rozrzucając ukłony, niezliczonym znajomym. Była ubrana z wielkim smakiem, z różą we włosach, z naszyjnikiem szmaragdowym na białych ramionach, z rączkami obnażonemi, cała w koronkach i gazach. Wyglądała jak kwiatek w ozdobnym świeżuchnym koszyczku. Przy tej wiosennej świeżości

jęj, gasły inne kobiety, wydając się stare i zwiędłe. Spokój i łagodność rozlane były na jęj twarzyczce, rzekłbyś, że jeszcze nie rozpoczęła, nie zaznała życia.

Zaledwie ukazała się w swojej łoży, kilku młodych ludzi wpadło do niej, z bukietami, ze śmiechem, z natrętném zalecaniem, które ona przyjmowała jako hołd należny sobie. Dwóch czy trzech starszych ichmościów wyciągnęły jęj oczy z parteru, drzwi łoży zamknąć się nie mogły, taki tam tłok się zrobił koło niej, ale ona wprędce porozpędzała niepotrzebnych, pozwoliła zostać dwom czy trzem i sparta na krawędzi, przyglądać się zaczęła publice. Pilno przebiegała z kolei łożę po łoży, ławkę po ławce, czyniąc rozmaite zabawne uwagi, z których ona i otoczenie jęj się śmiało do rozpuku. Wiele oczów na ten wesoły hałaśliwie zwróciło się kątek, ale ona właśnie sobie tego życzyć musiała.

Młody człowiek stał za nią, jakby adjutant.

— Mój panie Hornim, zawołała odwracając się do niego, pomóż-że mi; kto tam siedzi w ciemnym kącie, w dole, w parterowej łoży.. o ten.. o tu...

Ręką wskazała ku Orbecce.

— Sławski.

— Ale ja go znam, wiem, nie o niego pytam.— Kto z nim?

— Tego ja nie znam.

— Mnie się zdaje... ale może się mylę. Panie Hornim, pójdz-że na zwiady do Sławskiego i przynieś mi języka—ale koniecznie.

— Sławskiego znam mało.

— Cóż mi do tego, kiedy ja chcę, — dodała z przyciskiem, — kiedy ja każę. Przecież pan wiedzieć powinien, że co ja chcę, to się musi stać. *Ce que femme veut...* Byłbyś najniezgrabniejszym w świecie, gdybyś się nie potrafił dowiedzieć.

Hornim już się zabierał do wyjścia.

— Czekaj, czekaj przerwała, już nie potrzeba, już wiem, już jestem pewna. Tak, to on, obrócił się, poznałam go. Ale jakże się nazywa!! O! to mniejsza, pewna jestem że to on. Tak! miał być w Warszawie. Hornimie, złoty, kochany, daj ci końce palców do pocałowania, pójdź i proś go do mnie jutro na obiad, razem ze Sławskim.

— Ale, zawahał się Hornim.

Mira tupnęła nóżką i uderzyła go wachlarzem po ramieniu.

— *Mais je vous dis qu'il n' y a pas de: ale... idź i spełnij rozkazy.*

Hornim skłonił się i wyszedł natychmiast, po chwili ukazał się w łóży Orbeki, piękna pani z oczów jój nie spuszczała.

Trzeba było śmiałością nadrobić.

— Jak się masz p. Sławski, zawołał wchodzą przeproszam że się tak introdukuję natrętnie, ale są wypadki nadzwyczajne. Naprzód chciej mnie zaprezentować panu...

Orbeka się zarumienił.

— Pan Hornim; pan Walenty Orbeka.

Skłonili się sobie.

— Gdy się kobieta piękna i młoda uprze i nakaze coś, odezwał się Hornim, niema ratunku, potrzeba być posłusznym; to panowie zapewne wiecie i darujecie mi, że tak niegrzecznie może trochę, spełniam tu poselstwo od pięknej Miry, która o to ze swój łóży *credenciales* mi tu przesyła. Oto, pan Orbeka wszak jest jój znajomym?

— Bardzo mało, rzekł Walenty.

— Podczaszyna obu panów zaprasza jutro na obiad.

Orbeka prawie przestraszony pobladł, mimowolnie oczy jego zwróciły się na łożę, a Mira domyśliwszy się, że to była chwila stanowcza, ruchem wachlarza potwierdziła inwitacyą.

— Spodzielam się, że panowie nieodmówicie zaproszeniu, śmiejąc się dodał Hornim, w przeciwnym bowiem razie, odebrawszy stanowczy rozkaz, musiałbym użyć siły.

Zaproszeni się rozśmiali, ale Walenty smutnie jakos, a Sławski dodał:

— Ej, panie Hornim, zaręcz że nam obu, że się na tym obiedzie nic nie stanie, a nuż nas ta Cyrce poprzemienia w jakie zwierzęta; tak jak już ciebie zmieniła w doskonale ujeżdżonego wierzchowca. Nie jest to fraszka dostać się pod strzały tych oczów, wołałbym pod fortecę stać, miałbym się czém bronić, miny, kontr-miny, a tu...

— A tu, przerwał Hornim wesolo—no—myszę że panowie przyjdziecie także zbrojni i nic się wam nie stanie. Obiad jest o drugiej.

Podał ręce Orbecce.

— Czy i pan się lękasz? zapytał.

— Ja jestem już trochę stary — rzekł niesmiało Walenty, i wiek mnie sam broni, byłem w niejednym ogriu, a choćbym był i ranny, à la guerre comme à la guerre.

Wymówił to sam sobie dodając odwagi, której w istocie nie miał wcale biedny, bo drżał w duchu, choć się z tą obawą pokazać nie śmiał.

Po wyjściu Hornima, chwilę milczenie panowało w łoży, Walenty miał oczy w dół spuszczone, Sławski był zniecierpliwiony i pochmurny.

— Ta kobieta niema wstydu prawdziwie, zawołał po chwili, wyzywa cię, to widoczna, dlatego że już wie o tém, iż masz ogromny spadek do strace-

nia, a może czuje cię już słabym. Nie wiem w jaki sposób spotkaliście się na wsi, ale nie wątpię, że ta myśl od pierwszej chwili opanować ją musiała.

— Wyjdźmy z teatru, rzekł Orbeka, przejdziemy się po Saskim ogrodzie, pomówimy obszerniej; jestem zburzony cały.

Oczy pięknej Miry padły na wychodzącego już Orbekę, któremu skłoniła się jeszcze wachlarzem główką i uśmiechnęła figlarnie, jakby po cichu szepcząc —

— Do zobaczenia...

Walenty otarł kroplisty pot z czoła, drżał cały, schwycił rękę przyjaciela i szybko wyszli... jakby uciekając oba.

Noc była przesłiczna, niebo przebiegały białe chmurki wełniste, z między których księżyc jasny niekiedy przeglądał; wśród starych drzew pełno było przechadzających się osób, i wielce ożywionego towarzystwa, chociaż z najróżniejszych złożonego żywiołów.

Orbeka długo mówić nie mógł; Sławski zimniejszy widząc go pomieszanym, przełęczym i źle rokując z tego, pierwszy rozpoczął.

— Jest-to, rzekł, na pozór, rzecz małej wagi... pójść na obiad do załotnicy — ale gdybym się nie czuł zbrojnym, chłodnym, a wiedział się słabym, wiesz co bym uczynił? Oto wymówiłbym się chorobą, a kazałbym konie zaprządz i uciekłbym z miasta.

— Myślę właśnie, odpowiedział Orbeka, czy mi tego uczynić nie trzeba.

— Byłoby to najrozumniejszém, mówił dalej Sławski. W młodości rozumiem uleganie tej sile fascynacyjnej kobiety, wymawia je gorączka wiekowi właściwa, ale człowiek dojrzały, dla którego ona

nowością nie jest, od choroby niebezpiecznej bronić się powinien rozumem.

— Tak jest, cicho wybąknął Orbeka głosem stłumionym, wiem doskonale wszystko co powiedzieć możesz, bo sam to sobie mówię i powtarzam, ale...

— O! jest więc ale... spytał Sławski.

— Jest ale — wstchnął Walenty, jest ale — niestety! Wiesz ty, co to jest żyć bez przywiązania gwałtowniejszego do nikogo, zdradzonemu, zestarzałemu w samotności? mówić sobie nieustannie, życie się kończy, jam tyle pragnął, a nic nie otrzymał? Człowiek dochodzi do tak rozpaczliwego spragnienia, że gdyby w napoju podanym czuł truciznę, — woli ją wypić, niż usychać z żądzы nienasyconej.

— Mój kochany, odpowiedział Sławski, pojmuje ja ten stan, bom przez ognie jego przechodził. — I ja marzyłem o kobietach i kobiecie, i dla mnie śmiały się nadzieje, a ubóstwo i stosunki spychały mnie nieustannie w objęcia takich istot, które we mnie obrzydzenie wzbudzały. Nareszcie zwęglony gorączką potrafiłem powiedzieć sobie, że moje życie obędzie się bez kosztownej ambrozyi, zem wydzieńczony, i z losem moim pogodzić się powinienem. Po mężku, surowo trzeba się z sobą obchodzić.

— I to wiem, rzekł Orbeka, ale kto niema siły mężkiej i energii?

— Kochany przyjacielu, zawołał Sławski! ten... daruj — mi ten w kałuży tonię.

— Fatalność!

— Niema fatalizmów, jest wola! ale potrzeba mieć odwagę ją uzyskać.

— Wówczas na co się zdało 'życie' spytał Orbeka.

— Posłuchaj mnie. zrozumiesz, zawołał rozgrzewając się Sławski.

Będę mówił długo i z pewnością nudnie, ale noc jest tak piękna, a tyś w takim ducha usposobieniu, że możesz posłuchać. Dla mnie to gratka miła wywnętrzyć się z myśli, którymi rzadko z kim w życiu się dzielę.

Nie sądź, ażebym nie rozumiał tego niebiańskiego szczęścia, jakie miłość dać może; ale taka miłość, to wielki los wygrany na loteryi życia. Na sto tysięcy ludzi, jeden może go chwytą.

Ta miłość idealna, iluż potrzebuje warunków, aby była jasną gwiazdą żywota, sympatyj, temperamentów, namiętności, harmonij charakterów, szczerości serc, miłości z ciała i miłości z ducha, szacunku, wiary? Niech jeden ton fałszywy znajdzie się w tej gammie, cały śpiew w dysharmonią się rozprzęgnie. Taka miłość trwała, to *rara avis in terris...* liczą w historyi za osobliwość te stadła serdeczne. Marzyć więc o niej ludziom, choćby najgoręcej spragnionym tego niedostępnego szczęścia, jest-to czas tracić mar-no i usychać na lodydze.

Ja życie inaczej rozumiem, mijając nawet cel jego-poważny, główny, udoskonalenie człowieka, podnieci-sienie go, wyszlachetnienie — to pragnienie miłości zwracam ku innemu celowi, kocham naturę, piękność wszelką, i to ją co odtwarza — sztukę. W niej szu-kam nasycenia, szczęścia chwilowych a niezmąco-nych niczem rozkoszy. Tak i ty niegdyś pojmo-wałeś życie.

Na widok obrazu pięknego, posągu, zachodu słońca, wspaniałej okolicy, słuchając muzyki, czy-tając poezję, używam, łączę się ze światem, żyję, czuję żem wyższą istotą, i dosyć mi na tém.

Chwilka szalu, którąbym gorzko opłacić musiał upokorzeniem, zawodem, żałami, zdaje mi się nie-godną ścigania, upadlającą człowieka.

— Dajes mi broń do odpowiedzi zwyciężkiej, odparł żywo Orbeka—jedném więc tylko cię zbiję; życie całe jest loteryą. Dla czego mi na nią stawieć nie pozwalasz, gdy wszystko jest stawką na niepewne? Czemu ja nie mam być tym jednym ze stu tysięcy, szczęśliwym wybranem?

— Oto naprzód dla tego, mój kochany przyjacielu, rzekł smutnie Sławski, że dziś, choć z sercem ciepłym, nie jesteś już młodzieńcem; a zatem mniej jeszcze jest prawdopodobnem, ażebyś w kobiecie miłość gwałtowną miał wzbudzić. Będzie ona udawać przywiązanie, oszukiwać ciebie, ty sam się uwodzić będziesz i...

— A jeżeli mi to ma dać szczęście? dla czegoż mam koniecznie posyłać do mennicy moje złoto? jeżeli złotem będzie dla mnie...

— Przyjacielu, rzekł Sławski, kto tak rozumuje, tego już przekonać niepodobna. Lękać się istotnie zaczynam o ciebie, bo chcesz być uwiedzionym, a zatem nim będziesz.

— A jeżeli zyskam chwilę szczęścia? spytał Orbeka.

— To ty nazywasz szczęściem! o człowieczel o bluźnierco!... Jeżeli w myśli twój stoi obraz téj kobiety, nie mów-że o szczęściu! Jest-to czara może uroków pełna, ale zatruta! Dla mnie sama ta myśl, że kobieta z tysiącem niedogastych wspomnień, z niestartemi jeszcze pocałunkami dawnych kochanków... Nie, kochany Orbeko, nie dawaj temu szałowi, który cię może pochwycić, ani imienia miłości, ani nazwiska szczęścia; bluźniłbyś! Ja ci powiem jak się to nazywać powinno— rozpustą.

— Niestety! dodał po chwili Sławski, rozpusta przejada świat do kości, jój wyłącznie przypisać należy spodlenie, upadek rodzaju ludzkiego. Właśnie w imię

tęj idealnej miłości niebieskiej, klątwę rzucam na to co z niej dziś zrobiono. To połączenie serc, które powinno być wielką i świętą, upoczystą chwilą życia, zmieniono na zwierzęcą swawolę, nie przebieającą w niczem, byle się rozpasana nasyciła. Nikt kochać nie unie, i potem dziwują się, że szczęścia niema nigdzie, z małżeństwa zdarto to, co stanowiło jego urok i świętość, ze związków dusz zrobiono bydlęce.

— Dosyć, przerwał Orbeka, przyznaję ci słuszość, ale dlatego że nam przypadło żyć w tej epoce zepsutej, mamyż się wyrzec jedynych lepszych chwil życia?

— Pozwól sobie powiedzieć, że się słabo nader bronisz, albo raczej słowo tylko rzucaz bez myśli. Widok tej kobiety roznamietuił cię, a namiętność nie słucha już ani rozumowan, ani argumentów. Ja cię kocham, ja cię żałuję, a przewiduję twój upadek.

— Cóż mi radzisz? spytał Walenty.

— Wyjeżdżaj, pakuj się, napisz list, przeproś, ja za ciebie pójdę na obiad jutrzejszy.

— Zobaczymy! odparł cicho Orbeka... Dobranoc ci.

— Słowo jeszcze, mam przyjść jutro rano... aby cię odprowadzić?

— Tak jest, namysle się, jutro rano... czekam cię jutro rano. Dobranoc.

Z boleścią uściśnął rękę przyjaciela Sławski, i odszedł powoli, ale się jeszcze raz zawrócił do Orbeki.

— Daruj mi, rzekł, podając dłoń raz jeszcze, mówiłem z tobą nadto może otwarcie, rzeczy przykre; zdawało mi się to obowiązkiem; kocham cię, przykro by mi było, gdyby to przyjaźń twą dla mnie zachwiać miało.

— O! nie. nigdy, zawołał rzucając mu się na szyję Orbeka. w duszy mojej, tam głęboko, każdy

wyraz twój oddźwięk znalazł. Ale słaby jestem, nad wyraz słaby... Czuję że masz słuszość, że ja mieć jej nie mogę; a jednak...

— Więc wyjeżdżaj jutro.

— Zobaczymy.

Uścisnęli się i rozesli. Sławski poszedł ku Żelaznej Bramie, Walenty skierował się w stronę przeciwną ku Krakowskiemu Przedmiesciu. Stał jeszcze naówczas w Saskim ogrodzie pawilon później zburzony, w którym przechadzający się znajdowali chłodzące napoje i łakotki. Choć późna już była pora, jaśniał jeszcze światłami, i wesołe towarzystwo snuło się koło niego. Wiele osób z teatru wysunęło się tu na przechadzkę, gwar i śmiechy słychać było wśród rozstawionych krzeseł, które wielkie zakreślały koło. Na siedzeniach tych pełno było pań strojnych, w pośrodku mnóstwo panów, którzy się koło nich kręcili, przynosząc limoniadę, orszadę i cukierki.

Ordeka wracając musiał mijać to koło i zboczył nieco w ciemną aleję. Pomiędzy nią, a ostatniem krzesłem właśnie tyle zostawało wolnego miejsca, ile na jednego przechodnia było potrzeba. Walenty nie patrząc przed siebie, ze spuszczoną głową wymykał się tym wązkim przesmykiem, gdy uczuł że go ktoś z lekka za rękaw od sukni pociąga. Zdziwiony podniósł głowę i o mało nie krzyknął z przestachu, ujrawszy przed sobą piękną Mirę, która mu się uśmiechając, opróżnione obok siebie pokazywała siedzenie.

— Siadaj że mi pan tu zaraz, siadaj, bo oto ten nudziarz stary zajmie krzesło, a ja go nienawidzę.

— Pani mnie poznałaś? rzekł siadając schwytany Walenty.

— Ale któżby przybyłego ze wsi, choćby naj-przyzwoitszego człowieka, nie poznał w Warszawie? rzekła śmiejąc się piękna pani; a potem, bez pochlebstwa, rysy jego twarzy, od czasu jakim go w działa grającego Sonatę Beethowena, ani na chwilę mi się zapomnieć nie dały.

— A pani! wybełkotał Walenty zniższany.

— To — ach... jest pełne znaczenia, przerwała mu kobieta, nie prawdaż? to ach! — oznacza, że mi pan nie wierzysz, że mnie masz za pochlebnicę — *tranchons le mot*, za zalotnicę. Taką zapewne odmalowali mnie panu ludzie... A! z początku złośliwe języki raniły mnie bardzo, ale się do wszystkiego, nawet do ran przywyka. Wiem, że mam straszną sławę kokietki, wietrznicy.. Sądź pan o mnie jak chcesz... ale niepotępiaj na słowo ludzi... zawczasu.

— Ale pan! — przerwał Orbeka, próżno usiłując zebrać myśli i przyjść do słowa.

— I to — ale, niepotrzebne, zawołała Mira, bo nieuwierzę zaprzeczeniom. Jużciż ani pański przyjaciel, ten zacny Sławski, purytanin, nie mógł panu o mnie nic dobrego powiedzieć, ani nawet moja kochana rodzina... niestety! ja nie mam przyjaciół... Westchnęła.

— Masz pani wielbicieli za to... rzekł po eichu Orbeka.

— *C'est ennuyant* wielbiciele. Wystaw pan sobie los nieszczęśliwej kobiety, którą oblega hołdami gro-no takich, jak o to ten co stoi i czatuje na boku, fireyków, jak ów w popielatym fraku, dowcipnisiów bez serca, jak tanten zielony z guzami stalowemi... *tutti cuanti*? A! cały dzień słuchać ich hymnów do słońca, wiedząc, że wieczór pójda do jakiejś Joasi lub Marysi z resztkami tych komplementów... *a! fi!*

Walenty spuścił głowę.

— Pan się boisz spojrzeć na mnie czy co? szepnęła Mira... nie widzę pańskiej twarzy i to mnie niepokoi, bo posadzam ją o usiniech szyderski.

Orbeka podniósł oczy nagle i spotkał wejrzenie ogniste, nielitościwe kobiety, która z rodzajem prawie bezwstydu mówiła mu oczyma, czego sercem dotrzymać nie mogła.

— Nie dziwuj się pan, poczęła szeptać powoli, malusią swą łezkę kładąc na jego ręce, że tak pana chwytam, łapię, aresztuję na drodze, ciągnę. Nie tłómacz pan sobie tego na złe, proszę. Ja się przyznam, mnie i ci ludzie i to towarzystwo piekielnie nuży, jestem jak ktoś, co ciągle żąda proszone obiady przez jednego gotowanego kucharza, i w końcu rzucić się chciwie na kawał zdrowego razowego chleba. Pan jesteś dla mnie tym wijskim chlebem razowym zdrowym i posi'nym, nie zepsuło cię miasto, nie wywietrzała z was woń człowieka, macie serce...

Tu umilkła, Walenty był oczarowany, myśl ucieczki i odjazdu daleko pierzchnęła; kobieta po chwili mówiła dalej.

— Ja lubię być aż do nieprzyzwoitości szczerą. To moje sympatyczne usposobienie dla pana wydać się może wam, po tém coście o mnie słyszeli, bardzo podejrzaném? Wyście bogaci, ja uchodzę za chciwą i rozrzutną; naturalnie posadzić mnie można o interesowność. Ludzie gotowi myśleć, że zuów bym się za mąż wydać chciała!

— Tu w Warszawie, odpowiedział głosem drżącym Orbeka, wątpię by to komu na myśl przyszło mogło, znają mnie dawniej, wiedzą, że *byłem* żonaty i że dotąd za żonatego się uważam.

Na te słowa wypowiedziane mimowoli, Mira aż się cofnęła z krzesłem, ale prędko zdziwienie swoje pohamowała.

— Cóż to za tajemnica? spytała.

— Nie jest to tajemnicą żadną, ludzie tylko może zapomnieli o tém, jako o rzeczy małej wagi. Tak jest pani, byłem żonaty, byłem zdradzony, żona moja zmusiła mnie do rozwodu... wyszła za mąż..

— A więc pan nie jesteś żonaty? spytała żywo Mira.

— Owszem pani,— ja to inaczej pojmuję, kto raz był żonatym, ten jest nim na zawsze.

Zimno, dziwnie uśmiechnęła się piękna pani.

— Do téj tajemnicy, dodał powoli Orbeka, dodać muszę, ponieważ jesteśmy w chwili zwierzeń poufnych, że pani uczyniłaś na mnie od pierwszego wejrzenia nadzwyczajne wrażenie.

— Ach! uśmiechnęła się Mira.

— Podobieństwem niesłychaném do téj, którą... Nie mógł dokończyć.

Smutno jakoś piękna rozwódka zagryzła usta i potrząsała główką.

— Mówisz mi pan rzecz nader nie miłą, odpowiedziała, — to podobieństwo odbiera mi cały urok nowości, który jest potęgą... jestem panu istotą znaną, nienawistną, cieniem zdrady, przypomnieniem bólu...

— I zawiedzionych nadziei...

— Ale mówże mi pan szczerze, spytała, jakie to podobieństwo obudza w nim uczucie?

— Smutek wielki, i urok wielki.

Błysnęły piękne oczęta, rozsmiała się.

— Al to dobrze, zawołała, jesteśmy więc dawni znajomi, rozpoczniemy starą historię od tego miejsca, na którym w nieprzyjemny sposób przerwana została.

Zarumieniała się nieco, obracając to w śmiech i żart.

— Na coś mi pan to powiedział? dodała, teraz sama nie będę wiedzieć jak być z panem.

— O! na Boga, bez namysłu, bez rachuby, naturalnie, przerwał Orbeka.

— Tak? spotała patrząc mu w oczy... dobrze... podaj mi pan rękę i odprowadź mnie do powozu, który stoi na placu. Trącę tylko Lullier, która tak się zagadała, że mnie już nie widzi, bo ją zabrać muszę. *Eh bien* Lulu! jedziemy! Lullier wstała przeprowadzana przez poważnego mężczyznę. Mira puściła ich przodem, sama sparła się na rękę Orbeki, a raczej uchwyciła się jój i szepejąc mu na ucho, co jój tylko przeszło przez głowę, pojąc go, swawoląc doprowadziła do karety.

— Dobranoc, zawołała, wychyliwszy się doń jeszcze, ale pamiętaj że pan, czekam go jutro z obiedem.

Ciszej szepnęła.

— Będziemy prawie sami!

Walenty po jój odjeździe uczuł jakby włókł za sobą kajdany — ale — był szczęśliwy!!

ROZZIAŁ VI.

Oczekując na przyjscie Sławskiego, Orbeka trapił się zawczasu wymówkami jakie miał słyszeć od niego, szukał napróżno argumentów któremi by mógł zbijać, głosu, którymby go rozbroił; ale Sławski nad wszelkie spodziewanie nie zjawił się rano, dopiero przed samą godziną obiadową, przyszedł ubrany w mundur... zamysłony i smutny.

— Wiedziałem, rzekł w progu, że nie wyjeździesz, pocóż daremnie miałem cię męczyć. Wczoraj wieczór wzruszony, chociaż chciałem już wrócić do domu, nie mogłem na sobie wymódlę uspokojenia i wszedłem przechadzać się sam po Saskim ogrodzie; widziałem cię siedzącego przy tej czarownicy, szpiegowałem, gdyś ją do karczmy odprowadzał. Potém już nie wątpiłem, że pozostaniesz.

Walenty w milczeniu uściśnął rękę przyjacielowi.

— Lituj się nademną—odpowiedział, ale mnie pozostaw losowi.

— Dziś już milczę,—odezwał się Sławski, zdaje mi się, że rozumować z tobą byłoby zapóźno. Masz słusność, żal mi cię serdecznie; jesteś skazany na ciężkie boleści. Znasz tę kobietę, wiesz co tylko wiedzieć o niej można, możesz sam przewidywać co cię czeka i spotka niechybnie... Stało się...

Zamilkli; Orbeka wziął kapelusz i wyszli razem ku mieszkaniu Miry.

Milczący doszli do sieni przedzielonej drzwiami szklannymi, z po za których widać było kwiatami i zielenią ubrane schody. Ta wonna droga zaprowadziła ich na pierwsze piętro, lokaj w liberyi galonowanej, herbownej, stał u wnijscia. Wszystko zapowiadało dom na wielkiej stopie, lub przynajmniej chcący za bardzo pański i wytworny uchodzić. Ale zarazem czuć było we wszystkiém co otaczało jakąś kruchość, coś przybranego, nie swojego... W pokojach, które przechodzili, pełno było pozostałości wielkiego dawnego przepychu, resztek różnorodnych wspaniałych, drogich, pomieszanych ze sprzętami nader pospolitemi. W całém przybraniu apartamentu harmonii żadnej, nieładu ukrytego wiele. Pomimo to mieszkanie, jak pani, miało jakiś wdźwięk pociągający, jakiś urok swobody, coś nęcącego jak nie-

rozwikłana tajemnica. A czegoż w niem nie było! Bronzy, alabastry, mozaiki, obrazy, posągi, antyki, gobeliny, porozrzucane kosztowne księgi, poplamione, powiędłe bukiety, miniatury, sylwetki. Fantazyja nieubłagana téj kobiety w chwili gorączkowych zachceń zgromadziła te cacka i skarby, aby jutro rzucić je w pył i obojętnie zapomnieć.

Ten chaos pamiątek nie poszanowanych, to ementaryzsko żywota namiętnego przedstawiało się obcemu na pierwszy rzut oka, dosyć wesołym i ciekawym. Jakis instynkt mimowolny umiał to wszystko nie myśląc ustawić tak, by oryginalnością pociągało. Znać było charakter kobiety nie myślącej o jutrze płynącej z wodą na losy, w naj mniejszych drobnostkach... wczorajsze jój szczęścia. już dziś pył pokanapą zasypał. Nieocenione skarby, okryte pocałunkami niedawno, walały się po kątach, jak opuszczeni kochankowie. Kwiaty egzotyczne, okupione może usniechem i łzami, więdły niepodlewane, kosztowny szal turecki zwinięty w kłęb, wypełniał jakiś niewygodny róg kanapy. Książki w oprawach drogich widać było porozpłaszczane na krzesłach. Łóżo Rafaela służyły do podwyższenia zbyt niskiego siedzenia przy fortepianie. Pamiątka kilkomiesięcznych gorączek, arfa, na której się grać uczyła pani, z porwanymi strunami osmurniała spoczywała w kącie na pokucie, choć niedawno kilkaset dukatami opłacono jój sprowadzenie z Paryża, a z niecierpliwości dobywając, pakę kazano porąbać w kawaly.

Tak wszystko...

Na chwilę przed przybyciem gości, zaprzątniono się w pokojach, aby je nieco do porządku przyprowadzić, ale ten ład był pśpieszny i powierzchowny, z po za niego przeglądało długie zaniedbanie.

Świeże kwiaty źle zasłaniały powiędłe, a wonne

kadziłło męszało się do jakichś dziwnych wyziewów pyłu razem i wilgoci. Zbytek prawie królewski na jednej ścianie, sprzeczał się z niezrozumiałemi kłamstwami, użytymi do osłonięcia nagości drugiej.

Gdy weszli, nie było jeszcze nikogo w pokojach, choć się godzina obiadowa zbliżała, kilku lokajów przesuwało się niespokojnie i pośpiesznie, jak gdyby nie wszystko jeszcze było gotowem.

Przewidująca gospodyni, dopiero na pół godziny przedtem wychodząc się ubierać, przypominała sobie mnóstwo nieodzownych rzeczy, których do obiadu brakło. Chciała ona obiad uczynić wytwornym, ale lubiąc we wszystkim przepych i epikureizm, najmniej była zdolną wygospodarować je sama. Musiał to ktoś za nią robić. Wczorajszy w łoży widziany młodzieniec p. Hornim, wysłany na miasto, miał jeszcze dostarczyć niektórych lakoci i przyborów, które dla zwyczaju i tonu, dla pokazania gościom dostatku, mieć było nieodzownie potrzeba.

W saloniku do którego weszli, cisza była, ale sprzęty zdawały się hałasować, tak jakoś w niezgodzie były z sobą. Drżący, przejęty Orbeka usiadł pod wrażeniem jakie zawsze czyni na mężczyznę gniazdko kobiety, która go za serce pochwyciła mimowolnie; czytał on w tém co ją otaczało historję życia, oczy i myśl trafiały na przykre wyznania, a namiętność usiłowała je sofistycznie wytłómaczyć, na piękno i dobro, a jednak serce mu się ścisnęło. Sławski, który raz pierwszy był w mieszkaniu ekspodczaszyniej, znajdował w niem wymowne potwierdzenie swoich domysłów. Szyderskie pół-uśmieszku błąkało się po jego twarzy.

Zaszeleściła suknia, dwaj goście się porwali zwracając ku drzwiom, ale wchodząca strojna i piękna pani, nie była gospodynią domu. Była to ta

ślawna Lullier, trochę trzpiot, wiele zręczna, a nadzwyczaj miła istota, która w ówczesném towarzystwie tak przeważne i od wszystkich uznane umiała sobie wyrobić stanowisko.

Lullier służyła dobrze swym rywalkom, nawet nieraz tak rozległe miała stosunki, taką łagodność i wyrozumiałość, taki dar przymilenia, że ją wszyscy lubili, a nieraz w bardzo trudnych i ważnych interesach, ona służyła za pośrednika.

To też Lullier bywała przyjmowaną i dobrze widzianą wszędzie. Znajdowano ją w najwyższych sferach i w najskromniejszych towarzystwach, wystukiwała sobie biedaczka spokój, bezkarność, pobłażanie. Co w duszy jęj mieszkalo, na co jęj to wszystko było potrzeba okupywać tak drogo, któż zgadnie? Była wesoła zawsze tak, iż posadzać się ją godziło, że w duszy musiała mieć tą maską zimną pokryty smutek wiekuisty. A spełniała swe obowiązki gorliwie, serdecznie, była na posługi wszystkich pań, nawet gdy co u swych mężów wyrobić chciały, posłem, pośrednicą, listonoszem, korespondentem, donosicielem, jednała kredyt, pożyczala pieniędzy, wypowiadała miłość odprawionym kochankom, przychodziła z oznajmieniem zdrady do pań, które opuszczano.

Lullier była jeszcze piękną, ale tę piękność winna była sztuce już po części i niezachwianemu spokojowi, z jakim wiodła resztę życia. Śmiała się wprawdzie, ożywiała, oburzała, twarzyczka jęj marszczyła się delikatnie czasem, zarumieniała lekko, bladła, ale te wzruszenia nigdy nie dochodziły do głębi. Grała spokojnie, ziewając i nudząc się komedya życia, obojętną, oklepaną, której wszystkie sceny dawno umiała na pamięć.

Alesmy za długo zatrzymali się w progu z piękną panią, po której w ślad nadbiegł Hornim, adjutant służbowy gospodyni domu. Koszyki jakieś i pudelka oddawszy w przedpokoju, zjawił się, jakby dopiero do raz pierwszy przybywał, chociaż od dziesiętej z rana pełnił swe obowiązki.

W saloniku ożywiło się nieco, a po dziesięciu minutach oczekiwania, nadbiegła wreszcie zdyszana, zapinając na sobie rękawki koronkowe, piękna Mira, z przeprosinami do gości.

Była wystrojoną do twarzy, ufryzowaną cudownie i tak młodą, że Lullier aż krzyknęła zdziwiona, witając ją na progu. Wyglądała na piętnastoletnią dziewczkę. Róża u boku i róża we włosach nie były świeższe nad nią. Oczki się jej świeciły niecierpliwością, zniecierpliwieniem, żądzami, marzeniami.

— A! przepraszam, stokrotnie przepraszam, moich najmilszych gości, zawołała, po przywitaniach rzucając się na kanapę zmęczona — ale co to jest być gospodynią domu, kiedy do tego Pan Bóg nie stworzył.

Duszo było w saloniku, otworzyła okno, do czego Hornim dopomógł i nie mówiąc, długim wejrzeniem zbadała Orbekę, jak żeglarz, który zapuszcza sondę, nurtując morze, czy się na niém okręt utrzyma.

— Z góry moich gości przepraszam za obiad — dodała — nie gardzę ja dobrym obiadem, ale niestety! sama go nawet zadysponować nie potrafię. Nie mam tego talentu gospodyni, którym się inne panie odznaczają. Do gotowego siadam z przyjemnością, ale... gdyby nie łaskawy kuzyn.

— Wskazała na Hornima, któremu zdaje się, że nadała nazwisko to, aby wytłómaczyć jego stanowisko w domu.

Młody człowiek zarumienił się, zmieszał trochę, gdy we drzwiach kamerdyner z serwetą oznajmił, że obiad był na stole.

Chwilkę stała zakłopotana pani domu, myśląc, jak tą procesyą ceremonialną do jadalni rozporządzić, nie życzyła sobie odstąpić Orbeki pani Lullier, a jój trzeba było dać jako kobiecie pierwszeństwo, które wołałaby była przyznać milionowemu niewolnikowi swemu.

Wykręciła się z tego bardzo zręcznie.

— Panie Sławski, jako-lepiej znajomy, podaj pan rękę Luli, ja poprowadzę mego ziomka.

Sławski posłuszny, posunął się ku pięknemu posagowi uśmiechniętemu już do niego i z gracyą podającemu rękę, pani Mira porwała Orbekę i pochyliła swą świeżuchną twarzyczkę ku niemu, szepcząc na ucho, oblewając gorącym wonnym swym oddechem. Czuł ją przy sobie i drżał biedny człowiek, z ust słowo mu się dobyć nie mogło, tak był upojony.

Za dwoma parami, z głową spuszczoną, powłókł się świeżo kreowany kuzynem, Hornim.

Salka jadalna była krągła, białe ze złotem przyozdobiona. stół błyszczał kryształami, bukietami, gdzie niegdzie kosztowny okruch starego serwisu srebrnego się okazywał. Ale każda sztuka od innéj zdawała się oderwana całości.

Około Lullier siadł z jednéj strony Sławski, z drugiejj Orbeka, dalej naturalnie Mira, przy niej na podoręczu Hornim.

Obiad, pomimo zapowiedzi gospodyni, był wytwórny, nie gotował go wprawdzie Tremo, ale pierwszy jego uczeń na ten dzień uproszony.

Umiejętna też ręka wybrała wina z najlepszych piwnic stolicy, w której najdoskonalejj zaopatrzone w światcie znajdowały się lochy. Orbeka, który był

przywykł do swego życia anachorety, do azklanki wody, a czasem kieliszka lekkiego wina, uląkł się nstarczywości, z jaką mu nalewać zaczęto i zmuszać do picia.

Szczególniej troskliwą o to była piękna gospoia, która wiedziała może, że wino śmiałym czyni, że rozwiązuje usta, że żywiej każe bić sercu — i że po rozbudzeniu, człowiek zachowuje pamięć snów swoich. Niepodobna się było bez niegrzeczności oprzeć naleganiom. Hornim wstawał z flaszką, nieodchodził od krzesła, a słiczna rączka Miry. sama też z wdziękiem Heby nalewała nektar.

A! ta rączka!

Jaki wdziek i urok, jakoby tajemniczą siłę niewysłowioną ma ręka kobieca! Najpiękniejsza, najmiłsza z nich, jeżeli nie ma pięknej ręki, jest istotą niedokończoną. Ręka mówi, ręka dopełnia wizerunku charakteru, ręka jest tajemniczym godłem. które skupia w sobie cały wizerunek istoty.

To też piękna prawdziwie ręka, ręka rozumna — bo są ręce rozumne, ręka czuła — bo są czułe, ręka posągowa, idealna, bywa tylko udziałem bardzo niewielu.

Ręka, to genealogia kobiety, świadectwo jej przeszłości, przepowiednia przyszłych losów. W niej od miękkiej epidermy co ją pokrywa, od barwy co ją krasi, od różowego pazurka do najdrobniejszego szczegółu, wszystko ma dla badacza niezmierne znaczenie. Jest to hieroglyf, w którym przedstawienie jednej drobnej kreski, zmienia wyraz całości. Zdaje się, że dosyć pięknej rączki, aby najbrzydsza kobieta wydała się zachwycającą, gdy bez niej — anioł piękności, zda się brzydkim.

Dlaczego Bóg w tych pięciu paluszkach do różowej przyczepionych dłoni pomieścił tyle? to jego tajemnicą.

Ze stanu barbarzyństwa powoli wychodząc człowiek, gdy od pracy mechanicznej do coraz uszlachetniającej go bardz ej postępuje, — traci powoli rękę pierwotną nieledwie podobną do rozszczepionej łapy zwierzęcia, do ko-matěj pięści goryla i wyrabia rękę inteligentną. rękę czułą, zręczną, silną razem i piękną. Tylko plemiona dawno wykształcone, mogą mieć te ręce, które podobają się nazwać arystokratycznymi, a które są rękami nerwów i rozumu, bo ręka nie przychodzi od razu, na nią jak na typ twarzy pracują plemiona i pokolenia.

Dziwna rzecz, że w człowieku naprzód się wyszlachetnia oblicze, naprzód wypiękniają rysy twarzy, a na ostatku ręka.

Są całe narody, jak niemiecki, których rysy fizyognomij już są cywilizowane, a ręka jeszcze rzemieślnicza i ziemską.

O ręce ludzkiej, księgi by pisać można; nie dziwujemy się wcale chiromaneyi, bo chirognozyą mamy za naukę posłkującą fizyognomice, bez której ona pełną być nie może. To pewne, że kto ręki człowieka bacznie nie obejrzał, ten go jeszcze nie zna. Jeden wszetecznie brzydki palec, odstręcza i przestrzega, będzie tam wszystko piękne, a coś ułomnego w charakterze, gdzie ręka jeszcze kaleka. Kto się nad tém kiedykolwiek zastanowił, nie posądzi nas o przesadę.

Rękę wykształconego człowieka, Bóg dał jako przestrożę dla ludzi, aby go po niej poznali, jestli całym takim, jakim się wydaje.

Mira miała ręce precudne, pociągające, białe, drobne bardzo pozakończanemi, z dłońmi jakby tenną pomalowanemi na czerwono, ale w patrzywszy się w nie, rączki te przestraszały. Były suche, zimne, elastyczne, a bez czucia. Właścicielka, mimo staran-

nego utrzymania ich, nie mogła się powściągnąć w ciwilach niecierpliwości, od pogryzienia i poodzierania ich nieco. Baczniejszemu mogło by to być coś powiedzieć o charakterze, ale Orbeka widział tylko sympatyczny krój tych rączęt ruchawych, swierzych, pulchniutkich, a z ręcznych jak łapki wiewiórki.

Niewiadomo jakich środków tego dnia użyła Mira, aby się stać jak mówił—*irresistible*, to pewna, że była zachwycającą, i że po niej nieznac było najmniejszego starania, wysiłku, pracy około podobania się, była cudownie naturalną, dziecinnie naiwną.

Potrafiła też rozpoić winem i wejrzeniem Ortekę nową Circe, i zrobić z niego posłuszną sobio istotę. Mówił, uśmiechał się, czuł, jakby rozmarzał po długim zziębnięciu.

Mira trochę niegrzecznie zapomniała o wszystkich nawet o kuzynie Hornimie, cała się oddając przybyszowi, na którego doprawdy tak wielkich zachodów nie potrzebowała. Biedny człowiek, był już podbity, związany i przygotowany na niechybną zgubę.

Pani Lullier, która mimo uwagi gospodyni uczynionej przed obiadem, bardzo zdaleka tylko знаła Sławskiego, i nie czuła najmniejszej ochoty zbytecznie się doń zbliżać, widząc się wreszcie osamotnioną, bo Orbeka nie przemówił do niej nawet, zawiązała rozmowę z sąsiadem. Hornim się bawił butelką, nie miał z kim.

Z razu pani Lullier trochę lekko traktowała Sławskiego, sądząc, że ma do czynienia z jedną z tych istot podrzędnych bez inteligencji, z którą rozmowy, do jakich ona przywykła, poprowadzić nie będzie można, ale po kilku słowach, postrzegła, że się omyliła. Lullier była istotą zużytą i chłodną, ale jeszcze dowcip i rozum czynił na niej niejaki wrażenie.

Zwróciła się więc z przyjemnością do Sławskiego,

widząc, że ją zrozumieć.

W kilku słowach, poufalsza rozmowapół cicha się zawiązała.

— Cóż pan mówisz, o téj parze tak zajętej sobą? spytała go po chwili. Powiedz mi pan, bo ja się nie od niej dowiedzieć nie mogłam, dawno się oni znają?

— Ten pan, zdaje mi się, drugi czy trzeci raz w życiu ją widzi, odparł Sławski, ale są fatalności i sympaty.

— A! rozśmiała się Lullier, wierzysz pan w to baśni stare? O! mój panie, te czasy, gdy kobieta w tłumie, nieznając mężczyzny, niewiedząc kto on jest, mogła się nagle w nim rozkochar — bezpowrotnie minęły. Tak mi się zdaje. I wy się nie kochacie i my się nie umiemy kochać. Nowość ma urok chwilowy, jak dzieci szukamy zabawki, a gdy rozbiwszy ją, w środku znajdziemy kłaki lub otręby, rzucamy.

— Ale czyż zawsze tylko te rzeczy się w zabawkach znajdują? spytał Sławski.

— Prawie zawsze, odpowiedziała Lullier. Ale, powiedzże mi pan, dodała bardzo po cichu, nieprawdąż iż jest niezmiernie bogaty?

Sławski się uśmiechnął prawie szydersko.

— Jeżeli pani tylko odgadujesz, rzekł, to masz prorocze wejrzenie, przed kilku tygodniami zaledwie odziedziczył on spadek ogromny.

— A! zawołała Lullier — i spojrzała z ukosa na Orbeckę, jakoby sama siebie próbując, czyby dlań czuła być potrafiła.

Odmałowaliśmy nieco już bohatera naszego, był to człowiek nie młody, nigdy nie można go było nazwać pięknym; miał jednak w fizyognomii coś smutnego, miłego i co zowią sympatycznym. Mówiła

nieć wielka rezygnacya i łagodność. Zresztą, twarz miał jedną z tych, co nie są zbyt świeże w młodości.

ani zbyt się zasępiają i grzybieją na starość. Kobieta nie mógł się podobać od razu, ale można się doń było silnie i na wieki — mając serce przywiązać. Orbeka był do zbytku uczuciową istotą, choć się z tej choroby całe życie rozumem wylczył starał.

Tak przeszedł obiad, którego gastronomiczną wartość, jedna tylko chłodna Lullier smakoszka i znawczyni, ocenić była w stanie.

Inni goście nadto byli zaprzątnieni. Hornim zjadał się zazdrością, choć go czasem dolatywał uśmiech Miry, na złagodzenie jego bólów wysłany; Sławski bawił się dowcipną sąsiadką więcej niż półmiskami, a o reszcie mówić nie potrzebujemy.

Kieliszki zręcznie mieniane jedne ustępowały przed drugimi, wina się mieszały, naostatek przyszły Tokaje, deser i ruszono się od stołu w tym stanie rozbudzenia, wesela, błogości, który sprawia zawsze dobry obiad w towarzystwie przyjemnym.

Lullier podała rękę Sławskiemu, ściskawszy z uśmiechem dziwnym dłoń drzyjaciółki, uśmiech ten był tak wymowny, że się Mira zarumieniła — gospodynią ujął sam już Orbeka. Hornim znówu stanowił aryergardę samotną i smutną. Na pociechę był do brze podchmielony i jako kuzyn domu (świeżo kreowany) po drodze sobie nucić pozwozwolił.

Do salonu przyniesiono czarną kawę w tureckich prawdziwych kubeczkach, na figlranowych podstawkach.

Hornim nie miał nic lepszego do zrobienia, jak wyjść na balkon i pochylić się smętny na jego poręczy, rozmyślając o znikomości miłostek kobiecych. Lullier sądziła, że będzie grzeczną gdy odciągnie Sławskiego, w kątku salonu pozostał Orbeka i Mira, zasłonięci na pół kilku zielonemi wazonami. Cichym szeptem płynęła rozmowa, obojgu jakoś było dobrze.

a tyle sobie mieli nieskończenie ciekawych do powiedzenia rzeczy.

W tém, wśród téj ciszy błogiéj, od przedpokoju zaleciał szum i hałas niezrozumiały. Gruby jakiś tubalny, ochrypły nieco głos męzki, zdawał się sprzeczać ze sługami i zbliżać zwolna ku salonowi. Słychać już było ciężkie po posadzce stąpanie, straszne jak chód posągu Komandora w Don Żuanie.

Mira zawsze nadzwyczaj drażliwa zaledwie to doszło jéj ucha, pobladła, oczy jéj zaiskrzyły się, zerwała się z siedzenia i pobiegła ku drzwiom, jakby usiłując zapobiedz, jakiemuś niemiłemu a nie w porę zjawisku.

Ale zaledwie kilka ubiegła kroków, głos ten doszedł już wyraźniejszy do salonu.

Widocznie gospodyni usiłowała pozbyć się jakiegoś natrętnego przybysza, który się wpierał gwałtownie.

— Ale dlaczegoż nie mam wejść, Mirciu kochanie, *amour cheri!* wołał za drzwiami ów nieznany gość.

A po chwili.

— No, to co?—to co? gdybym i był nieco podchmielony, ależ *je suis de bonne société*, głupstwa i nieprzyzwoitości nie zrobię.

— Ale puszczaj-że! co to jest! *J'ai donc mes entrées*, i nie darmo! Salonu mi zabronić nie możesz, kiedy..

Tu mowa jakby przyłożeniem dłoni do ust zątomowaną została, a po chwili nazad gospodyni wbiegła do salonu, przestraszona, pąsowa, i padła przy Orbece na krzesło.

— A — co za nieznosna awantura... rzekła z pośpiechem, człowiek... którego cierpieć nie mogę... natręt... i zawsze podchmielony.. i taki grubianin... a! przepraszam pana... Ale gdzież Hornim?

Nim jednak Hornima z balkonu przywołać się udało i tych wyrazów dokończyć, na progu ukazała się postać całę oryginalną.

Był to mężczyzna nie młody, w peruce, na której niezgrabnie włożony chwiał mu się kapelusz trójgraniasty; ubrany po francuzku, przy szpadzie, z żabotami koronkowemi, z palcami błyszczącemi od pierścieni, z twarzą czerwoną, obrzękłą, widocznie opiłą, usta obwisłemi, oczyma załzawionemi, prawdziwy typ starego birbanta. Chociaż się opierał na trzcinię z gałką złotą, chwiał się na nogach. Oczkami sztydersko przymrużonemi, powiódł po zgromadzeniu.

— *Bonsoir la compagne!* rzekł grubym głosem. A cóż to za jeden? spytał, wskazując laską Orbekę. Ale laskę podniosłszy, musiał się pochwycić za uszak.

— *A diable!* wino kapitalne i dogłowy szturmu-
ajce nie żartem u tego naszego amfitryona. *Pardon!*
wracam z obiadu *A je viens cuever mon vin, chez la*
bonne petite Mira.

To mówiąc, doszedł jakoś do krzesła, i padł na-
nie całym ciężarem, aż się meble zatrzęsły.

Nie trudno się było domysłuwać, że człowiek, który
w takim stanie, tak śmiało wchodził do kobiety, mu-
siał do tego mieć jakieś prawa.

Czuła też Mira jak ją zabijało to zjawienie się
opilego dygnitarza. Ale—był to jeden z jej adora-
torów, którego niegdyś dobrze pono podskubała,
który jeszcze niekiedy dawał sobie po piórku złotem
wrywać. Cóż tu było z nim począć?

Z nadzwyczajną bezczelnością pochyliła się Miry
do ucha Orbeki.

— A! przepraszam pana, to szambelanic, krewna
mój, smutny człowiek, z tą rodziną! o mój Boże! *on*
abuse de notre faiblesse, nie miałam nigdy odwagi dać
mu odprawy. Jest-to człowiek, którego nienawidzę.
Proszę pana, w takim stanie przyjąć do kobiety!

Orbeka już oslepiony, ubolewał tylko nad losem
Miry, ale nie wchodził się w głąb tej katastrofy.

Tymczasem Hornim wywabiony z balkonu, wszedł
i może nie bez pewnego uczucia nasycenój zemsty,

ujrzał szambelanica, którego traf sprowadził, dla rozczarowania czarowanego tak usilnie Orbeki.

Przybyły postrzegł go.

— A ty! tu także? prawda! ty tu teraz na służbie! Gdzież *la petite*? kto tam z nią? *c'est du nouveau*?

Ruszył głową.

— Mirciu, odezwał się, przecież kiedy stary przyjaciel przychodzi, przez pamięć, jeżeli nie jego serca, to jego wypróżnionej kieszeni, godzi mu się uśmiechnąć. *Ou est-elle?* za wazonami. Znam ten kątek, ale mnie tam bywało ciasno.

Lullier zrazu trochę także rozśmieszona tą awanturą, ulitowała się nad przyjaciółką.

Gruby gość spojrział na nią, pogroziła mu na nosie

— A! pani tu! przepraszam, nie postrzegłem. Macnął się po głowie. Wszakże wszedłem w kape-luszu, ale tu, to wszystko mi wolno. *Mira est une bonne petite.*

— Ale cichoż na Boga! tupiąc nogą, odezwała się Lullier, szanuj że...

— No, ba! co mam szanować? he? ciebie? *farceuse*? czy ją? czy tych co tu bywają? *pardon!*

— Szambelanicu, krzyknęła Lullier, *je vous ferai mettre à la porte.*

— No! spróbujcie, na to potrzeba czterech ludzi, a tylu ich nie macie, chybabyście pożyczyli zka?

— Cóż ci się stało? spytała Lulier, czyś oszalał?

— Ale nie, byłem na obiedzie u N. Ha? czy to tylko był obiad? a! nie, to było śniadanie, tak, i pi-
liśmy... popiliśmy się. Wychodząc ztamtąd... Któż mnie
tu przywiózł? A! przyjaciel... pomyślałem sobie, dokąd
iść do domu, nieuchodzi. Syn mógł mi wyprawić tę

sztukę co Cham Noemu, byłbym przymuszony go
przeklinać, a to nieprzyzwoicie. Myślę sobie, a do-
kąd-że? jeżeli nie do małej tej Mirci, którą kocham.
A! słowo honoru, dziś odmłodzoną czuję miłość moją...

Lullier targnęła go za rękaw, i podarła koronki.

Popatrzył na rozszarpnięty, mankiet.

— Nie racya, żebyś mi psuła brabanty moje,
które drogo kosztują. Lulu, dajże mi choć rączki,
gdy Mira zajęta, no! daj! niewiesz jak po winie sma-
kują paluszki kobiece, no! daj! nie ukaszę!

Lullier, śmiejąc się, podała mu rękę, a stary
przypił się do niej i westchnął, potem głowa z wolna
pochyliła się na piersi, ręce na poręczce, i, osuwając
się w fotel, z uśmiechem na ustach—usnął.

Hornim spoglądał na to obojętnie, Sławski ze wzgardą, której wcale nie myślał ukrywać, Lullier z jakimś politowaniem szyderskiem. Biedna gospodyni płakała, a te lzy z oczek przed chwilą błyszczących zalotnością i weselem, rozbroiły Orbekę, który całego znaczenia wypadku, w prostocie ducha, nie pojął nawet.

Widząc zakłopotanie ogólne, Sławski wziął za kapelusz i skinął na przyjaciela, najwłaściwszą zdawało mu się rzeczą, wynieść się co prędzej i uniknąć nowej historii przy obudzeniu

Ale to wyjście śpieszne i z takiego powodu mieszało wszystkie szyki Miry. Mira miała już cały plan ułożony wczesnie, po obiedzie zamówione były konie na przejażdżkę do Wilanowa, na jutro także jakaś partyjka miała się dopiero niby sama nastąpić w Wilanowie... i tak dalej.

W tem nagle przybycie pijanego adonisa, kłóło ję dom, zrażało człowieka, dla którego w całym blasku i uroku wystąpić chciała, wstrząsało zamkiem na lodzie.

Ale cóż było począć? wstrzymać nie zdawało się bezpiecznem, uciekać samęj z domu, niezbyt przyzwotem.

— Moja ty droga, szepnęła ję Lullier, zbliżając się do zapłakanęj — mam ci coś zaproponować: zostawmy tu tego gburę, chodź, jedź ze mną, ja się

umówiłam z sędzią S., że się spotkamy tam wieczorem. Nieśmiem proponować tym panom, dodała Lullier, ale gdyby byli grzeczni, toby nam towarzyszyli, bo biedny Hornim zostanie na straży Cyklopa. aby zbudzony, nie potłukł tu wszystkiego.

Sławski spojrzał na Orbekę, ten był smutny, nie żeby go to zraziło, bo namiętność jest największym z sofistów, ale bolał nad przykrością jakiejś doznała Mira, a gotów był dla pocieszenia jęj, nie do Wilanowa, ale do Ameryki z nią płynąć.

— Jeżeli pan Orbeka chce jechać, ja nie stoję na zawadzie, ale mnie panie darują, bo jam człowiek pracy, godzin niewolniczych, i właśnie muszę...

Orbeka spojrzał na niego, ale Sławski był niewzruszony, ujął przyjaciela za rękę z uśmiechem, i rzekł po cichu.

— Ciebie już pono nie wyratuję, rzekł — no a przyznam ci się, że mnie to nudzi. Czyś ja ci na co potrzebny?

Orbeka szepnął.

— Ale miłym byś mi był bardzo.

Ciszéj jeszcze spytał Sławski.

— Czyś ty tam potrzebny, na co? jeszczebys

mógł i miał powód się wycofać. Walenty mój...

— Ale pan nam nie bałamuć pana Orbekę, szepnęła błagając Mira, która złe wrażenie chwil ostatnich, koniecznie naprawić chciała przejażdżką, proszę pana.

— O! nie! nie, rzekł Sławski wesoło, mówię o interesie. Wiem, że Orbeka powinien być dla nader ważnych interesów jechać do Lwowa.

— Ale jakież interesa są ważniejsze nad prośbę pięknej kobiety? spytała Lullier.

Sławski się skłonił.

Po cichu wyszli z salonu, w którym nad sapiącym szambelanem, stał rozmyślając Hornim, jaką mu sztukę wypłatać i zesłi po schodach. Sławski znowu prowadził Lullier, która patrząc na Lacedemończyka, uśmiechała się, a Mira łzy swe i żale, wylewała na łono nowego przyjaciela.

Orbeka był już tak ślepy, że oprócz tych łez, prócz tego żalu i strapienia nic nie widział, nie słyszał nic, i gotów był na największe ofiary, aby otrząść te zapłakane oczęta.

ROZDZIAŁ VII.

Historya to stara jak świat, smutna jak grób... Przypomnijcie sobie Kleopatrze, którą niewolnicy zawiniętą przynoszą temu, którego czarować postanowiła; Dalilę i Samsona, Omfalę i Herkulesa, i tysiąc innych powieści klassycznych i nie klassycznych, w których kobieta uprzedzonego zawczasu o jej płochości mężczyznę, u nóg swych zwyciężonego kładnie. Cóż gdy mężczyzna nie jest ani Samsonem, ani Herkulesem, ani Cezarem? Nic bowiem słabszego nad mężczyznę, któremu się uśmiechnie to szczęście co się zowie miłością, a najczęściej... Widzieliście pewnie w lasach południowych krajów, na murach i gruzowiskach miłosne bluszcze, opasujące pnie, okrywające rumowiska? Jakże czule obwijają się one na piersi swych ulubieńców! niestety! drzewa schną w tych objęciach i mury się kruszą.

A na górze... bluszcz się zieleni, jak ślicznie powiedział Fredro.

Choć stare to dzieje tych bluszczów i tych — z przeproszeniem — pni — nie mniej są one psychologicznie ciekawe. Każda z takich historyjek ma swe strony nowe, coś czem się od innych odznacza, co oddaje do historyi powszedniej... miłości. Zda się też

nam, że i w tej którą opowiadamy, znalazł się dosyć ciekawe ustępy — choć może nie tak szczęśliwie, jakbyśmy pragnęli odwzorowane.

Przejażdżka do Wilanowa, choć Mira z powodu szambelanica była podrażniona i w duszy gniewna, odniosła przewidziany skutek. Rozdrażnienie czyniło ją żywszą, śmielszą, dziwniejszą, a fantazyja i odwaga nigdy pięknej kobiecie szkody nie czynią.

Z tego wypadku wzięła assumpt, mówiąc po staroświecku, do wyrzekania na Warszawę, stolicę, jej społeczność, ludzi, a wstręt jaki do nich okazywała, cały się obrócił na korzyść Orbeki. On był wieśniakiem.

Lullier raz tylko przerwała jej, po cichu szepcząc:

— Ale moje życie, przecież gdyby ci się kazano na wsi zakopać, biorąc cię za słowo?...

Mira udała że nie słyszy.

Późnym wieczorem, koło Mokotowa odprawivszy konie, powrócili pieszo, powoli, do Warszawy. Orbeka odprowadził je do drzwi mieszkania. Tu już rozstać się mieli, Lullier szła przodem na schody, gdy gospodyni zwróciła się do Orbeki.

— Kiedyż się zobaczymy? spytała — wszakże pan czuć musisz — jak ja — że się widzieć i widywać musimy. Więc kiedy? gdzie?

Było to tak niezręczne, ale czyż pochlebniej niezręczności miłość własna nie wytłómaczy zawsze?

— Ja muszę jechać do Lwowa, rzekł nieśmiało Walenty.

— Najprzód, cóż zamus? są ludzie stworzeni do interesów, niech oni za nas je robią; powtóre, gdyby już była konieczność, toż pan powrócisz? kiedy? prędko?

— Ale, niewiem doprawdy.

— Wiesz co, zostan pan.

— Niewiem, wahając się, dodał Orbeka,

— Lullier mi ucieka, a! takbym rada pomówić z panem. Przypadłeś mi do serca, a! wstydzę się, że to mówię, ale... o! niebierz-że pan tego za złe. Jutro, wieczorem, będę w ogrodzie Mniszchowskim, przyjdź pan, wszak jutro odjechać nie możesz.

Tak się rozstali, ale Orbeka był już niewolnikiem.

Prosty, zimny rozsądek, pokazywał mu tę kobietę jaką ona była, malował ją, dom, otoczenie, towarzystwo, Lullier. Hornim ów, ten szambelaniec, cały ton, mowa, natarczywość... ślepym potrzeba było być, aby się nie domyslić przeszłości, której część zachodziła na teraźniejszość, a jednak... jednak, Orbeka słaby, wszystko sobie potrafił na dobre wytłómaczyć.

Sławski nazajutrz nie przyszedł do niego, tak był pewien, że się tam ze swą zimną rozważą i radami na nic nie przyda. Dotknęło to Orbekę, ale poszedł wieczorem do ogrodu, i do późnej nocy pozostał na rozmowie z Mirą, która tak prowadziła rzeczy, że się coraz poufalej, z nadzwyczajną zręcznością zbliżała do niego.

Była ona już tak pewną siebie i zwycięstwa, że z rana tego dnia, nie wiedząc pod jakim pozorem, wypowiedziała dom Hornimowi, biednemu chłopcu, który jej służył jak piesek, i do koszuli się zrujnował dla niej. Jakkolwiek nazwała go kuzynem, czuła, że przytomność tego młodego krewnego, będzie jej przeszkadzać, drażnić, onieśmielać i odpychać Orbekę.

Przy rozstaniu z Hornimem, było wszystko, co towarzyszy tego rodzaju rozłamom: łzy, wymówki, gniewy, zgody, zaręczenia o przywiązaniu niezłomnym, wyznania, prośby. Hornim który sądził że był kochanym, wyszedł z tej próby przybity, znękany, zniechęcony na całe życie i tegoż dnia z Warszawy, dłużej w niej żyć nie mogąc, wyjechał.

Plac był do nowój budowy oczyszczony, zręczna pani urządziła się nawet tak, aby jak najmniej mieć gości, chciała się cała oddać wielkiemu interesowi—był to bowiem dla niej tylko interes, nic więcej.

Serce w tém udziale nie miało najmniejszego, poruszyłoby się było może, gdyby spotkało trudności

zobaczyć, jak też ten dom jego wygląda, i znalazła go starym, ulicę nie miłą, a tu się właśnie nastroczała zęczność jedyna. Po panu S. sprzedawano pałac na Krakowskiem-Przedmieściu za parę kroć sto tysięcy, za bezcen.

— Gdybyś pan go kupił, jabym u pana zaraz najęła pierwsze piętro. Al! wystaw pan sobie, jakby miło mi było, pan mógłbyś zamieszkać na dole, miałabym was ciągle blisko, a ja taka jestem biedna, niedołężna, że się bez czyjejś opieki nigdy obejść nie umiem.

Orbeka zmilczał, ale w tydzień dom na Podwalu sprzedany był za bezcen, a pałac kupiony dosyć drogo — plasnęła w ręczki dowiadując się o tém piękna pani, chciała się zaraz wprowadzać, ale nowy dziedzic prosił o folgę. Kamsetzer odnawiał i przyozdabiał dla niej pierwsze piętro, posłano po marmurowe kominki do Włoch, po obicia do Paryża, po meble do Wiednia.

Orbeka zrazu się wstydził swój słabości, ale wstyd tego rodzaju nie trwa długo, człowiek się oswaja z położeniem, tłómaczy przed sobą, kłamie, usprawiedliwia błędami drugich, i..potém.. już z czoła zetrze ostatki sromu dziewiczego.

Sławski odsunął się od niego, innych znajomych nie miał prawie, lżej mu było w téj samotności z nią. Mira zaś, nie śpieszyła dłań zawiązywać stosunków,

do zwalczenia, ale jęj szło aż do zbytku łatwo; jeżeli jakie uczucie obudziło się w nięj dla Orbeki, to chyba politowanie.

Owego wieczora z ogrodu kazała mu się odpro-
wadzić do domu. U schodów chciał ją pożegnać,

ale szli razem, podawał jęj rękę, rozmowa była niezmiernie ożywiona. W progu też sama historya, w salonie prosiła go odpocząć; potęm poczuła się głodną, kazała dać kolacyjkę, zapraszając na nią gości. Wino grało znowu w nięj pewną, choć podrzędną rolę. A potęm jakoś tak się wiązały, płynęły, wytryskały jedne z drugich opowiadania, że siedząc przy sobie, sami jedni, we dwoje, zapomnieli się, do północy. Z balkonu widać było księżyc i drzewa, noc była wiosenna, cudowna.

Chwile się takie nie zapominają nigdy. Orbeka wyszedł rozmarzony, podbity, osłabły, tak, że już o Lwowie ani pomyślał, postanowił posłać plenipotentą, a sam zamieszkać w domu swoim na Podwalu.

Czwartego, czy piątego dnia, Mira już poszła z panem Walentym, ot tak, przez ciekawość tylko, aby nikt z tak łatwego, jak się jęj zdawało człowieka, nie korzystał.

Z nadzwyczajną zręcznością, z instynktem niezmiernym obwijała go sieciami powoli. Skromność wielka i bojaźliwość udana, były jednym ze środków.

które użyła. Orbeka nie mógł się ani na krok posunąć nad to, co mu przy pierwszym poznaniu było dozwołonem. Gdy całe miasto miało go za poufałego przyjaciela Miry, on był tylko najpoufalszym jęj sługą. Z natury nieśmiały, szanujący kobietę, nie miał odwagi posunąć się krokiem dalej, ta czysta miłość była dlań najmiłszą, a Mira wyrachowywała dobrze, iż łatwą dlań być niepowinna.

Tymczasem starała się ugruntować swą władzę, a niekiedy próbowała trochę kapryśnie, jak też wielką uzyskała.

Z dawnego żywota pozostały jęj, oprócz niewygodnych znajomości takich, jak naprzykład szambelanica, straszniejsze jeszcze długi. Nawet w czasach największej swęj świetności, Mira się bez nich jakoś obejść nie mogła. Było bo w dobrym tonie mieć naówczas długi. Kupcy wierzyli chętnie. Ale gdy się powiększały summy, a nic nie wpływało, zaczynali być dokuczliwemi. W chwili poznania Orbeki, Mira była w dosyć niemiłym położeniu z tego powodu, upominano się, ściągano ją, musiała drzwi zamykać, ale gdy się rozeszła wiadomość, iż gruby zwierz znowu dał się złapać w sieci, wierzyciele przycichli, nie chcąc przeszkadzać.

Niektórzy jednak wymierzywszy czas, wymiarowawszy okoliczności, zjawiali się znowu powoli. Mira nie wiedziała już jak się ich pozbyć, a nie chcia-

ła jeszcze nie żądać od Orbeki, czekała... Wprawdzie był on usługowym bardzo, ale nie zbadała jeszcze, jakie wrażenie na nim robi odzieranie żywcem ze skóry.

Jednym z wierzycieli najzręczniejszych i najdokuczliwszych, był pan Joli, ex-Francuz, jubiler modny, człek, który i na kredyt dawał brylanty nie najpierwszej mody, i odkupywał za bezcen klejnoty i pieniędzy pożyczał, i do wielu delikatnych spraw służył za pośrednika.

Joli, który przybył do stolicy jako czeladnik, przed laty czterdziestu, miał lat dobrze sześćdziesiąt, ale jeszcze był przystojny, elegant i wcale żwawy. Otyłość mu nieco zawadzała, ale nader zręcznie ją nosił i krzepko.

Joli był w bardzo poufałych stosunkach z Mirą. Z niewiedzieć jakich rachunków należało mu się kilkaset dukatów, w domu ich nie było dwudziestu, a dochód na trzy lata wprzód był oddawna zjedzony.

Jednego poranku, Joli, którego wielokroć już pod pozorem migreny, przechadzki, snu, gości i t. p. odprawiono ode drzwi, tego razu dosyć się gwałtownie do nich dobijał. Godzina była wczesna, Mira kazała go wpuścić. Leżała zwinięta w kłębek na kanapce, na dwóch różowych łapkach trzymając niemniej różową buzię. Włosy blond rozpuszczone, dziwnie ją ubierały, była podobną do cherubinka.

zową buzię. Włosy blond rozpuszczone, dziwnie ją ubierały, była podobną do cherubinka.

Joli stanął zachwycony w progu.

— Pani hrabina jeżeli długów nie płaci, to sama winna; jakże można, będąc tak cudnie piękną, nie mieć milionów do wyrzucania?

Pochlebstwo to było zarazem impertynencyą, ale wierzącym się wiele wybacza, a pochlebstwo jak kadzidło zawsze smakuje, choć nie bardzo dobrane.

— Jaki bo ty jesteś nudny, mój Joli, odpowiedziała Mira, dla mizernych kilkuset dukatów, tak mi pokoju nie dajesz, kiedyś u mnie tysiące zarobił.

— Ale, kochana pani hrabino, rzekł Joli, biorąc krzesło i siadając bez ceremonii — nie tyle tu idzie o zapłatę, co o porozumienie się.

— O jakie?

— Ja chciałem wiedzieć co się z panią dzieje? jakie są widoki? Może gdyby nic nie było, to by się coś przecie znalazło.

— Ale dajże mi pokój, rumieniąc się, odparła ekspodczaszyna. Zdaje mi się, że idę za męż... i bogato.

— A! za kogo?

Cichutko szepnęła mu, Orbekę.

— Nieznam, rzekł Joli; ale po chwili namysłu i rzucanych pytaniach, okazało się, że znał i wiedział o kim była mowa.

— Jaką byś ty mi mógł wielką oddać przysługę, a może razem i sobie, szepnęła po chwili namysłu Mira. Wiele ci się należy?

Joli dobył pugilaresu i przeczytał 300 i 256 dukatów.

— Słuchaj a zrozumieć mnie dobrze, zaczęła mówić po cichu z iskrzącymi oczkami. Należy ci się pięćset pięćdziesiąt dukatów.

— I sześć — dodał Joli.

— Ja ci wydłam kwit na sześćset pięćdziesiąt.

— A sto trzeba dopożyczyć ? przerwał jubiler zimno — ale nie mam! słowo honoru, nie mam!

— A! nie — śmiejąc się, zawołała Mira. Orbeka kupił pałac po panu S. Pierwsze piętro ja najęłam, on mieszka na dole. Gdybyś waćpan poszedł z rachunkiem, tak trochę obcesowo się napierając, niby omyłką, do niego. Niepotrzebuję mu mówić, że potrzeba i mnie tam różowo nie czarno odmalować, i... zarazem wypróbować, jaki to człowiek do interesów. *S'il lache son argent facilement; ou...*

— O! o! rozumiem i podejmuję się, rzekł jubiler; jutro rano dam pani odpowiedź.

Mira chciała go opatrzyć w instrukcye obszerniejsze, ale obraził się tém prawie pan Joli, i zapewnił, że sobie da rady, a w żadnym razie, szkody nie zrobi.

To rzekłszy, wyszedł.

Można sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością oczekiwała wiadomości Mira, o obrocie delikatnej owój negocyacyi, którą dla zbadania gruntu rozpozczęła. Trafiło się jakimś dziwnym wypadkiem, że tego dnia, Orbeka, który bywał często po parę razy, a zawsze prawie choć na chwilę musiał codzień widzieć Mirę, nie nadszedł.

Przypuszczała więc, że próba się nie udała, że dług mógł przestraszyć lub zniechęcić Orbekę, że cała jej praca, w niwecz została obróconą. Pod wieczór rozboleła ją głowa, a gdy Lullier nadeszła, choć się jej do niczego nie przyznała, zręczna dworka mogła poznać łatwo po twarzy Miry, że jakiś dręczył ją niepokój.

Ale dopytać się nie mogła. Mocno ją to zaciękało, badała jednak na próżno. Mira zbywała ni tém ni owém, narzekając na świat i ludzi.

Noc przeszła niespokojnie, długi ranek był drę-

czący, o jedénastéj oznajmiono przyjście pana Joli. Mira rzucił się przeciwko niemu. Zręczny dypłomata, miał twarz marmurową, nic z niej prawie wyczytać nie było podobna.

— Cóżś zrobił? mów coś zrobił? zawołała impetycznie.

— Ale, naprzód trzeba wiedzieć, czym co zrobił? odparł z uśmiechem jubiler.

— Jesteś nielitościwy! — Jakże to było?

— Plan doskonale osnuty przez panią hrabinę, wykonany został z inteligencją, rzekł zwolna jubiler. Poszedłem do pałacu kwaśny, niecierpliwy; gadałem w sieni tak długo, tak głośno, żem nareszcie gospodarza wywabił. Powiedziałem mu, że szukam pani, że mam interes ważny, niecierpiący zwłoki.

Zaczął mnie dopytywać delikatnie. Powiedziałem mu, narzekając na was naturalnie, że wy, przez waszą dobroczynność i poświęcenie dla drugich, wiecznie wpadacie w kłopoty, powiedziałem, że jesteście mi dłużni, ałem dodał, że zaręczyliście za biedną familią, i t. p.

— A! to wybornie, i cóż on?

— Spytał o wielkość długu, chłodno. Zacząłem mu mówić jeszcze o was, malując jakem był powinien, wahać się zdawał, potem błagając mnie o sekret jak najciszejszy, kartkę waszą wziął, i zapłacił wekslem na Cabrit'a.

Będąc u Cabrit'a, przekonałem się, że ma u niego leżących, *excusez du peu*, pięćdziesiąt tysięcy dukatów, ale Cabrit mi mówił, że wszyscy goli magnaci, zwąchawszy te pieniądze, już są na czatach. Gdybyś mnie pani posłuchać chciała, i wywieźć go ztąd... bo go nieochybnie ogolą, a ta operacya, dodał Joli z ukłonem, pięknym rączkom pani pozostawioną być powinna.

Mira uśmiechnęła się, serdecznie podziękowała Joliemu, który jęj naprawił grzeczności, dowcipów i odszedł nareszcie. Orbeka przyszedł późno, ale w dobrym humorze, ze zwykłą swą pokorą i łagodnością. Mira już wiedziała, że go skubać można bezkarnie, była spokojną.

Dzień upłynął w ciszy domowej na słodkich rozmowach. Orbeka pozostał do wieczora. Niecierpliwiło to trochę piękną panię, że doszedłszy do stanowiska przyjaciela domu, innego zdawał się ani pragnąć, ani spodziewać. Był nieśmiały i prostoduszny aż do zakłopotania; trudnoż było biednej kobiecie, samęj mu się rzucić na szyję.

Już brak za kapelusz, gdy Mira żegnając go, smutna, prawie się rozplakała zrazu, a po chwili, na dobre rozsłochała i dostała spazmów. To naturalnie powstrzymało odchodzącego, ale niczego się nie domyślał... Cucąc osłabła... poczuł, że go odepchnęła silnie... Pan Walenty zmieszał się i przeraził, że mógł czémś na gniew jęj zasłużyć, niezrozumiał co się stało...

Ona płakała, nareszcie z za łez dobyły się wyrazy.

— Niewdzięczny! okrutny! o mój Boże! on mnie nie rozumie.

Jak po nici wytoczyła się rozmowa dramatyczności pełna.

Mira kazała mu iść i nie pokazywać się jęj więcej na oczy; przyznała, że jest niebezpiecznym, wygadała się z tém, że całe miasto ma na nią zwróconą uwagę, że ich ogadano, że poniosła z jego powodu ciężki szwank na reputacyi.

Orbeka sam nie wiedział co z sobą zrobić i jak się tłumaczyć.

— A! zawołał, czyż pani nie widzisz, żem za-

kochany, żem oszalały, że o wszystkiem w świecie zapomniałem dla ciebie?

— Ale cóż będzie! co będzie z nami?! przerwała Mira, wszakże tak zostać nie możemy, moje imię... ten stosunek... świat...

— Wina jest moja, i nie widzę innego ratunku, jak... oddalić się, rzekł Orbeka. Każesz pani...

Mira nie mogła nic zrozumieć.

— Pani wiesz, dodał, że jestem żonatym.

— Jako? kiedy był rozwód, i żona jego poszła za innego?

— Tak jest, odpowiedział z cicha Walenty, ale ja jęj przysięgłem dobrowolnie, i jako uczciwy człowiek, przysięgi mejj złamać nie mogę. Czuję się nią związanym do śmierci. Nie jestem panem serca, ale powinienem być panem mego słowa i przysięgi.

Był to sofizmat zapewne, ale po swojemu rzeczywiście uczciwego człowieka, Mira jeszcze zrozumieć go nie mogła, na ostatek przestraszyła się, widząc, że rachuba na ożenienie, jeźli nie fałszywą była, to cel do osiągnięcia daleko trudniejszy niż się zdawał.

— Ale ani kościół, ani prawo, ani obyczaj, nie wymaga od pana...

— Tak, ja sam tylko wymagam tego po sobie, rzekł Orbeka, i słowo wyrzeczone bądź co bądź, utrzymam. Daruj mi pani, zawołał klękając, żem obłąkany, szalony, śmiał nie mogąc jęj zaślubić, dać jęj to biedne serce... Wielką dla mnie będzie ofiarą opuścić cię, ale widzę teraz, że ta jest nieuchronną. Na zawsze serce moje, zmysły, pragnienie, zostaną z tobą, ale ja... ja jutro jadę...

Piorun nie mógł by był razić silniej niezręcznej Miry, nad te słowa; w jednej chwili potrzeba było zmienić całą strategią, plan, i przywiązać do siebie

tego człowieka, jeżeli nie stulą i przysięgą, to ofiarą i szczęściem.

Czytelnicy nasi nadto zapewne już dobrą powzięli opinią o Mirze, aby się nie domyslili łatwo, że w najrozpaczliwszym razie, potrafiła sobie dać rady.

To pewna, że w następującym tygodniu, ex-podczaszyna, która się tak lękała potwarzy, opinii, plotek, bez wahania nowy do nich powód dała, zajmując pierwsze piętro pałacu, którego dół zamieszkał pan Orbeka.

ROZDZIAŁ VIII.

Zapewne z powodu, że tu apartamenta były obszerniejsze i wygodnie dozwalały przyjmować wielką liczbę gości, Mira otworzyła dom swój, świetnie urządzony na wielką stopę, ómiąc najwspanialsze ówczesne pańskie dwory. Trzeba jój przyznać, że miała wiele dobrego smaku i że pieniędzmi zręcznie rozporządzać potrafiła. Publiczność dowiedziała się razem, że na Mirę spadło milionowe dziedzictwo, po jakimś stryjaszku, jeżeli nie amerykańskim, to równie jak oni złotodajnym. To tłómaczyło zmianę skali życia.

Co się tyczy pana Orbeki, ten był tak niewidoczny, że mało kto o jego egzystencji wiedział. Lokatorka pierwszego piętra, wkrótce dla sług zapotrzebowała kilku pokojów na dole, pan Walenty więc mieścił się w parze lichych izdebek od podwórza, i tam zamknięty, samotne niemal pędził życie. Bywał on w salonach na górze, ale unikał po większej części tłumnych zgromadzeń i zabaw. Niedostatek

gospodarza domu zastępował Hornim, który się wkrótce zjawiał znowu, i para młodych chłopaków, pod niebytność jego za adjutantów przyjętych czasowo. Wesóło było bardzo, życie płynęło tém przyjemniej, że ten poczciwy Orbeka w niczem na zawadzie nie był. Ażeby sobą nie kompromitować tak godnej damy — krył się, robił małuczkim, zdawał się prosić o przebaczenie że żyje, i że śmieć pod jednym z nią mieszkać dachem. Czuł całą swą winę.

Życie więc urządziło się jak najdogodniej dla Miry, która stare popłaciwszy długi, nowe robiła żywo, nie tracąc czasu. Fałszywa pozycya Orbeki, który ją czuł bardzo, sprawiła to, że ani się naprzykrzać, ani zbyt pokazywać, ani być natrętnym nie mógł. Pozwalano mu co łaska, i jak biednemu żebrakowi rzucano ze stołu okruchy.

Przyznajmy co komu należy, Mira była wesolą, lubiła rozrywki, potrzebowała życia, młodości, śmiechu, zabawy; Orbeka był smutny, nieco nudny, uczuciowy i nigdy może dwa charaktery kochanków gorzej dobrane nie były. On unikał świata, ona go szukała, on potrzebował samotności, ona wrzawy; on żył cały sercem wewnątrz, ona zewnętrzniemi pozorami. Po pierwszych więc dniach zaraz, nastąpić musiał powoli rodzaj rozvodu, i rozpolowienia życia, gdyż każde z nich szukało dla siebie warunków niezbędnych — Orbeka ciszy, Mira hałasu. Nigdy go koło niej nie brakło, tém mniej teraz, gdy znowu dom postawiła na téj stopie zbytku, która przywabia pasożytów i na wiele niemiłych okoliczności ślepe mi i głuchemi ludzi czyni. Udawano więc, że wierzono w sukcesyją jój, że nie widziano Orbeki, że wszystko było w porządku.

Do tego rozprzężenia swobodnego nie przyszło od razu, w pierwszych dniach po instalacyi w pałacu,

państwo dłużej bywali razem, drzwi dla natrętów bywały zamknięte, mieli swe godziny samotne. Walenty próbował nauczyć ją żyć sztuką, literaturą, rozmową, spokojem domowym, ale niestety — na próżno. Mira chwilowo dawała się zająć, pociągnąć, urokiem słowa, muzyki, — ale wkrótce zaczynała wyglądać oknem, i nastawiała ucha na ruch uliczny i wrzawę, porywała w ostatku za kapelusz, musiała wyjeżdżać, uciekała z domu, nie bez narzekania na obowiązki towarzyskie, na nudnych ludzi i t. p. W istocie samotność z nim, z jego powagą i smutkiem uroczystym, stawała się dla niej wprzód nieznosną, a przywiązania na tém sercu wyczerpaném, największe ofiary, najgorętsza miłość, wyrobić nie mogła. Ona była młodym trzpiotem, on nadto starym i w sobie zamkniętym, nadto poważnie i seryo pojmującym uczucie, jego obowiązki i szczęście, jakie ono dawało.

Wkrótce też samą naturą rzeczy ułożyło się ich życie wspólne w ten sposób, że jak najmniej mogli być z sobą. Z rana Mira miała interesa, kupców, modniarki, listy, ledwie czas na przywitanie i zażądanie zręczne pieniędzy, których dla niej nigdy dosyć nie było; rzadko obiadowali razem, bo ona często miała zaproszonych gości, którzy dla Orbeki byli nie sympatycznymi, oszczędzała mu więc przykrości widzenia ich, ale nie chciała, bo ją bawili — poświęcić jemu.

Po obiedzie przybywali inni znowu goście, potem jechała w świat na wieczór i kolacyą, a on jęj towarzyszyć tam nie mógł, lub przyjmowała u siebie fireyków i modne panie. Dopiero gdy się to wszystko rozjechało, pan Walenty przychodził na jakie pół godziny, ale Mira była zmęczona, ziewająca, prawiła najczęściej o rzeczach, które go wcale nie zajmowały; skarżyła się na znużenie i odprowadzała go

rychło... On był rad, że mógł z uszanowaniem końce jęj paluszków ucałować — jemu tak mało było potrzeba!.. tylko ludzię się tēm, że był kochanym.

To złudzenie utrzymać umiała Mira, bo ją nagle porywała zgryzota i niepokój, obawa aby go nie straciła, i gdy się poczuła winną długiej obojętności, łącno odegrywała komedya przywiązania, namiętności, czułości... Padła mu do nóg, obsypywała go pieszczotami.. a biedne, czlecze odchodziło w łzach uszczęśliwione.

Żył potēm długo tym datkiem, rozpamiętywając go w ciszy.

Śmiano się z niego na dworze jego królowej, ale on o tēm nic nie wiedział; ona jednak sama oszukując go po trosze, bawiąc się w zaloty rozliczne. w intryżki wiązana na wszystkie strony, przy sobie nie pozwalała słowa powiedzieć przeciwko niemu. Czynem go nieraz lekceważyła, ale miała ten jakis punkt honoru, że go kazała szanować.

To życie rozproszone, trzpiotowate, po za domem zawsze lub w tłumie, umiała Mira wszakże tłómacząc się z niego przed Orbeką, odmalować mu jako najniewinniejsze w świecie.

W fałszu była niezrównaną mistrzynią, była w nim prawdziwym artystą; opowiadała mu z największemi, najprawdopodobniejszymi szczegółami sceny wymyślone, nie bywale, które na razie tworzyła, z taką sztuką, że przysiędz było potrzeba, iż musiały być prawdziwe. Opowiadała o ludziach którzy nie istnieli, o wypadkach nie bywających, o sobie, o Warszawie, to co jęj dogodnēm było dla przedstawienia mu się w promienistym ideale. — A że Orbeka z tanim jęj światem, w którym ona żyła, żadnego nie miał stosunku, nie mógł więc wcale

sprawdzić powieści i niepodejrzewając ich nawet, nie myślał o tém wcale.

Miał w niej niezachwianą wiarę, i mogła mu być wzmocnieniem co się jej podobało. Zdawało mu się już nawet nieraz, gdy mu zmęczona poświęciła pół wieczora, lub kilka dnia godzin, że się powoli odrywa od nałogu roztargnień, od zakochania we wrzawie...

Tak długie upływały miesiące, nie potrzebujemy kreslić ich szczegółowego obrazu, z tych danych jakieśmy rzucili, każdy się ich łatwo domysli.

Orbeka coraz bardziej zakopany siedział w swych dwóch ciasnych pokoikach na dole, jakby na łasce we własnym domu, dosyć sponiewierany przez ludzi, którzy za ledwie inni posługiwać chcieli, chociaż cały ten przepych, rosnący codziennie, opłacał.

Majątność jego oprócz domów cała zrealizowana w kapitały, leżała u bankierów na zawołanie, aby pani mogła tém swobodniej nią rozporządzać; to też bez zastanowienia rzucała oknami pieniądze piękna Mira, i nie było fantazyi którejby nie dogadzała.

Ona to pierwsza w Warszawie, trafiła na szczęśliwy pomysł posyłania bielizny do prania pocztą do Paryża, inne panie zawstydzone, że im to wprzód na myśl nie przyszło, naśladowały ją potem. Mira utrzymywała, że bieliznę praną w Warszawie, słysząc było mydłem i praczka, i że osoby delikatnych nerwów, nosić jej nie mogły. Elegantki wszystkie później wykrzyknęły, że z tego tylko chorowały... i Paryż zaczął opierać cały wielki świat stolicy. Niektórzy z mężczyzn nawet poszli z tym pięknym przykładem.

Innych zbytków wyliczać trudno. Dwór był na bardzo pięknej utrzymywany stopie, mieli rodzaj marszałka dworu, Francuza, kamerdynera także z nad Sekwany, czterech lokajów w liberyi, dwóch

furmanów, oprócz tego żeńskie otoczenie pani było liczne, a kuchnia oprócz szefa rondli, obfitowała w pomocników. Na stajni przez oszczędność trzymano tylko dziesięć koni niezbędnych, ponieważ Orbeka sam zawsze chodził pieszo... On i Nero, który podstarzał jakoś w Warszawie i nudził się w zamknięciu, samotne, długie odbywali przechadzki.

Szczęście pana Walentego było całę szczególnego rodzaju, wyglądało ono na smutek i boleść. — Jak błyskawica wprawdzie przerzynały je chwile szalu, uniesień, egzaltacyi, ale nazajutrz zbywszy się i nakarmiwszy swego pana, Mira wylatywała znowu i między szczęściem wczorajszém a tęsknotą jutra, nie było najmniejszego związku.

W Warszawie Orbeka mało komu był znanym, uchodził za dziwaka, i nie pociągał ku sobie nikogo. W salonie na górze jeżeli się zjawił przypadkiem, to chyba żeby wyreczyć Hornima i być posłanym do kredensu, albo posadzonym do fortepianu dla zabawienia diletantów.

Rzecz szczególna, ta Mira, która grała z takiém uczuciem Beethowena, wcale grać nie lubiła, muzyka unosila ją na chwilę, ale pracować nad nią nie mogła. Zaledwie rozpoczęła jedno, chwytala drugie, i nie nie wyrozumiawszy, rzucala wprędce znużona, odkładając surowszą pracę na jutro. A jutro na nic czasu nie było, przyniesiono nową suknię, zjawił się nowy wielbiciel... zachciało się jakiegoś nieznanego zbytku.

We wszystkiém kaprys nią rządził wszechwładnie, główka otwarta na cztery wiatry była przewodnicą, serce spalo, albo dawno już było umarłe.

Gdyby nie nadzwyczajna powolność i łagodność Orbeki, nieraz by już może przyszło pomiędzy nimi do sporu — ale biedny ów człowiek miał chara-

kter stworzony do oszukiwania, wierzył w co chcia-
no i byle nie stracić drogich złudzeń, gotów był na
wszystko.

Już prawie rok upływał od czasu, jak się Mira
wniosła do kupionego palacu na Krakowskiem, gdy
jednego poranku Orbeka, który prawie nigdy gości
nie miewał, usłyszał pukanie do drzwi. Po chwili
zdziwiony dosyć ujrzał w progu dawno, bardzo już
dawno, niewidzianego Sławskiego.

Spotykali się wprawdzie z sobą w ulicy, kłaniali
sobie z daleka, czasem kilka słów obojętnych prze-
mówili do siebie, ale kapitan widocznie przyjaciela
dawnego unikał, a Orbeka nie zwykł się był narzu-
cać nikomu. Odwiedziny te mocno go zdumiały,
serdecznie był za nie wdzięcznym Sławskiemu i po-
witał go z żywą radością, bo go szacował i kochał.—
Sławski zdziwiony obejrzał się po więcej niż skro-
mném mieszkaniu anachorety.

— Cóżes to ty w swoim własnym palacu, tak
ciasny sobie obrał kątek? zapytał.

— Ja? rzekł nieco zakłopotany Orbeka, niechcąc
wyjawić prawdy, bo mu pani na swój dwór, wszyst-
ko już była zabrała, ja... ty wiesz, lubię życie skro-
mne, nie mogę mieszkać obszernie... tak przywy-
kłem i tak mi lepiej.

Sławski nic nie odpowiedział.

— Wiesz, odezwał się po chwili, tu trochę duszno
—w istocie pokoiki były zagracone, ciasne i nieprze-
wietrzane dawno—gdybyśmy razem poszli się przejść
do Saskiego ogrodu, lub w Aleje?

— Najchętniej, rzekł Orbeka, wielką mi to zro-
bi przyjemność... prosiłbym cię na śniadanie... ale...
przyznam ci się, że ja dla swobody... i dogodności,
sam jadam w mieście zwykle, więc może razem.

— Ja już jestem po śniadaniu, odparł Sławski, ale będę ci towarzyszył jako świadek.

Orbeka dodał jeszcze, że dziś woli nie jeść, bo się czuje nie bardzo zdrowym, i wyszli razem.

Gdy minęli wrzawliwsze ulice, Sławski ujął go pod rękę, westchnął i tak się odezwał:

— Jeżeliś mi swą dawną przyjaźń zachował, przebaczysz mi, że się nie proszony, a pewnie też i nie dziękowany, muszę z obowiązku sumienia wnieść w twoje interesa.— Pozwolisz mi mówić z sobą szczerze, i jakbądź to przyjmiesz co powiem, nie miej mi tego za złe. Są rany groźne, które lekarz przyjaciel, choćby krzyk bólu wywołał, dotknąć musi.

Orbeka zarumienił się mocno, ale milcząco uściśnął tylko rękę przyjaciela, a po chwili namysłu, rzekł głosem nieśmiałym.

— Mój drogi, o jedno proszę, nie chciejcie swoją miarą cudzego szczęścia mierzyć. Pomimo pozorów może dla ludzi nie zrozumiałych, dziwacznych, ja jestem szczęśliwy...

— Ale jeżeli to szczęście opartém jest na fałszu? spytał Sławski.

— Jeżeli ja niém dobrowolnie żyję jak prawdą, co mi to szkodzi? zapytał Walenty.

— Nie chciałbyś więc aby ci oczy otworzono? rzekł Sławski.

— Byłaby to usługa wcale nie przyjacielska, ozwał się Orbeka, co mi po bolącej rzeczywistości, kiedyś szczęśliwy marzeniem? na co mnie budzić?

— Z mojej strony zdaje mi się to obowiązkiem.. rzeczy doszły do tego stopnia.

Orbeka zaczął widocznie drżeć, twarz jego pobladła, spuścił oczy, zdawał się walczyć z sobą, milczał.

— Wolałbym, żebyś był nie zagajał tego, rzekł, ale gdys raz rzucił wyraz tak znaczący... obudził we mnie wątpliwość, wtrącił w niepokój... bądź co bądź, lepiej już czarę wypić do dna, choć gorzka... a może też w niej samej, przeciw twemu zwątpieniu, osłoda się znajdzie.

— Daj to Boże, ale ja wątpię, rzekł Sławski. Znasz mnie, spodziewam się, widzisz że rok milczałem, nie narzucałem ci się ani z radami, ani z przestroga... nie próbowałem nawet leczyć choroby z którą ci dobrze... Z tego już wnosić możesz, że nie pochopny do wdawania się w twoje sprawy, a w ogóle w cudze, muszę mieć ważne bardzo pobudki do zmiany postępowania.

— Tak wnoszę, rzekł Orbeka— ale czy te pobudki wytrzymają moją krytykę i mój pogląd na nie— to pytanie. Mówmy.

— Tak, po mężku, śmiało, szczerze, otwarcie, dodał Sławski, bądź mężnym. Zacznę od tego jak do wiadomości pewnych szczegółów doszedłem, bo to mnie nieco wytłómaczy ze wściubstwa mego.

Oto wiesz dobrze jak szczupłe mam dochody, i że z pracy powszedniej żyć muszę z dnia na dzień. Nie zdziwi cię to, że oprócz lekcyj rysunków, o które trudno, jako niezły rachmistrz, mam miejsce kontrolera w domu bankowym Cabrit'a.

Orbeka się zarumieniał i zmięszał.

— Przez ręce więc moje przechodzą wszystkie księgi kassowe. Znaczniejsza część twoich kapitałów ulokowaną jest u tego bankiera, reszta u Teppera i Szulca. Wszystkie te domy komunikują sobie interesa swych wspólnych klientów. W ten sposób przyszedłem mimowoli do dokładnego obrachunku twojej fortuny. Wiesz-że jaki jest jej stan dzisiejszy, po roku skromnego życia, jakież prowadzisz? Daleś Mirze prawo nieograniczone rozporządza-

nia swemi kapitałami. czyś jej spytał— i czy ona sama wie, ileście zjedli, w ciągu jedenastu miesięcy?

— Niewiem, rzekł Orbeka, domyslał się cyfry dosyć wysokięj, ale nie przechodzącej zapewne, lub o niewiele procent od kapitału.

— Byłoby to nader szczęśliwie, odpowiedział Sławski, miałeś pięćdziesiąt tysięcy czerwonych złotych, przyrosłoby ci dwa tysiące pięćset procentów, ale jak ci się zdaje, ile z pięćdziesięciu ubyło?... nie licząc długów, które jeszcze prócz tego znaleźć się muszą.

— Ale gdybym stracił dziesięć tysięcy dukatów, przypuszczam, zawołał Orbeka— więc cóż?

— Straciłeś piętnaście z kapitałów... rzekł Sławski, *cela va rondement*, parę lat jeszcze takich, a nie zostanie— nic.

Sławski spodziewał się wywrzeć ogromne wrażenie niespodzianym tym bilansem na Orbecę, zdziwił się niezmiernie ujrzawszy go ze stoickim spokojem uśmiechającego się łagodnie, bez najmniejszego wzruszenia śladu. Oślupiał...

— Mój przyjacielu odezwał się pan Walenty wiodąc go dalej— to co mi powiadasz, bynajmniej mnie nie przestrasza. Nadto jestem starym, żebym nie przewidział zawczasu, iż szczęście tego rodzaju jak moje, z natury swęj kruche, nie może trwać długo. Ale trzy lata błogiego marzenia, czyż to nie dosyć?... Ja jestem szczęśliwy!

— Tyś szczęśliwy? zawołał Sławski— a zatem nie pozostaje mi nie tylko przeprosić cię— i pójść z kwitkiem, zawstydzonemu. Ale pozwól jeszcze dodać sobie dwa słowa: niepojmuję tego szczęścia, estżeś ślepy, głuchy?

— Jako? zapytał Orbeka, ani jedno, ani dru-

gie.. i pocóż by mi się to przydo? ahmówię ci, zem szczęśliwy.

— I wierzysz téj kobiécie? i nie uie widzisz?

— Ale cóż mam widziéc?

— Co?.. pytam się siebie.. od czego zacząć i czy zaczynać ci otwierać oczy... ale sumienie każe—muszę. Cała przecie Warszawa dziwi się niepojętemu zaślepieniu twojemu, — ty jeden..

— Cała Warszawa jest w błędzie, przerwał Orbeka żywo. Mira jest trzpiotem, lubi się bawić, nie zważa na opinią, bo jest czystą na sumieniu, ludzie ją mogą posadzać, obmawiać, ona o to nie dba — a ja w to nie wierzę.

Sławski stał ze załamaniem rękami.

— Kochany Walenty, rzekł — żał mi ciebie — ale raz dotknąwszy rany, będę, muszę być niełitocśwym... Hornim który był jéj kochankiem, powrócił i jest domownikiem. — Szambelanic.. nie wychodzi od niéj... jeździ z nią, afiszuje ją... ale...

Tu Sławski zaciął się.

— Mów do końca, rzekł Orbeka, już nie masz co mnie oszczędzać.

— Ale, powtarzam ci, cała Warszawa gada o tém, dodał Sławski. Szambelanic przed trzema miesiącami najął mieszkanie obok twojego pałacu. Z buduaru Miry wybito w wielkim sekrecie drzwi do jego pokoju, pokryte oponą! Ludzie, którzy pracowali około téj ściany, wygadali się, zresztą szambelanic od swéj strony tych drzwi nie kryje i pokazuje wszystkim, chlubiąc się niemi jak tryumfem. Jubiler Joli rozpowiada kto chce słysząc, że naszyjnik brylantowy, który ona nosi, kupiony u niego został za dwa tysiące dukatów przez szambelanicę. Mam że ci mówić więcéj! Jesteś haniebnie oszukiwany, ssany, wyszydzony i dajesz sobą pomiatać, dobrowolnie

czyniąc się posmiewiskiem ludzi... Na Boga! kochany Orbeko, opamiętaj się, oprzytomnij, namiętność się pojmuje do pewnego stopnia, ale takie zapamiętanie w niej dobrowolne, takie zaślepienie... taki szal...

Orbeka stał mieniać się, drżąc, a łzy mu się dobywały z powiek; widać było, że w łonie jego straszliwą burzę wzniciły wyrazy Sławskiego. Gnicw tylko strzelił mu z powiek.

— Przyjacielu! zawołał, nóż mi wbijasz w pierś, cóż by wróg uczynił gorszego?

— Ja cię chcę uleczyć!

— Jam nie uleczony.. to wszystko fałsz! to fałsz..

— A gdyby to wszystko prawdą było, gdyby cię ta kobieta oszukiwała?

Orbeka zakrył sobie oczy.

— Ja bez niej żyć nie mogę! zawołał.

— Jeżeli tak jest, zimno odezwał się Sławski, zapomnij że o tym com ci mówił, przepraszam cię... na to już nie ma ratunku.

— Tak! dodał po chwili Walenty, nie ma ratunku na to... aż gdy mnie do torby przywiedzionego wypchną na ulicę... Naówczas siądę jeszcze pod oknem aby patrzeć na nią, aby ją widzieć przejeżdżającą, aby złapać uśmiech jej po drodze, nie dla mnie przeznaczony...

Sławski ruszył ramionami w milczeniu, ścisnął go za rękę z politowaniem i chciał odejść, Orbeka go powstrzymał.

— Czekaj,—rzekł—nie gniewaj się na mnie, jam bezsilny, jam oszalały, miej litość... przebacz...

— Cóż ja ci mam przebaczyć? za co ja mógłbym się gniewać na ciebie? rzekł powoli Sławski—lituję się... nic więcéj. Gdybym miał do tego jakie prawo, ująłbym cię siłą, odciągnął, ocalił może!

— Ocalony, jabym umarł—odparł cicho Orbeka

ja w niej żyję... Wierz, to są fałszy, to są intrygi.. ale gdyby to wszystko było prawdą, gdybym na moje oczy widział zdradę... nie miałbym siły... chyba umrzeć!..

Niemówiąc słowa Sławski, ścisnął mu rękę raz jeszcze i poszedł powoli, zostawując go na ławie, na którą upadł bezsilny.

Pod starą lipą alei, przesiedział tak z myślami i uczuciami, szarpiąc się do wieczora — Orbeka, potem znużony, zdrętwiały, powlókł się machinalnie do domu.

Było już po obiedzie, gdy przyszedł, naturalnie nie czekano nań, pani miała gości, a po stole, zaraz kilku powozami wyruszyli wszyscy na Saską Kępę, na podwieczorek. Niemiała powrócić aż późno w nocy.

Ale to dzień był, jak są czasem dnie w życiu, niezwykajny ze wszystkich względów.

Na dworze pani Miry, od kilku miesięcy była wzięta ze wsi wprost, skromna i cicha dziewczeczka, niefortunne igrzysko całego dworu, dosyć ładna a niezmiernie wdzięczna Anulka.

Mimo slicznej twarzyczki, figurki zręcznej, bardzo pociągającego wyrazu oblicza, Anulka była prawie kaleką. Skutkiem jakiegoś wypadku w dzieciństwie, nakuliwała nieco na jedną nóżkę. A choć skałała bardzo zręcznie, i mało co tego było widać, przezwano ją *chromą*, i pod tém imieniem więcej niż pod własném znaną była. Ofiara niesfornej dworni, Anulka pracowała za wszystkich, cierpiała popychana, wyszydzana, i nawet u panów lokai nie miała jakoś łaski. Zbyt była bojaźliwą i skromną. Wychowana w ubogiej chatce szlacheckiej, przez dziada i babkę, niegdyś pieszczone wnuczątko, była od młodu roztkliwiona, kochająca, serdeczna, ale niecierpiała

wrzawy, zabaw i bezwstydu, jaki naówczas równo z panami sługi kaził. Siedziała też w kątku nad robotą, posługiwali się nią wszyscy, i płakiwała całe dnie, bo całe to życie raziło ją, przerażało. Chciała by była uciec, a krewni ją zmuszali pozostać, aby się jęj pozbyć, i myśląc że się jęj coś w mieście trafi.

Anulka tedy była zmuszoną patrzeć na swawolę, zamykać oczy na niepojęte dla siebie sceny, i trochę pokoju okupywać ciężką pracą.

W domu Orbeki było we zwyczaju, iż żaden z panów lokai nigdy nie raczył jemu usłużyć; spychano ten obowiązek na stróżów, na dziewczęta, na chłopców kuchennych. On się nigdy na to nie skarżył. Od niejakiego czasu Anulka, która widziała dobrze położenie nieszczęśliwego człowieka, zdjęta jakąś litością i sympatyą dla niego, może żywszem jakimś uczuciem, które budzi często politowanie, sama prawie podjęła się wszelkich usług około Orbeki. Nikt na to nie zważał, bo wszyscy radzi byli wyręczeniu. Orbeka mało kiedy spojrzał nawet na Anulkę, ale mu ta cicha, grzeczna, uprzedzająca jęj usługa była miłą, czuł w niej mimowoli trochę serca, chociaż ani posądzał, żeby go tam być mogło tak wiele.

Było go w istocie więcej niżeli się mógł spodziewać. Anulka chciwie podejmowała się wszelkich usług dla pana, a choć rzadko do niej przemówił, rada go była choć widzieć zdaleka.

W istocie nie czém inném pociągnął ją ku sobie biedny człowiek, tylko wyrazem znużenia, cichęj rezygnacyi i smutku. Są dusze pocziwe, dla których one są nieprzewyciężonym urokiem... ale jak takich dusz mało! Najczęściej smutek obudza wstręt, odrazę, znużenie — prości śmiertelni uciekają od nich jak mogą najdalej.

Tego dnia, chociaż już było późno, Anulka zesła wypadkiem do kuchni po obiedzie, gdy chłopak wpadł i zawołał:

— Otóż teraz dopiero ten stary nudziarz powrócił, kiedy wszyscy zjedli! I noś mu tam do jego pokoju, licha wie gdzie łązi!

— A kiedy nie przyszedł w porę na obiad, odparł kuchmistrz patrząc na zegarek, to znać jeść nie potrzebuje. I niema mu co dać, ochłapy.

— Albo to on co innego zwykł jeść? spytał chłopiec — tylko mu się to i daje...

— Niech będzie z raz na czczo, to się godzin nauczy pilnować, rzekł kuchmistrz. Co to ja dla niego będę do nocy siedział? Zresztą pał go tam diabli, jak się nie upomni nie dam, a jak się upomni, no to są ochłapy, niech ogryza kosci.

— Ale wstydzieć się tak mówić, przerwała Anulka.

— No, czego się mam wstydzić! albo to on tu pan? czy co? ja go nieznam — zawołał kuchmistrz, mnie pani przyjęła i płaci...

— I mnie też, rzekł chłopiec, siadając na ławie — co mi tam, albo ja tam muszę wiedzieć czy on wrócił!

— To moja rzecz obiad zanieść, odezwała się chroma, tylko mi dajcie, proszę.

— O! o! pochlebница! rzekł kucharz, zalecasz się do suchego pieńka.

— Mówcie tam sobie co się podoba, ja proszę o obiad!

Dał się jakoś skruszyć pan kuchmistrz, pozléwał ostatki i wcale nie ciekawe jadło ustawił na tacy, którą Anulka co żywiej poniosła. Weszła z cicha do pokoju, nakryła stolik, zdjawszy z niego ostrożnie książkę, ustawiła wazkę i półmisezki, zakaszła, czekała.

Orbeka siedział odrętwiały z oczyma wlepionemi w ogród, nie słysząc nic i nie widząc. Anulka postrzegła z podziwieniem, że oczy miał jakby zapłakane, żał się jój wielki zrobiło nieszczęśliwego. Zakaszła drugi raz, nieodwrócił się, brzęknęła półmiskiem, zobaczył dopiero, że mu do stołu nakryto. Smutny jakiś uśmiech przebiegł po jego ustach. Anulce patrząc nań, łzy się w oczkach siwych kręciły.

— Niechże pan co zje, szepnęła po cichu.

— Dziękuję ci, nic mi się jeść nie chce, rzekł ochrypłym głosem.

— Ale pan nic nie jadł.

— Nie mogę!

— Może pan chory? spytała.

— Tak, może chory, ale to przejdzie, to przejdzie.. to nic...

— Może panu co innego zrobić? przynieść?

— Nie, nie, dziękuję, tys dobra dziewczeczka, moja Anulku... ty jedna...

Ale się pomiarkował, niedokończył, coś pomysłał, wziął woreczek, dobył kilka dukatów i rękę wysunął ku Anulce.

Ta aż się cofnęła zarumieniona.

— A! proszę pana, zawołała żywo, powiedział pan żem dobra, i zaraz chcesz mi za tę dobroć płacić. O! nie czyniż mi pan téj przykrości, proszę.

Orbeka się zdziwił i zawstydził.

— Ale.. chciał się tłómaczyć.

— Już tylko schowaj pan te nieszczęśliwe pieniądze, prawie płacząc zawołała Anulka.

Nie było sposobu, pan Walenty zawstydzony, przeprosił ją cicho.

— Jest pani? spytał.

— O! niema, wyjechali wszyscy na Saską Kępę.

— A w pokoju pani niema nikogo? zapytał, ja potrzebuję tam wejść... po książkę.

— Do którego pokoju? zapytała Anulka.

— Jakto? dlaczego? przerwał Orbeka.

— Tak, bo pani jeden pokój zawsze zamyka.

Uderzyło to Orbekę, bo dawniej nigdy żaden nie bywał zamknięty, ale bojąc się dać posądzać ludziom o niedowiarstwo — zamilkł...

— No, to niepotrzeba, rzekł, nic, już nic.

Anulka błędziła jeszcze długo: zbierała obiad, krzątała się, potem widząc go tak pogrążonym w smutku, wyszła.

Ale w kwadrans wbiegła nazad.

— Proszę pana, pokój był zamknięty, zawołała pieszczotliwie, ale pani widać klucz zapomniała we drzwiach, a n może wejść.

— Dziękuję! rzekł Orbeka.

Po wyjściu Anulki, pasował się z sobą czas jakiś, naostatek, jakby pchnięty siłą nieznaną, pobiegł po schodach, wprost do tego tajemniczego pokoju.

Już się zbliżał ku drzwiom po cichu, gdy ujrzał je nieco przyknięte i z wnętrza usłyszał wesole śmieszki kobiece. Były to dwie garderobiane pani, które korzystając także z pozostawionego klucza, oglądały widać kryjówkę; posłyszawszy chód, wybiegły, śmiejąc się do rozpuku, gdy postrzegły Orbekę i znikły.

Walenty stał jeszcze w progu nie pewien co ma począć, potem, znowu prawie mimowoli, wsunął się do buduaru.

Pokoik ten, w którym dla formy stał klęcznik, był ślicznie przystrojony, nie w nim na oko ani tajemniczego, ani dziwnego nie pokazywało się. Klomb z wazonów osłaniał jeden kącik, po za nim było przejście, wiedziony instynktem wszedł tam Orbeka,

i... w ścianie zobaczył zręcznie ukryte, ale dość jednak widoczne drzwi, które nie mogły gdzieindziej prowadzić tylko do sąsiedniego domu, bo ścianą tą kończyła się kamienica. Przejście to, gdy pałac kupował, wcale nie istniało.

Dość było je zobaczyć, aby powieści o szambelanicy znaleźć potwierdzenie, Orbeka uczuł się zabitym, w głowie mu zaszumiało i prawie nieprzytomny wrócił nazad, ale na schodach myśl mu przyszła jakaś, cofnął się, poszedł raz jeszcze, drzwi pokoju zatrzasnął na klucz, a klucz schował do kieszeni. Potem jak pijany z bólu, z gniewu i żalu, stoczył się ku swoim pokojom, rzucił w fotel i począł płakać.

Biada mężczyznom co płaczą!

Łza męzka ze krwią chyba, na ofiarę wielką płynąć powinna, nigdy na obmycie powszednich bólów żywota: jest ona skarbem, którym szafować się nie godzi.

Kobieta nią żyje, mąż nią umierać chyba powinien.

Ten co na losy własne łączy leje, osądzonym jest; brak mu téj energii która towarzyszyć powinna wodom życia, sternikom mężom. Łza jest wyrokiem, który mówi — zginiony jesteś. Tylko nad cudzą niedolą łączyć nam wylać wolno — a i ta... musi iść razem z dłonią wyciągniętą do pomocy. Lepiej jest jeszcze i właściwiej, połknąć ją, a nieszczęśliwego ratować.

Jednak Orbeka płakał. To go maluje zdaniem naszym. W jego położeniu kto inny byłby gniewem i oburzeniem przejęty, on się roztkliwił, nie nad sobą ale — nad nią. Bolał nad jej upadkiem więcej niż nad swoją niedolą.

Ile tak godzin przesiedział, rachując się ze swém sumieniem, obwiniając tylko siebie, grzech cały kła-

dnąc na swe barki, aby go zdjąć z jęj ramion, sam niewiedział.

Anulka gdy już dobrze ciemno było, przyniosła mu świecę, popatrzała na osłupiałego i widząc go tak strasznie wybladłym, spytała parę razy co mu jest, a nieodebrawszy odpowiedzi, wyszła przestraszona i niespokojna.

Pani nie powracała do późnej nocy, już było około pierwszej, gdy przeprowadzana przez całą jakąś bandę wesołych towarzyszków do bram pałacu, wysiadła z powozu i śpiewając wbiegła na schody. Późna pora dozwalała przypuszczać, że Orbeka już był się spać położył, nie pomyślała nawet o samotniku, i zawoławszy służące, udała się do sypialni. Niewiem jaka potrzeba zmusiła ją sięgnąć do klamki buduaru, znalazłszy go zamkniętym, roztargniona, była pewną, że go sama jak zwykle zatrzasnęła i klucz miała w kieszeni. Ale pomimo najstaranniejszych poszukiwań w sukniach i powozie nigdzie się nie znalazł. Była więc w bardzo złym humorze.

W każdym takim nieszczęsném gospodarstwie, każda taka pani, musi mieć konfidentkę, pannę respektową, przyjaciółkę, służącą. Bez tego przy rozgałęzionych intrygach obejść się trudno. Mira miała też wierną sobie Julkę, która chociaż przed kilku godzinami śmiała się z ukrytych drzwiczek z drugiem, i nie szczędziła, szydersko się naśmiewając, swęj pani, — służyła jęj, pochlebiała i donosiła. Ta widząc Mirę w tak złym humorze, a domysławając się przyczyny, gdy inne wyszły, po cichu na progu się ukazała, kładnąc palec na ustach.

Mira domysliła się jakiejś tajemnicy i zbliżyć kazała.

— Cóż tam? spytała.

— Pani szuka klucza od buduarul cicho szepnęła Julka.

— No, tak, zgubiłam go gdzieś, to mnie gniewa, niemam zwyczaju nic gubić, jutro potrzeba będzie sprowadzić ślusarza.

Julka machnęła ręką.

— Ja już muszę pani wszystko powiedzieć, rzekła prędko, wszak pokój dziś został nie zamknięty, klucz był we drzwiach.

— Ale gdzież znowu?

— Już ciż ja to najlepiej wiem, bom widząc jak Agatka z Anulką poleciały tam szperać.

— One tam były? zawołała Mira.

— A! były, ledwie je ztamtąd wyprowadziła.

— Więc któż klucz zabrał? spytała niecierpliwa.

— Niechże mi pani pozwoli dokończyć, mówiła cicho Julka. Pan, (ten z dołu) wrócił do domu późno, nie wiem czegoś snutny, włóczył się po całym domu, przyszedł i tu do tego pokoju, oglądał, patrzył, jakby czegoś szukał, a potem, pewna jestem, że to on klucz zabrał.

— A! ja nieszczęśliwa! łamiąc ręce i zdradzając się krzyknęła Mira, i widział drzwi... widział...

— Jakie? spytała, udając niewiadomość, służąca.

Mira spojrzała na nią i ruszyła ramionami tylko niedowierzająco — kłamstwo Julki było niezręczne.

— Słuchaj, rzekła, oto masz dziesięć dukatów, idź natychmiast do sąsiedniego domu, do szambelanica, niema chwili do stracenia, sekundy; powiedz mu odemnie, aby w kwadrans, te nieszczęśliwe drzwi były mi zabite, zamurowane, co chce, jak chce, ale żeby się otwierać nie mogły.

Rób co chcesz, spuszczałam się na ciebie, daj mi szal, ja idę na dół.

Spojrzała na zegarek.

— Postaram się, dodała z zimną krwią, zostać na dole do pół godziny, może dłużej... potem przyjdę na górę, ale wówczas już drzwi być powinny zabite, zasklepione.

Oczy jój paliły się gdy to mówiła, oddychała żywo, ale przestрах już był odszedł, obawa pierzchnęła, była pewna siebie, przejrzała się w zwierciadle, czuła się zachwycającą... Rzuciła szal purpurowy z palmami na ramiona, zatrzymała się chwilę myśląc na progu, utopiwszy główkę w dłoniach i. poszła.

Orbeka siedział jeszcze osłupiały, z usty drżącymi, na tém samym miejscu, gdzie padł wróciwszy z góry; gdy do drzwi jego zastukano, nie słyszał nic. Mira weszła i z poskokiem rzuciła mu się na szyję.

Ruch jój, postawa, tak były przejęte uczuciem, wyraz twarzy tyle miał prawdy, że trzeba było znając okoliczności, skłonić głowę przed doskonałą artystką.

Orbeka widząc ją zmierzającą ku sobie, odskoczył, jakby zobaczył upiora, jakby nastąpił na węża.

Mira stanęła.

— Co ci jest? tyś chory? zawołała.

Walenty milczał patrząc na nią.

— Ale wyłómacz że mi, co to znaczy? cofasz się odemnie, gdy ja spragniona wracam do ciebie? milczysz! patrzysz, jakbyś się na mnie gniewał. Zmiłuj się!

— Co mi jest? wybąknął Orbeka ledwie się mogąc zebrać na te słowa — co mi jest?

I rzucił jój klucz na stół.

Mira jakby nic nie wiedząc, niczego się nie domyślając, patrzała, wybornie udawała osłupienie, podziw, litość, jakby nad obłąkanym. Nie poznawała klucza.

— Cóż to jest? jakiż to klucz? wyłómacz że mi tę zagadkę?

Orbeka milezał długo, był zmieszany tym spokojem.

Mira zaczęła się przypatrywać bliżej kluczowi, uderzyła się po kieszeni i nagle zaczęła się okrutnie, nadzwyczajnie, niepohamowanie śmiać.

Padła na krzesło z tym śmiechem, przestawała, śmiech konwulsyjny porywał ją znowu, usiłowała mówić, nie mogła, rzuciła się, tupiała, utulić niby pragnęła, ale to moc jęj przechodziło. Orbeka patrzył stojąc na nią, zachwiany, niepewny, zaczynając już podejrzывать siebie, że dostał obłąkania, że oszalał. Śmiech szczery na pozór, naniętny, gwałtowny, pusty rozlegał się po pokoju z wyrazem naiwności i szczeroty prawdziwie mistrzowsko pochwyconym.

Nareszcie upłakawszy się ze śmiechu tego, Mira poczęła mówić, ale niekiedy ta pusta wesołość jeszcze jęj przerywała.

— A! teraz to już wiem co to znaczy, rzekła, zapomniałam drzwi zamknąć przez nieuwagę, tyś poszedł, odkryłeś wejście do sąsiedniego domu, przypomniałeś sobie, że obok właśnie stoi szambelanie i szatan zazdrości chwycił serce twe w swe szpony! Doprawdy, mogłabym się oburzyć, pogniewać sercy na wieki, za takie jakieś dziwaczne tłómaczenie rzeczy w świecie najniewinniejszj.

Orbeka stał tracąc przytomność.

— Zkąd się wzięły te drzwi zaraz ci wytłómaczę, mówiła powoli Mira. Nim jeszcze szambelanie stanął w tawtyim domu, raz byliśmy ze sędzią K. w moim buduarze, dla obejrzenia mojego kłęcznika, który był właśnie przyszedł mi z Paryża. Spostrzegłam, że starosta na ten kątek zwracał nieustannie oczy, podchodził, przyglądał się, nareszcie palcem ściany zaczął próbować.

Zdziwiło mnie to, usiłowałam wybadać; zrazu nie

mi powiedzieć nie chciał, wykręcał się, bałamucił, naostatek wyznał przyciśniony przezemnie, iż wiedział, że pałac ten za posiadania przeszłego dziedzica, miał zrobione z jego gabinetu, obróconego teraz na mój buduar, przejście do pani S. Niechciałam wierzyć, zaczęliśmy się sprzeczać. Sędzia się uparł, poszliśmy w zakład. Ale cóż się stało. Drzwi egzystowały w istocie, tylko lekko malowaném płótnem przysłonięte. Sędzia pochwycił blejtram i oderwał. Drzwi zostały odsłonięte. Natychmiast posłałam do sąsiedniego domu oburzona, przełękła, wystraszona, nie chcąc ci o tém nic wspominać, i okazało się jak najdowodniej. Słuchaj że — możesz się o tém sam przekonać, że drzwi z tamtej strony nie ma wcale, bo zostały zamurowane bez śladu. Zostawiono je widać, zakleiwszy, z téj strony czy przez nieuwagę, czy dla braku czasu. Otóż cała ta straszna historia, z której może ktoś coś ulepił, widząc, że mi się szambelanic zaleca!

A ty! dodała smutnie, grając rolę ofiary; a ty... na najmniejsze podejrzenie, nie mając żadnego zaufania dla mnie, mimo tylu przywiązania dowodów, posądzasz mnie natychmiast o tak szkaradną, czarną, nędzną zdradę! A! to okropnie.

Tak, zawołała gwałtownie, możem na to zasłużyła, przyjmując to położenie w którym się znajduję, ale przynajmniej nie od ciebie...

Tu oczewiście wypadało płakać i Mira się rozpłakała. Orbeka najszcześliwszy z ludzi padł jęj do nóg przeproszać, a pojednanie po pewnym oporze, gniewie, wymówkach, skończyło się wybuchem namiętnój czułości.

Orbeka nie poszedł nawet sprawdzać opowiadania na górę, doskonała artystka łzami, wyrazem twarzy, przekonała go o swój niewinności. On sam był nie-

wdzięcznikiem, on jeden winowajcą! — on zbrodniarzem, co śmiał tak niewinną posądzić.

Potem, pani ziewając, powróciła na górę, gdzie na nią oddawna drzemiąca Julka czekała i kazała się rozbierać.

— Drzwi zabite, szepnęła sługa.

— To dobrze, ale widzisz, nawet tego nie była potrzeba, to dobry, spokojny człowiek.

I rozśmiała się sama do siebie ruszając ramionami, a sługa popatrzyła na nią i odeszła, z prawdziwą dla swój mistrzyni admiracją.

ROZDZIAŁ IX.

Nazajutrz, Orbeka któremu o to szło bardzo, ażeby z niesłusznych podejrzeń obmył swoje bóstwo, sam pobiegł szukać Sławskiego, ale go w domu nie znalazł. Po mieście kręcił się napróżno, los chciał, że go nie mógł spotkać, wrócił więc do domu, ale tryumfujący, wesół, i niezważając nawet, z jaką sztyderską miną ludzie na niego patrzali. Chociaż świeże przebyła przesilenie tak groźne Mira, nawet na jeden dzień nie zmieniła trybu życia, miała zobowiązania wczorajsze, przyobiecane odwiedziny, przejażdżkę, obiad, wieczór, tak, że do późna nie było jej w domu.

Wracając jednak na górę uznała słuszném, na chwilkę swą przytomnością rozjaśnić celę pustelnika. Weszła do niej cała woniejąca, promienna, rozgrzana rozmową i wyziewami cudzój wesołości, istna bachantka, ale czarująca i wesoła. Rzuciła się na czarny fotel Walentego, skarżąc na znużenie.

On się uśmiechnął.

— Twoja to wina, rzekł, powtarzam ci to sto razy, a ty mnie słuchać nie chcesz, roztargnione, na pozór wesołe, rzucone na łup ludziom życie, szczęścia nie daje. Każda z was gdy się znudzi próżnowaniem, sądzi, że to co świat zowie rozrywką, potrafi ją nasycić, ale ta wasza zabawa jest jak trawiący napój, który większe jeszcze obudza pragnienie... Ja siedzę zamknięty z książką, z myślą, i niczego nie pragnę.

— A! bo ty jesteś mężczyzną.

— Z tego względu, każda z was mężczyzną być może, mówił Walenty — lecz potrzeba pomyśleć i uwierzyć, że w głębi tego co się wam zdaje rozrywką, czczość tylko i próżnia, a temu właśnie dać wiary nie chcecie. Ja inaczej pojmowałem życie, gdzieś na ustroni, w ciszy, gdzieby nas złośliwe nie dojrzało oko, język zatruty nie kąsał, życie we dwojgu ze sztuką, z książką, z naturą...

Ale ty, tybys w tém życiu już nie wytrwała długo, masz nałogi.

— Tak przyznaję, mam złe nałogi, a wiesz jak, człowiek łatwo ich nabywa. Sama czuję, że mnie to nie bawi, nie syci. Cóż? jednak do tego pokarmu niezdrowego przywykły usta moje.

Orbeka westchnął.

— Wyjędźmy ztąd przynajmniej, rzekł, przestaną mówić. Zadasz kłam potwarzom.

Mira która dość była wielką zwolenniczką podróży, zawahała się, ale coś ją widać w Warszawie powstrzymywało.

— A! nie teraz przynajmniej jeszcze... nie teraz... później... pojedziemy chętnie...

— Jak chcesz! rzekł posłuszny Walenty, widzisz, że nie wymagający, a jednak, pozwól mi raz choć pochwalić się sobą — trudno przykrzejszego położe-

nia nad moje. We własnym domu jestem jak obcym i ledwie cierpianym, coś nakszałt wstydlwego sprzętu starego, który za parawan chowają. Nigdy prawie ciebie nie widuję, ludzie mi cię kradną, jesteś dla wszystkich dzień cały, dla mnie rzadką chwilę i to gdyś znużona, potrzebująca wypocznienia. Nie wolno mi się pokazywać często na górze, bo jest ten lub ów z gości, w obec którego moja obecność byłaby kompromitującą, zresztą...

Walenty zamilkł. Mira była przez chwilę zakłopotaną nieco, czuła sprawiedliwe pobudki tych wymówek, a niemogła dozwolić, aby jój je czyniono. Mierzyła tylko siłę swą i potęgę, aby zwrot zbawien-ny nadać téj smętnej rozmowie; nie chciała bowiem w żadnym razie być zwyciężoną, i odejść bez tryumfu.

Czoło jój powoli okryło się chmurkami, zmarszczkami, smutkiem, mgłą gniewu, usta zadrżały.

— To prawda, odpowiedziała zwolna, malujesz swe położenie tak wyrazistemi barwami, że trudno im prawdy nie przyznać. To prawda. Jam tak nie-żnośna, że życia zmienić nie mogę, ty tak biedny, że się z nim oswoić nie potrafisz, więc dlaczegoż miał- byś być nieszczęśliwym? Ja na to nie widzę innego ratunku, tylko... rozstanie! tak! rozstanie.

Ostatni wyraz wymówiła z doskonałą grą uczucia. Walenty któremu przez myśl nie przeszło, ażeby do takiéj ostateczności kilku jego słowy, rzuconemi z otwartego serca, przywiedzioną być mogła, zdziwił się i przestraszył.

Z pod oka szalbierka mierzyła go wejrzeniem ukośném, ważąc czy się ma wycofać z niebezpiecznej próby, czy dalej do ostatniego posuwać ją kranca.

Orbeka stał wahając się tylko jak ją przeproszać, postrzegła, że nic nie groziło i poczęła mówić dalej.

— Powiedz tylko słowo, jutro mnie tu nie będzie, jak ptak potrzęse skrzydłami i ulece... Jestem ci zawadą, ciężarem, ruiną, niestety! jestem samolubną, niegodziwą... dziwaczką.

To mówiąc wstała... Orbeka był coraz bardziej zmięszany, chciał już rzucić się jej do nóg, przebłagać, gdy Mira obrachowawszy że może przeciągnąć scenę, a potem z niej skorzystać, wstała nagle, przykryła oczy chustką i wybiegła zatrząskując drzwiami za sobą.

O biedneś ty serce ludzkie! nieraz, a nieraz w życiu dajesz się oszukiwać czując oszukaństwo, tak ci potrzeba wiary, nadziei i miłości!! A szukać ich, gdzieindziej jak w sercu człowieczem nie umiesz.. Sto razy zdradzone wracasz do tego wyschłego źródła po nowe męczarnie, które są nową rozkoszą... Rozum wskazuje ci ten lichy przyodziany łachmanem fałsz, którego nagość świeci przez wydarte dziury zużytej opony, a jednak... idziesz jak ptaszę na wabik nieudolnego łowcy, który miłością cię łudzi.

Orbeka został zrozpaczony na dole, Mira pobiegła do siebie, mało co zaniepokojona tą historią całą, bo była aż nadto pewna, że się ona jej zwycięstwem skończy musi.

Zaledwie wyszła, zapukano... była to ta natrętna Anulka, która szpiegowała boleść biednego pana, przez litość dla niego, jak mucha, która lata nad ogniskiem, gdy się w niém druga pali.

— Jakiś pan chce się widzieć...

— Jakież to pan? spytał Walenty, i zaraz na myśl przyszedł mu Sławski — prosić go.

Drzwi się otworzyły, był to w istocie Sławski, który dowiedziawszy się w domu, że go szukał Walenty, sądząc się potrzebnym, przybył natychmiast.

Z wejrzenia nie się domysłuć nie mógł. — Ścisnęli się za ręce.

— Potrzebny ci jestem? zapytał.

— Tak — odparł gospodarz — ale z wielu powodów... wolałbym się rozmówić z tobą gdzieindziej... nie tu.

Sławski z politowaniem nań patrzył.

— Deszcz pada, rzekł oglądając się.

— Zajdziemy, gdzie zechcesz, odpowiedział Orbeka, do pierwszej lepszej cukierni lub winiarni. Chodźmy... Wyszli natychmiast.

W Warszawie już wówczas upodobanie w grze bilardowej, spowodowało zakład kilku takich miejsc, w których obok bilardu były różne napoje i przekąski. Nie zawsze, ale czasami jakimś wypadkiem zbierało się tam i nie zupełnie złe towarzystwo, choć po większej części takie, które do wyższego świata stolicy przystępu nie miało. — Ale trafiało się różnie, bo podchmieleni panowie nie bardzo zważali potem, gdzie swych orgij dokończyć mieli. Czasem dla fantazyi szukano jak najlichszych szynków — należało to do *tężyzny* i dobrego tonu.

Niedaleko od pałacu Orbeki, był właśnie jeden z najporządniejszych takich zakładów, utrzymywany przez usłużnego Włocha, który — jak mówiono — różnie się młodzieży i starym umiał przypodobać, a był wielce układny... Walenty z Sławskim weszli do bocznego gabinetu nie zajętego, przytykającego do głównej sali, w której było kilka dosyć ożywionych gromadek, rozprawiających i śmiejących się bardzo głośno.

Orbeka rozpoczął od wiernego powtórzenia całego wczorajszego wypadku, rozmowy z Mirą, jój świetnego zwycięstwa. Sławski milczał na to... Później przystąpił do dzisiejszej sceny.

Dla człowieka zimnego, patrzącego na to z boku, a przekonanego o charakterze Miry, cała ta zręczna gra była odkrytą. Sławski w niej czytał, ale miałże otwierać oczy temu, który je dobrowolnie trzymał zawarte?

— Nic ci już nie powiem więcej, wyrzekł po chwili namysłu — jestem przekonany, że gdybyś zastał u niej Szambelanica w porze nie zwykłej, a drzwi otworem, jeszczeby ci ta kobieta potrafiła wytłómaczyć, że ona jest niewinną, a ty zbrodniarzem, ona ofiarą, ty katem, — że śpiewali kantyczki lub odmawiali koronkę...

— Więc ty niewierzysz? zapytał Orbeka.

— Nie wierzę, nie koniecznie dla tych lub innych, mniej więcej dających się wytłómaczyć okoliczności — rzekł Sławski, ale że znam jej przeszłość, jej charakter...

— Ale to były potwarze! tyś uprzedzony.

— Skończmy to, przerwał Sławski, przepraszam że cię niepokoił, niema już mówić o czém... rzecz skończona.

Umilkli.

Los ma czasem dziwne fantazy. — Wśród tej chwili milczenia, z sali dało im się słyszeć kilka razy głośno, ze śmiechem powtórzone imię Miry, nazwisko Orbeki i Szambelanica. Walenty pobladł chwytając się za stół, Sławski chcąc mu oszczędzić nadarenną przykrość, począł zagadywać, ale Orbeka podbiegł do drzwi, nakazując mu milczenie.

W sali głos męzki nieco zachrypiły perorował, wśród wtórujących mu śmiechów... wyrazy dochodziły uszów ich bardzo dobitnie.

— Są już na to stworzeni ludzie, mówił nieznamy aby ich skubały nawet takie wietrznice, jak ta Mira, ubielona, umalowana, i już prawdę rzekł-

szy, nie tak nawet świeża i młoda, by się dla niej po szyję w błoto leżeć chciało... Ja tam tego Orbeki nie znam, ależ to idiota, głupiec, którego by do domu waryatów wsadzić należało. Co ta kobieta z nim wyrabia! Szambelanie, który mimo zakochania, ze śmiertelnym grzechem by się wygadał, i nie może się wstrzymać, aby nie paplał, dziś już na ucho wypowiadał przyjaciołom, że wczoraj drzwi odkryto, że je w nocy zamurowywać musiał... Śmieją się poczawszy od Blachy do przedmieść wszyscy... a ten... dobra dusza... przeprasza swoją Dulcynę, za niesłuszne podejrzenie!!

Że toż się miłosierny człowiek nie znajdzie, co by mu oczy otworzył. Dla całego rodzaju męskiego hańbą jest jego spodlenie..

Sławski patrzył na Walentego, który stał, słuchał i zadrżawszy rzucił się na fotel... przyszedł do niego, był na pół zemdląły.

— Ale na Boga, męztwa! zawołał—sam los podejmuje się twojego ratunku, wyrwijże się z tego piekła... miej odwagę, miej postanowienie—przekonywasz się przecie!...

Orbeka nic nie mówił, był jak za bity.

— Cóż mam robić? spytał drżący.

— Co? natychmiast iść, pakować się, wyjechać i nie widząc się zerwać... jeżeli się z nią zobaczysz, nie oprzesz się jej; znam cię, ona ci wmówi co zechce.

— A jeżeli ona jest niewinna? wybąknął po chwili Walenty, błagając rzucając na przyjaciela wejście.

Sławski ruszył ramionami z politowaniem... był zarazem gniewny i rozrzucony.

— Straciłem głowę,—począł Orbeka—nie wiem już co robić — rozrządzaj mną... co chcesz każ,—spełnię.

— Idziesz ze mną, do mnie... odparł Sławski... ja jadę po twoje rzeczy i papiery, i jeżeli chcesz towarzyszę ci gdzie ci się podoba... Urlop mam w kieszeni.

Walenty nie już mówić nie mógł, ale się dał pociągnąć... przesunęli się przez tłumne zgromadzenie pierwszej sali, wyszli na próg, mieli się do fiakra, gdy nagle Orbeka wyrwał się, skinął ręką i uciekł— w stronę swojego domu. Sławski, który już jedną nogą był w powozie, obejrzał się... pokiwał głową i zgryziony poszedł do mieszkania.

Tym czasem zbieg, którego serce, czy niewiem jakaś namiętność ciągnęła — wprost wbiegł do siebie, na górę... na pół obłąkany. Ludzie co go wpadającym widzieli, stanęli zdumieni. Na szczęście w pokojach nie było więcej osób prócz Lullier powiernicy i przyjaciółki... i pięknej Miry, której głosik suchy, szyderski dawał się słyszeć zdala. Nie w chęci podsłuchiwania, bo się takiem szpiegostwem brzydził— ale z obawy jakiegoś Orbeka powściągnął kroku, mając wniść do pokoiku, z którego głosy go dochodziły.

W odpowiedzi, jakby na pytanie czy użalania... Lullier mówiła do Miry.

— Wszystko to śliczne, piękne, ale to są niezwykcyjne jakieś rzeczy, które groźniejszymi mnie się niż tobie wydają. Gdybys miała do czynienia z człowiekiem naszego świata, obyczajów, wyobrażeń, życia... można by przynajmniej przewidzieć wypadki... ale winą twoją własną wybrałaś sobie stworzenie dzikie, osamotnione, pewnie gwałtownych namiętności, zamknięte w sobie, nieznające świata... a z takimi ludźmi *on n'est jamais sur de rien*. Zawsze się to kończy katastrofą. Oni to biorą na seryo...

Niewyraźnie co odpowiedziała na to Mira, Orbe-

ka słyszał tylko suchy śmiech towarzyszący słowom i—wszedł nagle.

Mira, która leżała na kanapie, drgnęła nieco... ale obie panie nadto były w swém życiu do niespodzianek nawykłe, by wrażenia pohamować nie umiały. Spojrzały tylko, na siebie...

Walenty miał odwagę wejść, i całą ją wyczerpał na ten krok ostatni. Stał jak wryty...

— Czyś pan chory, spytała Lullier, że tak dziwnie wyglądasz?

— Ja? a tak, w istocie chory jestem... bardzo chory.

— To czemuż się pan lepiej nie położysz, niż masz jak upiór ludzi straszyć... odezwała się z gniewem Mira.

— Właśnie postanowiwszy się leczyć, odparł ukłuty tonem tym Walenty, przychodzę panią pożegnać.

Lullier poznawszy z samego tonu na co się zanosz, wstała żywo.

— Niechcę być świadkiem tak smutnej sceny, zawołała, i uchodzę.

Zawinęła się niezmiernie żywo, i sukni jej szelest jedwabny powoli znikł w oddaleniu. Pozostali więc oni we dwoje, sami i przez długą chwilę, Orbeka na słowo zebrać się nie mógł. Mira, sądziła jeszcze zawsze, że to jest dalszy ciąg sceny przez nią samą wywołanej—była więc o skutki spokojną.

— Jakkolwiek jestem dobrodusznym i do oszukiwania łatwym, odezwał się wreszcie Orbeka—nawet takię jak moja łatwowierność są granice...

— O cóż ci idzie? o co? o co? zniecierpliwiona rzucając mu klucz, odezwała się Mira... no, to idź i przekonaj się.

— Nie potrzebuję nawet tego, odparł Walenty, jestem już przekonany... Szambelanie po całym mie-

ście rozniósł historią замуrowywania drzwi w nocy... słyszałem na moje uszy w publicznej kawiarni nasmiewających się z tego.

Mira zerwała się równemi nogami z kanapki na której leżała, nadto znała Szambelanica i Orbekę, aby temu nie miała uwierzyć; w głowie tylko szukała już wymówki, środka, fałszu jakiegoś, pewną będąc, że najslabszej gałązki uchwyci się ten nieszczęśliwy, którego głos drżący i twarz blada malowała wyমনanie cierpienie.

— Panie mój! zawołała... nie karz że mnie za cudze winy... posłuchaj... zastanów się... a potem uczynisz co ci się podoba... porzucisz mnie nieszczęśliwą na łup ludzkim oszczerstwom, na pastwę nędzy, na rozpacz serca, które bez ciebie nie wyżyje!..

Tak jest, to com ci mówiła wczoraj, było prawdą, ale nie całą. Niechciałam cię niepokoić, przyznając się do wszystkiego, choć, przysięgam ci.. jestem niewinna!!! Te nieszczęsne drzwi Szambelanica kazał być odbić, słyszałam dobijanie się jednego wieczora, uciekłam, narobiłam krzyku... Kazałam je z mojej strony zabarykadować. Cóżem winna, że ten człowiek mszcząc się na mnie, ciska na mnie teraz potwarze?

— Chcesz bym go zabił?! zawołał Orbeka, który już ochłonął, i dał się pierwszemu wyrazowi bólcści dokonać.

— Czyń z nim co chcesz, zabij go sobie! zawołała, udając jęk łzawy kobieta — ale nieobwiniaj mnie. Opuść jeżeli chcesz, porzuć... nie sądź wszakże i nie potępiaj... Jam niewinna, ja ci przysięgam żem niewinna!!..

Dłużej niepotrzebowała już nawet dowodzić niewinności swojej... Walenty sam klęczał przed nią.

— Jutro jedziemy za granicę... ja tu chwili nie pozostanę dłużej! odrzekł z gorączką.

— Natychmiast jeżeli każesz.... odpowiedziała kobieta.

Nazajutrz w istocie Sławski z odgłosu publicznego dowiedział się, że p. Walenty Orbeka i Mira wyruszyli do Włoch. Pałac był zamknięty. Wzięli tylko z sobą jednego służącego i... jakimś wypadkiem, z powodu słabości faworyty, Anulkę.

ROZDZIAŁ X.

Przez blisko rok potem nie było o nich wieści, tylko jako kontroler Cabrit'a, Sławski przekonywał się, że czerpali z kassy heroicznie Tysiącami leciały dukaty, i kapitał Orbeki tak się zmniejszał nagle, iż można było sądzić, że go chyba na innych bankach przemieszcza za granicą.

Szambelanie przywdział był żalobę, w towarzystwach szeptano i gwarzono przez dni kilka, Lullier ubolewała nad stratą dobrej przyjaciółki, a potem... potem jako i wszystko się zapomniało i zatarło!..

Tylko poczciwy Sławski nie zapomniał o przyjacielu, nad którego nieszczęściem ubolewał, a każdy ubytek jego majątku wyczytując w księgach bankierskich, cierpiał nad niem, bo widział w tém coraz większą przewagę zalotnicy, która swoją ofiarę nielitościwie pożerała. Nieszczęściem na tę trawiącą gorączkę nie było żadnego lekarstwa, z tak daleka.

Rok upłynął... Sławski raz powracał znużony od swęj powszedniej pracy, do skromnego mieszkania samotnego na trzeciem piętrze, gdy mu w progu służąca z dołu, (własnego bowiem slugi Sławski

mieć nie mógł) oddała karteczkę na szarym, brudnym papierku nieczytelnie napisaną. Z początku charakteru nawet rozpoznać niepotrafił, tak był dziwnie zmieniony, z podpisu imienia domyslił się, że kartka była od Orbeki, który go wzywał do siebie — do Hotelu na Krakowskiem.

Niezrozumiałem było dla Sławskiego, dla czego w hotelu stanął, mając dom własny. Z pisma domyślając się choroby, niezwłocznie pobiegł. Wskazano mu izbę na dole, dosyć niewygodną i ciemną. Orbeka leżał na łóżku, światła nie było, dźwignął się do Sławskiego, ale na nogach utrzymać nie mogąc, upadł bezsilny.. Dwaj przyjaciele uścisnęli się w milczeniu, gdy w tém służący przyniósł świecę i Sławski spojrzawszy na twarz Orbeki przestraszył się... — Był to inny człowiek, zgrzybiały, złamany, blady, osiwały, dyszący ledwie... z oczyma dziwnie poły-skującymi, w których jakby szła jakiś chwilami przelatywał.

— Co ci to jest? kiedy wróciles? zapytał Sławski

— Widzisz, jestem chory, jestem sam... pokiwał głową, tak... sam... dogorywam. Przybyłem dziś rano, ale dopiero wypocząwszy mogłem się zdobyć na napisanie słów kilku.

— Dla czegoż nie stanąłeś w domu własnym? spytał Sławski.

— Ale dom dawno sprzedany, odrzekł Orbeka, i ten i we Lwowie i wszystko, wszystko...

— Na co? dlaczego? zawołał Sławski...

— Były wydatki... długii.. cicho począł Walenty.

— Miałeś kapitał u Cabrit'a?

— Zdaje się, że tam też nic nie zostało, stłumionym głosem odpowiedział Orbeka, lub tak jak nic.

— Ha! niewiem, dawno ksiąg jego nie widziałem, a w każdym razie ty to musisz lepiej wiedzieć.

— Tak! tak! potrząsając głową, rzekł Walenty, nic nie zostało, nic, oprócz goryczy, żalu, smutku i niepotrzebnego życia.

— A! prawda, dodał po chwili — wszakże mieć muszę jeszcze podobno tę wioseczkę moją, no! to tam wróćę zdychać...

Mówił to z obojętnością zrozpaczonego człowieka, którego już ani co ma, ani co się z nim stanie, nie obchodzi. Sławski siedząc, patrzył nań z politowaniem serdecznym.

— Ale cóż... jak... powiedz mi... jak do tego przyszło?

Walenty podniósł głowę.

— Niewiem czy potrafię, i czy warto, jestem mocno osłabiony, życie wyczerpałem tém nieszczęśliwém szczęściem.

— Dobrze je teraz nazwałeś, przerwał Sławski, to mi daje nadzieję, że kosztem wielkich strat dusznych, serdecznych i majątkowych, opamiętałeś się i przejrzałeś... żeś uleczony.

Orbeka podniósł oczy załzawione na niego, i gorącą, spaloną dłoń położył na jego ręce.

— Przyjacielu! rzekł, ty nieznasz co namiętność, niewiesz jak ona nienasyconą jest, póki przesyconą nie będzie, jak nielogiczną. Dzisiaj jeszcze, gdyby ona skinęła, wróciłoby mi życie, rzuciłbym się ku niej przez przepaść, poszedłbym za nią do piekła!

Sławski żałował, że o tę strunę tak boleśnie dźwięczącą potrafił — rany były jeszcze zbyt świeże.. nieśmiało pytał więc, ale Orbeka odżył bólem wznowionym, potrzebował uważać się, mówić i sam przerwał milczenie.

— Wszystko ci powiem, rzekł spuszczaając oczy,

ty wiesz najlepiej smutne dzieje naszego pobytu w Warszawie, sam pierwszy uwiadomiłeś mnie co się w tym nieszczęsnym domu naszym działo. Chciałem ją wyciągnąć z téj kałuży, oderwać od tych ludzi, którzy mogli jeźli nie jakieś prawa mieć do niej, to przeszłością jój własną przeciwko niej się uzbrajać. Sądziłem, że zmiana kraju, miejsca, otoczenia, samotność we dwojgu, wywrą zbawienny wpływ na jój charakter...

Nieraz nawet zdawało już mi się w ciągu podróży, że to serce, a raczej ta głowa niepokojona marzeniami, wypogadzała się od myśli jaśniejszych... pod wpływem nowych wrażeń.. Zdawało mi się, że się czuła szczęśliwszą, że pragnęła ciszy i zaczynała ją lubić.

Ale to trwało chwilę tylko... najmniejszy wpływ przypadkowy obalał rozpoczętą budowę w gruzy; bał jakiś, wrzawa, tłok ludzi, widok stolicy, rzucały ją w ten kipiątek, w którym z nałogu była jak w swoim żywiole.. był jój potrzebnym do życia, czuła się w nim odrodzoną.

Może być, że chciała pracować nad sobą aby się odmienić, ale wytrwała walka przechodziła jój siły; pokonać nie mogła siebie.

Pojechaliśmy do Medyolanu najprzód, potem do Genui, zkąd powiozłem ją owym cudownym brzegiem morza, po nad przepaściami, do Pizy. Sądziłem, że widok téj majestatycznej natury, ta poezya tworów Bożych, to morze lazurów nad głowami i pod stopami, te wielkie obrazy, wśród których człowiek maleje a serce urasta, podziałają też na jój umysł i czucie, na wyobraźnię, oderwą od zaprzątnień płochi, dziecinnymi zabawami. Omyliłem się — to co mnie unosiło, ją ledwie od snu powstrzymać mogło; bała się samotności, wyżyn, przepaści, rozbójników,

nudziła, poziewała, czasem gniewała się na mnie, żem ją ciągnął w te cudne pustynie, nie miała miłości natury, bo sama stała się istotą sztuczną...

Przybywszy do większego miasta, ożywiła się na chwilę, przestraszała mnie odwagą, a raczej zuchwalstwem, z jakim zgłodniała szukała nowych znajomości, nie patrząc na wartość ludzi, trzpiotała się, ciągnąc mnie za sobą jak niewolnika na łańcuchu...

Com wycierpiał poznając bliżej to serce, w którym zawsze szukałem tajemniczych głębin, a znajdowałem dno zimne zwierciadła odbijającego wszystko co ją otaczało... tego opisać nie potrafię.

Cóż powiesz? nikczemny, kochałem ją; po miesiącach cierpień, jednym uśmiechem pociągała mnie ku sobie, przejednywała. Zapominałem co robiła wczora, gniewałem się tylko na siebie, sobie całą przypisując winę, mojej niezręczności!

Z Genui, gdzie mimo piękności okolic, znudziła się prędko — choć znalazła sobie i miejscowych i podróżnych, z którymi łatwe porobiła znajomości — pojechalśmy drogą Korniszy do Pizy. Za nami pociągnął jakiś Anglik, którego jednym uśmiechem i kilku słowami uwikłała. W Pizie smętniej nie wytrzymała trzech dni, pojechalśmy do Florencyi, Anglik za nami.

Niewiem już z czego tak bardzo podobała się jęj Florencya; musieliśmy nająć tu cały pałac, urządzić dwór, ekwipaże, liberyą, i przepychem naszym, zdumieliliśmy nawet Anglików. Fantazyje jęj były namiętnościami, mogła jutro zbrzydzić to, czego dziś pożądała gwałtownie, ale gdy zapragnęła czego, to się stać musiało. Włosi byli w zachwyceniu przed nią, zwali ją *la piccola principessa*, mnie zaś, mimo gniewu i oporu, nie inaczej jak Excellenzą... prawda

żeśmy honory te drogo opłacać musieli — pieniądze płynęły jak woda, a kradziono i obdzierano nas jako bogatych forestierów na każdym kroku.

Mira zaledwie się urządziwszy w pałacu, zażądała willi położonej w dolinie nad Arno, musiałem nie nająć (bo nie cierpiała najętych mieszkań), ale znowu kupić willę, potem pustkę tę urządzać, opylać, dźwigać, bo mimo przeslicznej architektury, ogrodu, widoku, była to ruina straszliwa. W tych Włoszech, pod których słońcem kamień się wypieka i nabiera złocistej barwy, gdzie marmur dojrzewa wiekami, mury niszczą się prędzej niż gdzieindziej. Po kilku latach bluszcze, trawy, drzewa rozsadzają je, osuwają, zjadają. Nasza willa była księżęcą, rysunkiem i zakrojem, ale niemal na nowo ją budować przyszło. Zrobiłem z niej cacko, myśląc, że ją pokocha, bo w początkach mówiła, że tu na całe życie chce zamieszkać. Stałem gniazdko rozmarzony, szczęśliwy. Ale gdy już wszystko było skończone, Mira ostygła, chwaliła, unosiła się, a opuścić całkiem pałacu we Florencyi nie chciała; trzymaliśmy więc dwa dwory, spędzając po kilka dni na przemiany w mieście i willi. Oprócz naszego niepozbytego Anglika, który mi ciążył niewymownie, młodzież napływowa, panowie miejscowi, garnęli się do nas zwabieni zbytkiem domu, wystawnością życia i wdziękiem téj kobiety.. która gdy chce jest czarującą, niewycięzoną...

Mieliśmy najpierwszy świat w domu i koło siebie. Zagranicą dosyć jest mieć wiele pieniędzy, a odrobinę pozorniej oglady, aby się dostać z tém wszędzie. We Włoszech (naówczas, bardziej niżeli dziś może) dostatek starczył za wszystko.

Żartem mówiąc ktoś o tém z cudzoziemców, chciał z drugim pójść w zakład, że za parę tysięcy dukatów, kupi każdemu kto zechce tytuł książęcy.

Uderzyło to Mirę, głowa się ję zapaliła, podchwyciła myśl i osnuła na nię plan nowy. Postanowiła zmusić mnie, abym się z nią ożenił, włoskie nabył księstwo i osiedlił się w Toskańskim.

Łzy, gniewy, przymilenia, czułości, wszystko na ten cel wyszafowanem zostało, ale — nadaremnie.. O ożenieniu mowy być nie mogło, bom dał słowo uroczyste sobie, że dopóki nieszczęśliwa, która była żoną moją, żyje — z nikim się nie zwiążę ślubem nowym.

Pogniewała się na mnie zupełnie, próbowała sztyderstwa, obojętności, obudzenia zazdrości, groźb, że mnie porzuci — na tym jednym punkcie znalazła mnie nieporuszonym. Padałem ję do nóg, przepraszałem, alem słowa złamać nie mógł, bom go w życiu nie złamał nigdy, i uczyniwszy to, uważałbym się za nieuczciwego człowieka.

Gdy nareszcie straciła nadzieję, aby mnie do tego celu doprowadzić mogła, zrzuciła wszystkie maski, stała się dziwaczną, rozdrażnioną, pogardliwą, a razem jakby naumyślnie, najszałenięj rozrzutną. Zażądała odbyć podróż morską, musiałem ekwipować statek umyślnie dla nas.. na naszym koszcie płynął Anglik i trzech czy czterech zaproszonych cudzoziemców. Tak zwiedziliśmy Korsykę, Elbę, Neapol, Sycylię, dopłynęliśmy aż do Malty; kto wie, możebyśmy byli posunęli się ku Grecyi, gdyby gwałtowna burza dwa dni trwająca, w czasie której byliśmy w istotnem niebezpieczeństwie, nie skłoniła ją do jak najprędzszego powrotu.

Z Rzymu, gdzieśmy potem przesiedzieli kilka tygodni, powróciliśmy znowu do willi nad Arno.

Nadzwyczajne wydatki, które coraz dziwniejszym ulegając żądaniom, ponosić musiałem, wyczerpywały moje fundusze, tak, że już sam rychłego ich końca się domyslał.

Przyśpieszyło ruinę, umieszczenie kilkunastu tysięcy dukatów w ręku przebiegłego Włocha, który ją obalamucił, obiecując złote góry, a we dwa miesiące zbankrutował i uciekł.

Oznajmiłem o tém Mirze, iż nadal niepodobieństwem jest podobne prowadzić życie, ale na to ruszyła ramionami tylko, nazwała mnie niezdolnym starym skąpcem i wcale nie pomyślała o żadnej zmianie. Anglik, którego długo wodziła za sobą, zrażony czy odczarowany w czasie morskiej podróży, znikł nam w Malcie, ale we Florencyi kilku kandydatów znalazło się zaraz na jego miejsce.

Ja uchodziłem wprawdzie wszędzie za męża dla przyzwoitości, ale to wcale swobody jęj nie krępowało, bliższym swoim sama po cichu przyznawała się, że jesteśmy tylko krewni blizcy, ale nic nas nie wiąże z sobą.

Ze wszystkich którzy się o jęj łaski dobijali, w tym czasie jakoś najwidoczniej wabionym przez nią, już zapewne w myśli tę aby mnie zastąpił, był stary Grek, bankier florencki, niegdyś marynarz i kupiec zbogacony, człowiek bez wychowania, gburowaty, śmieszny, brzydki, ale sypiący złotem jak plewą na serdeczne fantazyje. Spędziwszy znaczną część życia w najpospolitszym tłumie, spragniony przyjemności życia, które mu wyobraźnia malowała w blaskach nowych, Radipulo grał dosyć pocieszenie rolę wielkiego pana. Kupił był sobie tytuł barona, dwa czy trzy orderzy włoskich państw, którym ułatwiał pożyczki, sporo na nich zarabiając, dom miał na stopie śmiesznie i błyskotliwie wystawnej, brakło mu pięknej i dowcipnej żony.

Mira odgadła w nim niewolnika przyszłego, i pochwyciwszy przywiązała do swojego wozu. Radipulo stał się u nas codziennym gościem, a dla

mnie ta najantypatyczniejsza istota, była nieustanną męczarnią. Uciekałem przed nim z domu.

Mira miała ulubieńszych z innych względów wielbicieli, bo bez tych nigdzie i nigdy obejść się nie mogła, ale Radipulo był dla niej wprost spekulacją. Śmiała się z niego za oczy, udawała go i szydziła... przyjmowała najczuliej...

Stary przywiązał się do niej jak pies.

Zdaje się, że naówczas już obiecał się z nią ożenić. Szło o to jak zerwać ze mną, niepozbywając się tego co było moje.

Pożycie stawalo się codzień przykrzejszém, kłótnie i wymówki nieustannie je zatruwały. Bywały chwile, żem mimo największej cierpliwości, dochodził do gniewu, oburzenia i rozpaczę.. zrywałem się, już chcąc uciekać, porzucić ją... ale nie miałem na to siły. Nazajutrz kładłem znowu jarzmo i dźwigałem je bezwstydnie.

Co téj istocie dawało taką niepojętą przewagę nademną? nie wiem, może to, że umiała być jednego dnia najnielitościwiej złośliwą, a zaraz potem czułą, łagodną, nawet pokorną. Nigdy dzień młodej wiosny ze swą pogodą, słońcem, śniegami i deszczem, grzmotami i gradem nie był kapryśniejszym nad nią.

Dopóki chciała mnie trzymać na uwięzi do ostatka, wyczerpując mienie, zasoby, siły, życie, zdrowie, dopóty leżałem u stóp jej związany.

Nareszcie jednego dnia, gdy zażądawszy pieniędzy, postrzegła, że ich już nie miałem i mieć nie mogłem po tylu stratach, chyba ze sprzedaży domów.. zrobiła mi scenę.. najprzykrzejszą a razem najdziwniejszą w świecie.

Począwszy od wymówek, żem ją wtrącił w położenie fałszywe, że obiecywałem z razu ożenić się z nią (co było fałszem) a dotrzymać słowa nie chciałem...

żem się stał dla niej nienawistnym i nieznośnym... żem ją zrujnował (ją!) rzucając w życie zbytku i marnotrawstwa... zaczęła potém ubolewać, płakać i prosić, abym nie stał na zawadzie do wydźwignięcia się z téj przepaści. Wyznała mi, że Radipulo chciał się z nią żenić, ale że ona mówiła mu że jest majątną... iż przez sumienie powinienem jój willę i to co miała zostawić, a tém los na przyszłość zapewnić.

Nie mam sił, ani talentu, aby tę rozmowę naszą powtórzyć, aby wytłómaczyć ci jak się stało, iż ona wiedząc o tém żem był zrujnowany, wmówiła mi, iż opuścić ją powinienem.. wszystko oddając jój.. sam.. choćby o żebraniu w świat idąc.. byłem szczęściu jój nie stał na zawadzie.

Miała tę ostrożność zresztą, że willa była na jój imię kupiona, że dom był także dla niej skontraktowany, i wszystkie resztki w jój rękach... Jak z łaski rzuciła mi sto kilkadziesiąt dukatów, które wedle niej, przy mym skromnym sposobie życia, bardzo na powrót mogły być dostateczne...

Tak pozbywszy się mnie, bo zadysponowała zaraz ludziom, aby rzeczy moje do hotelu przeniesiono, w tydzień, nim opuściłem Florencyą, została baronową Radipulo.

Oszalały z namiętności, z tęsknoty, wilem się w bolesciach, włócząc pod drzwi jój i okna, wypatrując na przechadzkach... niemogąc uspokoić się i pogodzić z mém położeniem.

Znać obawiała się mnie czy też przykrą jój była ta postać, będąca wyrzutem sumienia, bo z jój łaski podobno, mimo choroby, otrzymałem rozkaz wyjazdu, jako podejrzany, niewiem o co i za co, i musiałem natychmiast udać się do Bolonii, gdzie zapadłem ciężko i obległem.

Zapomniałem jeszcze dodać, że odprawiając mnie

do domu, i rozkazując udać się w podróż, na którą mi łaskawie sto kilkadziesiąt dukatów raczyła przeznaczyć, włożyła na mnie obowiązek odprowadzenia do Warszawy służącej, którą była wzięła z sobą, a znieść jej nie mogła i tęskniącej, pozbyć się chciała. Wystaw że sobie położenie moje z tym ciężarem tak dziwnym, z tą płaczącą ubogą dziewczyną, zmuszoną wlec się za chorym, nieumiejącą języka, obawiającą się ludzi i rozplywającą we łzach nieustannych.

Mira nie widziała w tém nic ani nieprzyzwoitego, ani dziwnego, zresztą szło jej tylko o to, aby nie miała na oczach sieroty... Znalazła to naturalném rzucić na mnie.

W Bolonii, ta towarzyszka podróży ocaliła mi pewnie życie, pilnując w słabości, w ciągu której bym był okradziony, a może nawet... przez nieumiejętnych lekarzy dobity, gdyby nie ona czuwała jak anioł przez Opatrzność zesłany nademną... Byłem też jej potrzebny, jakżeby się bczemnie dostała do kraju i rodziny?

Ona to, gdy się wyczerpał mały zapas choroby, napisała do baronowej, wystawując jej moje położenie, i domagając się zasiłku, który nadszedł, ale w takiej kwocie, w jakiej się daje natrętom jałmużna. W liście Mira zapewniła Anulkę, że miał pieniądze, i dla niej tylko, przyłączyła kilka dukatów. Musiałem czekać zadłużony, chory, aż mi tam z resztek jakichś z kraju odrobinę przysłano, powlekliśmy się do Warszawy, i oto widzisz mnie tu...

Orbeka mówić przestał... sił mu zabrakło, rzucił się na łóżko z oczyma zamkniętymi.

W téj chwili ujrzał Sławski wchodzącą pośpiesznie chromą dziewczeczkę, bardzo ubogą i skromnie ubraną, bladą i wynędzniałą, która niespokojnie za-

kręciwszy się u proga, podbiegła, jakby przemógłszy obawę jakąś, do łóżka chorego, przyklękła przy nim, poprawiła poduszki i eicho szepnęła gościowi, aby mu dał odpocząć.

W istocie Orbeka jakby zapomniawszy o przyjacielu i złamany znużeniem, z przymkniętymi powiekami zdawał się drzémac, oddech jego był ciężki, wszystko zwiastowało chorobę, wycieńczenie do ostatniego prawie posunięte kresu.

Sławski wstał, na palcach przechodząc do drugiej izdebki, bojąc go się tak opuścić i chciał skinąć na dziewczę by za nim szło, ale spostrzegł, że sama ona już się tego domysliła.

Jedno spojrzenie na tę twarzyczkę, podobną do świeżo rozwiniętego a zwarzonego chłodem smętnego kwiatka, dało mu poznać, że miał do czynienia z dzieckiem ludu, bojaźliwém, skromném, pobożném i pocziwém.

Z oczów chromój Anulki patrzył smutek i miłosierdzie, niewypowiedziana jakaś czułość dla tego biednego Łazarza, którego odchodząc jeszcze jak dziecko swe zdawała wzrokiem chcieć ukoić i usmieżyć boleść.

— A! panie! zawołała, załamując ręce, gdy weszli do drugiego pokoju i drzwi lekko zawarła za sobą Anulka — a! panie! jakież to szczęście, że jest ktoś pocziwy i dobry na świecie, co ma trochę serca braterskiego, dla tego nieszczęśliwego człowieka! Żebyś pan mógł wiedzieć co on przecierpiał, ile zniósł od téj kobiety, tego żaden język nie wypowie! I co on teraz pocznie?

Sławski westchnął, jój łzy się potoczyły z oczów.

— Proszę pana, spytała nieśmiało — teraz, kiedyśmy już do kraju przyjechali, mnie się zdaje, ja niewiem... ale może... nie wypada, abym ja przy nim została?..

— Chciałabys go tak chorego porzucić? spytał Sławski.

— Ja! zakrzyknęła Anulka — a! panie! chyba mnie nie zrozumiałeś, ja się tak przywiązałam do tego biednego pana... on choć mnie nie lubił, tak zawsze był dla mnie dobrym... a tak nieszezęśliwym... ale...

— Proszę cię, rzekł Sławski, moja panienko, gdyby był młodym i zdrowym, mogli by ludzie coś pomyśleć złego... ale on... dogorywa.

— A! nie! nie! chwytając go gorączkowo za rękę, przerwała Anulka, i przestraszone w niego wlepiając oczy: nie mów pan tego! on tylko potrzebuje odpoczynku, zapomnienia... Czy uwierzyłbys pan, że jeszcze teraz zrywa się czasem nieprzytomny w gorączce, i wyciąga ręce i woła téj okrutnicy, która, się naśmiewała z niego... odarła go, i nad umierającym prawie nie miała odrobiny litości...

Sławski spojrzał na nią, i dostrzegł po raz pierwszy w jéj twarzy piękności, której nie widział dotąd, ożywiona, oburzona, miała rysy jakby rozświecone uczuciem silniejszym... wargi jéj drgały, oczy jeszcze się kąpały we łzach, a piers dyszała niespokojnie.

— Pan jesteś jego przyjacielem, rzekła, zniżając głos zwolna, pan wszystko wiedzieć musisz, czyż on tak doszedłaga się stracił? czy już nie ma nic a nic, ani kątka gdzieby spokojnie głowę mógł przytulić, ani grosza na chorobę i potrzeby? Bo widzi pan, gdyby już tak było źle, dodała, ja mam sposób.. tylko mu nic.. nic mówić nie należy, bo by mu było przykro, ja szyję ładnie i haftuję, ja mogę w nocy pracować, a pan.. pan mi się zdajesz dobrym, nastreczyłbys mi robotę. — O! ręczę panu, że byś się nie powstydził, u panien w klasztorze ja byłam najrzęczniejszą haftarką, to sobie przypomnę...

— Zdaje mi się, że on tego jeszcze potrzebować nie może, odparł Sławski, wpatrując się w dziewczę i odgadując powoli to serce biedne... które się zataić nie umiało — jutro pójdę do jego plenipotenty. Stracił prawie wszystko, to pewna, ale pewny jestem, że mu jego wioseczka została, i może jakie okruchy z tego ogromnego majątku.

Anulka w milczeniu prawie ze smutkiem to usłyszała, czuła się mniej potrzebną, a marzyła o cichém poświęceniu.. pragnęła prawie, aby Orbec nie zostało... prócz niej!

To uczucie tak się wyraźnie na jej twarzyczce odmalowało, że je Sławski jak z książki przeczytał.

— Mój Boże! rzekł w duchu — tak jest prawie zawsze w życiu człowieka, szczęście, przywiązanie, serce narzuca mu się ślepe, gdy za niemożliwem wyciąga ręce! Jestem pewien, że niewiód, i niewiódzi nawet, iż aniola stróża ma przy sobie.

W tej chwili Orbeka się w przyległym pokoju poruszył, westchnął, a dziewczę pobiegło do niego... ale otworzywszy oczy, spytał o Sławskiego, i Anulka, na którą ani spojrzął — wróciła, wskazując Sławskiemu by szedł do niego, a sama znikła.

Po bardzo krótkiej chwili odpoczynku, która go jednak orzeźwiła, zrzuciwszy brzemię spowiedzi z piersi.. Orbeka zdawał się spokojniejszym, ścisnął za rękę Sławskiego.

— Mój drogi, rzekł — coś z sobą zrobić potrzeba, pomóż mi, może będę miał siły dostać się do Krzywosielec, ale ja nie wiem czy Krzywosielce są moje, czy co mam... i co pocznę... Zobacz mego plenipotentę, dowiedz się i nie kryj nic przedemną. Najśrodsze ciosy przetrwałem, grzechy żywota jak zawsze niosły z sobą karę na barkach... reszta... spełni się jak tam najwyższa sprawiedliwość rozsądzi. Jeżeli

się co należy odemnie, odbierze los dług swój, jeźlim się wypłacił, skończę...

Oprócz mojego własnego losu, dodał, obchodzi mnie, przyznam ci się, i dola téj nieszczęśliwej sieroty...

Sławski spojrzał nań, chcąc wyczytać jakieś żywsze uczucie dla Anulki, ale się zdziwił, gdy Orbeka dodał:

— Prawda, że mnie znudziła swą opieką, przesadną troskliwością, prawie pieszczotami dziecięcemi, że mam tego, wszystkiego dosyć — nadto... ale niemniej przyznac muszę, że to istota dobra, poczciwa, serdeczna. Tylko tak prostoduszna! tak czasem śmieszna ze swą pobożnością, obawami, płaczem nieustannym, łzami... a!

— Przecież to dowody poświęcenia, rzekł Sławski.

— Ale, wierz mi, tak nudne! tak nudne.. a czasem aż do zniecierpliwienia.

Sławski zdziwiony pochylił się, pytając go po cichu, w obawie, aby dosłyszany nie był.

— Więc chciałbyś ją odprawić do domu?

Orbeka się zamyślił.

— To dziwna rzecz, rzekł powoli — tak, dziwna w istocie — sam niewiem — przywykłem jednak, i tęskno by mi było... Nero zdechł dawno, niemał prócz niej i ciebie, żywej duszy przyjaźnej — nie śmię się.

— O! nie, rzekł Sławski, dziwiłbym się i smucił, gdyby było przeciwnie.

— Tak, niecierpliwi mnie, męczy, dodał Orbeka, a jednak — są chwile, że ta twarzyczka smętna, niepiękna, jest mi do życia potrzebną. A! gdyby to była ona! gdyby...

Niedokończył, gdyż samo wspomnienie Miry

uderzyło mu krwią do głowy, i odebrało głos, znowu uczuł się gorzej.

— Słuchaj, rzekł Sławski — potrzeba ci spoczynku, twoja siostra miłosierdzia czuwać będzie nad tobą pewnie w drugim pokoju, ja pójdę. Jutro dowiem się o interesach, spiszę rezultat i przyniosę ci — co Bóg da, złe czy dobre wieści.

Podali sobie ręce, biedny chory upadł znów, zamykając oczy, na poduszki.

ROZDZIAŁ XI.

Nazajutrz rano, Sławski wyszukał plenipotentą Orbeki; był to szczęściem jeden z tych rzadkich ludzi, którym rozum nie przeszkadza mieć serca, a serce nie paraliżuje władz umysłowych. Dawny towarzysz szkolny obu, mecenas Pierski, miał dla swego klienta przywiązanie stare i politowanie nad jego położeniem, które od razu, gdy go w rękach Miry ujrzał, przeczuł i zrozumiał jego następstwa.

— Słuchaj no, Sławski, rzekł po chwili, uważnie wyrozumiawszy co mu ten o Orbecie opowiedział, wszystko, co się stało, znając kobietę i jego, jak na dłoni, zawczasu widziałem. Niemam najmniejszej zasługi, żem odgadł tak trafnie, to zadanie do zbytku było łatwem. Niepodobna było powstrzymać Orbekę, ująć, odciągnąć, trzeba mu było dozwoić by zszedł aż na dno przepaści, z której go teraz jeszcze wyciągnąć możemy — jeżeli — jeżeli ten szatan, kobieta, znowu jakim trafem na nasze wody nie wypłynie.

— Ale to nie może być! poszła za mąż we Włoszech! zawołał Sławski.

— Dla takich kobiet niema nic nie podobnego, zrujnowanie bankiera, zamęczenie człowieka... to fraszki, mówił Pierski, widzieliśmy już nie takie sprawy tych białych rączek i tych śmiejących się oczek dziecięcych.

Otóż, dodał, póki sepultury mi nie pokażecie i świadków, że ją pogrzebiono, ja zawsze z moim klientem będę się miał na ostrożności. Gdyby ten szatan wrócił, skórę by mu zdarł z kości, i sprzedał za bilet do łoża w teatrze.

— Ale nierozumiem cię — przerwał Sławski — o cóż idzie?

— Jeżeli podzielasz moje obawy i ostrożności, i zgadzasz się na potrzebę pewnej kurateli nad Orbeką, to mnie natychmiast lepiej zrozumiesz?

— Zgadzam się na co chcesz, bo znam twoje pocziwe serce i głowę do interesów.

Pierski śmiejąc się, ścisnął go za rękę.

— Rzeczy tak stoją. Krzywosielce nie są ani sprzedane, ani zastawione, ani odłużone, czekają na swego pana i zdaje mi się nawet, że staruszek Jaś tam żyje, sprzęty z kurzu ocierając.

Sławski ucieszony uścisnął aż opasłego prawnika, który się śmiał i mrugał oczyma widząc jaką radość sprawił.

— To nie dosyć jeszcze, rzekł — manewrowałem tak, szepnął Pierski, żem pod rozmaitemi pozorami, odszarpując to tu, to tu po troszę, wyratował od zguby.. zgadnij ile?

— Ojcie! może z tysiąc dukatów, a! toby się tak przydało! wszak mu braknie pierwszych wygód!.. a ta sierota...

— Jaka sierota? spytał Pierski ponuro, czy jest znów co innego?

Sławski począł mu opowiadać.

— Masz tobie! zawołał—to niepoprawiony człowiek, jedna go' mało nie stłukła w mózdzierz, już drugie' się dał przyczepić! a to skaranie Boże!!

• Ledwie Sławski bardzo szczegółową zdając relacyą, potrafił mecenasa nieco uspokoić i przekonać, że tu żadne nie groziło niebezpieczeństwo, jednakże Pierski już o oszczędzonej summic mówić nie chciał i dopiero pod przysięgą, że mu Sławski dochowa tajemnicy — wyznał, iż resztki fortuny owęj milionowej wynosiły oprócz wioski, jeszcze piętnastcie tysięcy czerwonych złotych.

Była to summa olbrzymia, prawdziwym ocalona cudem, ale Pierski miał ją w fidei komisie w ten sposób ulokowaną, że tylko za jego zgodą podniesioną być mogła.

— A że mu nic dam grosza, póki się nie przekonam że można bez niebezpieczeństwa — to pewna, rzekł w końcu— na to przysięgam!

— A na życie! na podróż! na lekarza?!

— Czeka! czeka! przerwał prawnik— powiesz mu odemnie, że Krzywosielce ocalił, że przez lat dwa dochód z nich składałem, z tego prowentu daję oto pięćset dukatów. Gdyby więcej potrzebował dam jeszcze tytułem pożyczki, ale o summie ani słowa. Ten szatan gotów ją jeszcze teraz z nicgo wyciągnąć!

Sławski choć nie widział żadnego niebezpieczeństwa, zgodził się na środki ostrożności przedsięwzięte przez mecenasa i z weselszą twarzą powrócił do łóża przyjaciela. Znalazł go po nocy spędzonej w gorączce i snach jakichś męczących, może słabszym niż wczora, ale za to daleko spokojniejszym, Anusię zapłakaną i bladą, bo widocznie całą noc nie spała.

— Wystaw pan sobie — szepnęła w progu do

Ślawskiego— do białego dnia wykrzykiwał do niej i ręce wyciągał...

— Jakże ci jest? spytał Ślawski.

— Nic, nic, zmęczonym się czuję, ale na wszystko zrezygnowanym i spokojnym; mów czy mi co stanowczego przynosisz i złe czy dobre?

— Jedném słowem ci odpowiem, zawołał Ślawski, dzięki Picrskiemu, twoje Krzywosielce bez długu, całe, ocalone; dom cię czeka, a oto z dwuletnich dochodów pięćset czerwonych złotych. .

— Jakto? możesz to być żebym ja był jeszcze tak bogaty! A! Bóg jest dobry! lepszy niż zasłużyłem...

Znać Anulka podsłuchiwać ich musiała, gdyż w téj chwili łoskot się zrobił za drzwiami. Ślawski podbiegł i znalazł ją omdłąką, leżącą na ziemi z ręką na ustach... Zrozumiał że anioł stróż obawiał się być odprawionym i serce mu biedne zabołało śmiertelnie... Nim się pochylił by ją podnieść, od uderzenia wytrzcźwiała i oprzytomniała, zawstydzona, przelękną, porwała się i kładnąc palec na ustach uciekła do swéj izdebki.

— Cóż się to stało? co tam? dopytywał Orbeka.

— Nic — nic — upadło potrącone krzesło, rzekł wracając Ślawski. No, więc teraz idźcie o to, aby cię Gadatkiewicz lub Lafontaine podkurował, żebyś sił nabral i na wieś wyruszył.

— Tak, tak — dodał Orbeka — nic mogę tu pozostać, wszystko mi mój szal, moje szczęście, winy moje przyponina... atmosfera jest zabójczą dla mnie, potrzeba wracać na wieś, a cała ta przeszłość snem mi się wyda chorobliwym... zapomnę...

Zamyślił się na chwilę.

— A! gdybym zapomnieć mógł, gdybym pościć-rac potrafił w sobie niezmyte pamiątki tych chwil

szczęścia i niedoli... ale nie... karą moją te wypieczone na duszy piętna być muszą... ja nigdy niezapomnę...

— Tak, przerwał Slawski, ale już dziś przynajmniej jesteś zmuszony nią pogardzać, znasz ją... nie możesz zachować dla niej uczucia, którego nie była warta.

Orbeka się uśmiechnął dziwnie.

— Czy to było uczucie? zapytał po cichu — ja niewiem... to była namiętność, która jest ślepa, nierozumuje i podobno z człowiekiem dopiero umiera... Nad brzegami Renu gdzieś krąży podanie o pierścieniu, który włożony na palec miał własność obudzać ku posiadaczowi miłość niepoohamowaną... Co jest tém pierścieniem w kobiecie... ja niewiem i nikt nie wie! Dla czego z tysiąca ich jedna czyni na tobie to wrażenie niestarte, pociąga cię choćby w przepaście, odtrącając nawet iść za sobą zmusza, upadlając, chwyta? Jest-li to tajemnica ducha czy ciała, mistycznych węzłów nierozzerwana resztką czy bydlęcy instynkt? wszystko to razem, lub jedno, a nierozwikłane, któż odpowie?.. Czemu w te oczy patrząc zdaje się świat przezierać do głębi, niebo aż do Boga — czemu w tym głosie brzmią chóry aniołów i harmonia światów, choć głos ten szydzi z ciebie lub przeklina... a! to jedna z tych tajemnic życia... człowieka... losu... której się nie dowiemy nigdy... Dla czego w istocie upadłej, skalaniej dla nas jeszcze, tylko dla tego oka miłości, widne są szaty anioła, czemu w niej jest wszystko, a po za nią nic?? któż to powie?—

Slawski milczał.

— Biedny ty jesteś, rzekł, jeżeli jeszcze zachował choć odrobinę téj namiętności tyrańskiej — jeżeli męczarnie, zawody nie ostudziły cię narcszcie, jeżeli cię nawet wzgarda nie rozczarowała... nie jesteś więc uleczonym, a może nie będziesz nigdy.

— Czas leczy wszystko jak mówią — dodał Orbeka po cichu, tak, bo czas żre wszystko, wyjada serce nasze, więc z niém namiętności, żądze, unosi pamięć, a z nią nas samych... Przetwarza nas na nowych ludzi, albo, jak w moim wieku na szkielet ostygły. I to by było dobrodziejstwem.

Na tę rozmowę niebezpieczną nadszedł zamówiony Lafontaine. Sławski dozwolił mu wybadać chorego, dawszy wprzód potrzebne do zrozumienia stanu skazówki. — To badanie trwało dosyć długo, znakomity lekarz a razem znawca serca ludzkiego, odszedł z zasepioną, ale nie zrozpaczoną twarzą od łoża chorego. Sławski go odprowadził, pytając.

— Ten człowiek umiera, a chorym nie jest, odparł lekarz powoli — słabość jego cała w głowie i sercu. Należy go uspokoić, powrócić życiu dawnemu, ukolysać, a gdyby można zająć go, związać rodziną, uczuciem nowém. Tymczasowo nic, tylko spokoju!!

Przepisy dla chorego ograniczały się małemi środkami dietetycznemi i wzbronieniem wszystkiego co drażnić mogło. Ponieważ przez jakiś czas powinien być zostać w Warszawie, Sławski postarał się nająć mu mieszkanie w miejscu, gdzieby go żadne wspomnienia nie prześladowały. Znaleziono dworek na drodze do królewskich łazienek schludny, mały, w cienistych drzewach i ogródku, i tam mieli się przenieść w dni parę.

Od tego ranka i omdlenia, Anulka chodziła jak w pół zabita... czuła się ona coraz mniej potrzebną, a biedne dziewczę samo nie wiedząc jak przywiązało się do téj istoty upadłej, znękanéj i życia bez niej już sobie wyobrazić nie mogło.

W niej nie była to namiętność, coś daleko czystszego od niej, nałóg serca, sierocego, osamotnionego,

potrzebującego kochać, które wszystkie siły swe na to pierwsze uczucie wyszafowało. Anulka nie obrażała sobie, by kiedykolwiek czém inném dlań być mogła, jak sługą i stróżem; ale żyła nim, jego uśmiechem, spokojem, zdrowiem, boleściami... Reszta świata przedstawiała się dla niej jak tło jakieś szare, na którym obraz chorego ukochanego świecił swém cierpieniem.

Dowiedziawszy się, że wszystkiego nie utracił, że miał jeszcze wioskę, trochę grosza, przyjaciół, krewnych, ona co była dlań długo jedyną... poczuła ucisk na sercu, coś jakby zazdrość i smutek... Rola jój była prawic skończoną, — dziś, jutro... mógł jój rzucić grosz i odprawić biedną... na wieczną tęsknotę, do której przyznać się jój nawet nie godziło.

Odgadła dobrze, iż Orbeka dowiedziawszy się że miał jakiś zapas, pomyślał zaraz o smutném wynagrodzeniu jój groszem za poświęcenie; że nie domyślając się jój przywiązania, musiał już szukać środków uwolnienia jój od smutnego zajęcia przy łożu chorego. Drżała, że to ją co chwila spotkać może, a im więcej się obawiała, tém strach zmuszał ją gwałtowniej wybiec samą przeciwko grożącemu niebezpieczeństwu.

Nazajutrz więc rano krzątając się około pokoju, nagle Anulka przyklęknęła swym zwyczajem u jego łoża.

Orbeka, wszelkie tego rodzaju oznaki czułości niecierpliwiły, widząc ją przypadającą skrzywił się.

— Czegoż znowu chcesz, moje ty pieskliwe dziecko? zapytał.

— Mój panie, mój drogi, tylko się nie gniewaj na mnie, przyszedłam — rzekła coraz nieśmielęj jākając się — przyszedłam... spytać was właśnie, czym ja już moją niezgrabną służbą tak wam dokuczyłam, że mnie się pozbyć chcecie?.. czy ja się jeszcze tu zdam na co?

Orbeka spojrział na nią.

— Chcesz pewnie wrócić do rodziny? zapytał

— Panie mój— ja nie mam rodziny.

— To do stron rodzinnych?

— Nie, rzekła Anusia śmielej nieco, nie — na świecie tak jak nikogo nie mam... ale boję się czy nie jestem panu ciężarem i zawadą.

Orbeka niewiedział co odpowiedzieć.

— Przyznam ci się rzekł, że jakkolwiek dobrą bylas dla biednego Łazarza, który ci pewnie życie winien, a nie raz nienawykłego do takiój jak twoja dobroci, cierpliwości, nadszkalowania, zniecierpliwiasz mnie Anulku...

— Ja? a.. panie! przerwała boleśnie, ja?

— Daruj mi to, rzekł Orbeka, ja sam czuję się niewdzięcznym, ale byłem i jestem chory i nieszczęśliwy, eoś wybaczyć mi potrzeba!..

— A! panie.. to mnie raczej.

— Otóż widzisz, moje dziecko, rzekł chory— tys młoda, tobie potrzeba powietrza, ludzi, życia, świata, a tu zwiędnieś przy mnie. Jak tylko się dowiedziałem że coś mam jeszcze, natychmiast zapragnąłem się podzielić z tobą. Będziesz więc miała i posazek.

Anulka pasowa i blada na przemiany, przełękła, mimowolnie zakłamawszy ręce zerwała się od łóżka, dwa łez strumienie płynęły cicho po jej twarzy, piers dyszała oburzeniem.

Orbeka podniósł na nią wejrzenie i zrozumiał tę boleść, którą mimowolnie obudził, pochwycił ją za rękę i w uniesieniu chwilowém, pocałował milcząc. Anulka krzyknęła i poczęła ścisnąć mu nogi, płacząc i zachodząc się od łkania.

— Mój ty panie drogi, zawolała nareszcie, gdy Walenty coraz bardziej przejęty tém uczuciem słowa

wymówić nie mógł— tylko mnie nie krzywdź.. pie-niędzmi!! Ja nie nie chcę... a pozwól zostać w kątku przy tobie... ja nie będę naprzykrzoną i nudną—będę się starać być wesolą i nie nie robić nad to co mi rozkażesz. Ale mnie nie odpędzaj od siebie, gdzież ja się podzieję?? sierota i kaleka!!.

Chory się zamyslił smętnie, była chwila błyskawiczna w której serce jego dziwnie jakoś uderzyło, ale już ostygł i wyrzucał sobie że mógł doznać tego uczucia... rozumiał teraz że Anulka bała się stracić jego opiekę, że sercem pokorném sługi przywiązała się do niego.

— Więc zostań, proszę, zostań, rzekł, mnie samemu tęskno byłoby bez ciebie. Myślałem tylko— dodał— że ci lepiej niż przy mnie być może.

— A! nigdy! a! nigdzie! zawołała Anusia i płacząc odbiegła posłyszawszy kroki czyjeś.

Orbeka głęboko zadumany pozostał.

To pewna, że bardzo po ludzku i chłodno wytłómaczył sobie wkrótce to znalezienie się Anulki, która była szczęśliwą że niebezpieczeństwo zażegnała.

Nazajutrz chorego przewieziono do najętego dworku, dano znać do Krzywosielec staremu Janowi; aby przyjechał jeżeli może, a Anna objęła skromne obowiązki gospodyni i szafarki...

ROZDZIAŁ XII.

Florencya.

Palazzo Radipulo.

Via ogni Santi.

„Kochana Lulu!.. Wieki już jak nie pisałam do ciebie, biję się w piersi i wyznaję winę moją, ale,

ty wiesz, szczęśliwi pisać nie lubią i o wszystkich zapominają... ja nie byłam szczęśliwą... i z utrapienia straciłam pamięć i ochotę nawet do ciebie się odezwać.

Od téj chwili gdyśmy się pożegnały u rogatek, gdy mnie ten nieznośny, wzdychający i zamęczający swoją miłością tyran wywiozł na krańce świata, ty nic nie wiesz o mnie — *Chère Lulu!* cóż za historye, jakie przygody przeżyłam! ile ucierpiałam! co się ze mną stało i dzieje?! Zapisałabym arkusze chcąc ci opowiedzieć wszystko, ale ani papieru ani czasu nie mam na to! W krótkich opowiem ci słowach — wyjechałam z nim. Niekochałam go nigdy, jak wiesz, smutne położenie moje zmuszało mnie trzymać się tego człowieka...

Był dobry do ostatecznego znecierpliwienia, nawet tak łagodnej jak ja kobiety... Energii żadnej, pedant, nudziarz, a gdyby mu było dozwolnić, trzymał by w swoich objęciach nieustannie i płakał z rozkoszy. *C'était assommant!*

Szukałam wszelkiego rodzaju rozrywek, *je puisais largement dans sa bourse*, podróżowaliśmy, dokazywałam szaleństwa... *je cherchais des distractions*. Rój mężczyzn włókł się za mną, ale na seryo żaden się nie zajął. Słowem, skończyło się na tem, że musiałam, widząc, iż mój nudny worek się wyczerpuje, chwycić się starego Greka, bankiera barona Radipulo który się ze mną, ożenił *J'ai eut toutes les peines du monde pour me débarrasser de mon insipide adorateur. Il ne voulait pas s'en aller*, musiałam użyć środków przykrych dla mnie, ale koniecznych. Kazano mu wyjechać. *Ouf!* Zachorował gdzieś z rozpacz w Bolonii, ale że ludzie z tego nie umierają, musi już być w kraju. Zrujnował się przez nieład, nieumiejętność rządzenia, *on a du à voler... que sais-je? głupi!*

Ale to dopiero początek moich utrapionych

dziejów. Mówiłam ci już, że baron się ze mną ożenił. Wystaw sobie, że dopiero po ślubie postrzegłam, że się strasznie na nim omyliła. Wydał mi się głupawy i dobroduszny, byłam pewna, że jest bogaty, wszystko okazało się oszukaństwem.

Miałam willę pod Florencją i pałacyk w mieście... Ani wiem jak je sprzedano i co się stało z moim kapitałem. Jednego nie pięknego poranku, zbankrutował zupełnie mój niepoczciwy Grek. Zdaje się, że miał zamiar porzucić mnie na bruku, a sam uciec do kochanej ojczyzny... z której był niegdyś wyszedł boso. Ale Bóg jest sprawiedliwy, *figurez-vous*, że mi go apopleksya z tych wzruszeń gwałtownych... zabrała. Żebyś wiedziała jaki był okropny, siny, czarny po śmierci — *j'en ai eu le cauchemar* przez kilka nocy....

Z pomocą pocziwego prawnika, *un bien bel homme*, udało mi się ocalić *quelques bribes d'une fortune colossale!* ale to wszystko nie da mi z czego żyć.— Ja przywykłam do tego życia, które nie cierpi rachunku...

Znienawidziłam Włochy, zagranicę, ludzi tutejszych, dostałam tęsknoty za krajem. Lulu! powracam do was, wyciągnij do mnie ręce i przygotuj się pocieszać nieszczęśliwą wdowę. Możecie rozpuścić wieść, że wzięła w spadku po bankierze Radipulo miliony, kto tam będzie sprawdzał! . A postaraj mi się męża bogatego, młodego, nie zazdrośnego, z tytułem, imieniem, *enfin l'ideal du genre* — *il faut faire une fin!*

Rozumiesz, że w drogę tak długą do Polski, *pauvre petite femme*, nie mogłam się puścić samą. Jadę z An nibałem Servi, śliczny chłopak, muzyk, śpiewak, *il fera fureur chez nous* Ale ubogi jak święty turec-

ki, et... *marié*. Rzuca tu swoją chłopkę, e sam rusza ze mną, mianowałam go swoim kuzynem na czas podróży. Przed Warszawą pożegniam go, bo chcąc się wydać za męża, muszę wrócić w szatach żałobnych... *irre prochables*.. Moja Lulu, 'znajdź mi tam gdzie jaki przyzwoity kącik, *ou je puisse descendre, un appartement de rien du tout, simple pied à terre*. Napisz mi *posterestante* do Wrocławia, ażebym wprost zajechać mogła do siebie.

Drzę na samą myśl rzucenia się w twoje objęcia *que des choses à raconter!* Twoje serce mnie zrozumieć, twoja przyjaźń będzie dla mnie osłoda. Pragnę co najrychleń dostać się do portu... na tę naszą błogosławioną ziemię na której dopiero się uczuję swoją i panią siebie... ani słowa o Annibalu, tylko mu przygotuj sławę i przyjęcie, jako znakomitemu artyście.

Je baisse vos beaux yeux, toute à Vous

Mira.

ROZDZIAŁ XIII.

Nie ma nic na tym Bożym świecie, czego by czas nie uśmierzył, nie uleczył, nie przemienił, lub nie obalił. Człowiek marzy zawsze o czémś trwałem, w sercu i na ziemi buduje na wieki i pokolenia, na lat dziesiątki, a nigdy nie potrafi przewidzieć co wyżyje i przetrwa, a co spełźnie i zniknie mu w oczach. Najczęściej dzieje się zupełnie odwrotnie, to co miało żyć, ginie, co powinno było umrzeć — ocaleje. Z uczuciami serca tak samo jak z drzewkami ogrodu:

ukochana jabłonka usycha, a przyniesione wiatrem ziarno topoli buja.

Orbeka sądził żal swój i rozpacz wiekuistemi, spokój w części je osłabił, w części przemienił na nieokreślony smutek i tęsknotę. Nowe życie w tym cichym dworku, do pewnego stopnia przypominające mu Krzywosielecki żywot samotny, podziało dziwnie na jego zdrowie i umysł.

Wrócił powoli do dawnych zatrudnień, z tym wyjątkiem tylko, że na fortepian, który mu do zbytku Mirę przypominał, patrzeć nie mógł. Ale Sławski karmił go książkami, a młody Orłowski i stary Norblin, odżywili w nim ochotę do rysunku.

Te prace i zajęcia dawały wytechnąć sercu i nabrać sił ciało. Cieszył się Sławski, który codziennie go odwiedzał, a Anulka siedząca w kątku, zdaleka, i sama odżyła, odmłodziła, wypiękniła, i z pociechą wewnętrzną śledziła wracające w ukochanego jej pana życie.

Mówiono już coraz częściej o powrocie do Krzywosielec, który Sławski za ostatnie a najskuteczniejsze lekarstwo uważał, gdy stary ów Jaś nadjechał.

Powitanie pana ze sługą było aż do łez rzewne, starowina rzucił się przed nim na kolana, objął mu nogi i płakał. Orbeka także się w końcu od łez wstrzymać nie mógł, a za drzwiami Anulka dla protestu żarliwości płaczu, także się biedna na dobre rozbeczała. Sławski, który był odwykły od płaczu, krzywił się tylko dziwnie, i mówił, że mu nos świerbiał, bo tał twarz nieustannie.

Pociesznym rysem tej sceny było, że Jan przywiózł z sobą wychowanego na zastępcę starego Nerona, młodego czarnego pudła, tym samym imieniem nazwanego — a stworzenie żywe, nie rozumiejąc co się z temi ludźmi dzieje, spiąwszy się na płaczącego Jana, szczekało okrutnie.

.. Biedny sługa jaćąc po pana, zabrał był z sobą wychowańca, aby się nim pochwalić, a może Orbece lepsze ich, spokojne zasy przypomnieć.

Młody Nero, jak się zdaje w prostej linii potomek swego poprzednika, przypominał go sierścią, charakterem i obyczajami. Nie widział on nigdy Orbeki, ale instynktem odgadł w nim przyszłego pana i łaskił mu się uprzejmie.

— Ha! więc wszyscy jak stojemy, do Krzywosielec — zawołał pan Walenty — już ty mi Sławski tego nie odmówisz, żebyś mnie choć nie odprowadził na moje stare śmietnisko.

— No — ja, odparł Sławski — ja wam tam tak bardzo potrzebnym nie jestem, ale.. już choć później odwiedzę.

— Nie, nie — pojedziesz z nami.

— Zobaczemy, naprzód Lafontaine osądzi, czy jechać możesz...

— Ja go słuchać nie myślę, przerwał Orbeka.

Rozmowa dosyć wesoła przeciągnęła się ku wieczorowi. Jan długo nie opuścił progu, rozповідаjąc szeroko dzieje Krzywosielec, bo mu się zdawało, że tam wszystko pana jego tak obchodzić musi, jak jego obchodziło. Wszystkie śmierci, narodziny, wesela, gospodarskie klęski, powalenie starej gruszy przez wichur w nocy, pożar chaty Osypowej, kradzież posłałów ze szpichlerza, pęknięcie deki na fortepianiku, i t. p., z potrzebnymi szczegółami i okolicznościami obszernie zostały opowiedziane. Nie rychło Jan się dał zaciągnąć na wieczerzę do panny Anny.

Znajomość między nim a nią choć zrazu się zwiastowała trudną, bo Jan był jakoś kwaśny i niedowierzający, wprędce jednak poszła jak najlepszą drogą. Jan poczuł serce i zrozumiał, a raczej odgadł położenie i jak w początku okazywał się niechętnym, tak

potém przywiązał się gwałtownie do sieroty, która tak cicho, ślicznie, pobożnie pana jego kochać umiała.

Może też, (ludzie jesteście) Anulka w obawie wpływu Jana, trochę się postarała o zaskarwienie łaski jego. Biedna nadskakiwała nawet Neronowi, aby w tym domu nie mieć żywej duszy nieprzyjawniej, aby się wszystkim stać potrzebną i miłą.

Jaś siadywał u niej, i albo słuchał jej szczebiotania o podróżach, o chorobie, o przecierpianych biedach, lub sam długo i rozwlekle mówił jej o dawnym życiu w Krzywosielcach, malując to Eldorado, najżywszemi jakie miał barwami.

Orbeka tymczasem ochłonawszy z pierwszego wrażenia, gdy stanowczo z Warszawy na wieś wybierać się przyszło, uczuł się dotknięty jakąś tęsknotą niewypowiedzianą. Sam tego sobie wytłómaczyć nie umiał, dlaczego ten plac męczeństwa, to miejsce tylu gorczy wspomnieniami zatrute, ciągnęło go jakimś niepojętym urokiem...

Mniemał się uleczonym zupełnie, a coś zostało na dnie serca z dawniej choroby.

Jan nie żartem się pakował do podróży.

Doktor Lafontaine wszakże zapowiedział, że chory powinien stopniowo zacząć wychodzić, używać ruchu, jazdy i sił swych próbować. Wyjazd więc stanowczy odłożony był póki by lekarz nie dał nań formalnego zezwolenia, a tymczasem z rana przechadzki piesze, po obiedzie powozem ze Sławskim wycieczki w okolice przygotowywały do drogi.

Przeciągnęło się to jakoś dość długo, Orbeka mówił ciągle o podróży, a mimowolnie znajdował zawsze jakieś do niej przeszkody.

Lecz wszyscy, nawet pocziwy prawnik, przestali się obawiać niebezpieczeństwa, do którego najnniej-

szego prawdopodobieństwa nie było. Orbeka chodził na długie przechadzki po okolicy samotny, czasem ze Sławskim, układano spokojnie przyszłe życie w Krzywosielcach.

Niebo było jasne i nic gromu nie zapowiadało — a jednak był on tak blizki!

Ani Sławski nie mając stosunków z tym światem, w którym żyła pani Lullier, ani Orbeka oderwany od niego, nie wiedzieli o losie, który spotkał awanturnicę i o jej powrocie do Warszawy. Doktor Lafontaine, któremu Sławski nie mógł uitać całej historii biednego pacyenta, jeden wiedział, że przyczyną ruiny i choroby była piękna zalotnica, którą on niegdyś widywał po Warszawie i parę razy leczyć próbował, gdy jej chorobę udawać zdało się potrzebném. Dowiedziawszy się wypadkiem o powrocie jej do Warszawy, z obowiązku lekarza i przyjaciela, pojechał szukać Sławskiego. Ale znaleźć go nie było łatwo, nikt nie wiedział dokładniej o jego mieszkaniu skrytém gdzieś na trzeciem piętrze niepozornego domu; musiał więc czekać nań u Orbeki, od którego wychodząc, skinął nań, żeby za nim się wymknął.

— Wiesz pan, rzekł doktor, gdy przeszedłszy bramę stanęli na ulicy — wiesz czy nie, że ta niebezpieczna Syrena wasza, znowu jest w Warszawie.

— Kto? kto? spytał, niedomyślając się Sławski.

— Ona tak często zmienia nazwiska, że niepostrafię wam powiedzieć nawet, jak się dziś nazywa... ale znacie ją pod imieniem Miry.

— To być nie może! przerwał, ręce załamując Sławski.

— Mówię panu, że tak jest, dodał Lafontaine, historii niewiem, przyczyn powrotu nie byłem badać ciekawym, ale wróciła.

— W takim razie, odparł Sławski, nie ma chwili do stracenia, Orbeka powinien uciekać, jechać, i nie wiedzieć o tém nawet. Znam człowieka, wiem, że mu grozi niebezpieczeństwo największe, wróc doktorze, i zaleć mu natychmiast wiejskie powietrze.

Lafontaine uśmiechnął się.

— To się czegoś domysli, wy naglijcie go do wyjazdu, a ja się nań zgodzę.

Strapiony nad wszelki wyraz pocziwy przyjaciel, wrócił do dworku, z postanowieniem najmocniejszym namawiania do wyjazdu. Znalazł Orbekę w najlepszym humorze, ale w usposobieniu dziwnie leniwém, i jakby na przekór, skłonniejszego pozostać w Warszawie, niż powracać do Krzywosielec. Sławski siedział do późna, drżący, obawiając się wydać z trwogą której doznawał, truchlejąc na myśl, że on wyjść może i spotkać ją trafem w ulicy. Postanowił sobie z oka go nie spuszczać, i dosiedziawszy do późna w nocy, wyszedł nareszcie, nie kryjąc przed sobą, że niebezpieczeństwo było groźne.

Nazajutrz, mimo najmocniejszego postanowienia, Sławski niemógł dla obowiązkowych zajęć przyjść wcześniej jak o południu, a w dworku nie znalazł Orbeki. Anulka powiedziała mu, że wedle zwyczaju, wyszedł na przechadzkę.

Tak było w istocie. Orbeka zwolna włókł się drogą ku Mokotowu, zbierając kwiatki po drodze, i przypatrując się chmurkom białym po niebie rozsnutym; gdy turkot powozu i klaskanie z bicia, ostrzegło go, aby z drogi ustąpił, podniósł machinalnie oczy i stanął jak wryty.

W powozie od strony Willanowa powracającym, spostrzegł siedzącą Mirę, z pięknym, młodym mężczyzną, włoskiego typu twarzą.

Baronowa poznała go, krzyknęła, zasłoniła sobie

chustką oczy, i powóz jak błyskawica przeleciał ku Warszawie. Orbeka upadł na murawę.

Co się w sercu jego działo, tego nikt nie potrafi określić, powstała w nim burza, która zmąciła myśli aż do nieprzytomności — potrzebował dosyć długiego czasu nim przyszedł do siebie. Obraz tej kobiety, wszystkie stare, zabliźnione rany otworzył, i boleść z nich popłynęła świeżym strumieniem.

Jak pijany, jak oszalały, z zaschłemi wargami, zataczając się, mówiąc sam do siebie, niewiedząc gdzie idzie, przywłókł się do drzwi dworku, machinalnie. Spostrzegł tu Sławskiego oczekującego nań, a z twarzy Orbeki łatwo poznać było, co się stało. Sławski nieśmiało go nawet pytał. Weszli do domku, Walenty padł na krzesło milczący.

— Słuchaj, rzekł Sławski, zbierając się na wielką odwagę — wiem co ci jest, ale...

— Milcz — odparł Orbeka, milcz — proszę cię; wiem co powiesz, każecie mi jechać. Pojadę, ale wprzód, bądź co bądź, widzieć ją muszę, od tego nieodstąpię.

Sławski spojrzał nań z politowaniem, wziął za kapelusz i odezwał się:

— Jeżeli to uczynisz, jeżeli się o to starać nawet będziesz... Walenty, ja z tobą rozbrat biorę na zawsze.

Orbeka płacząc niemal, rzucił mu się na szyję.

— Ja się muszę z nią widzieć! dwa słowa.. jakież mi grozi niebezpieczeństwo? tyś okrutny.. zlituj się!..

— Niewiem czy ci grozi jakie niebezpieczeństwo, rzekł Sławski. ale za największe uważam, iż się będziesz musiał poniżyć.. skalać.. że zwyciężywszy się.. wrócisz do tej kałuży.

— Ty niewiesz! jam czuł, jam wiedział, że ją zobaczyć muszę! ja na to czekałem.. byłem pewny, że ona tu przyjedzie..

Sławski uznał słuszném, nie wdając się już w dalszą rozmowę, twarzą okazując mu tylko prawie wzgardę z politowaniem połączoną — odejść. Za ledwie się drzwi za nim zamknęły, Orbeka wybiegł z domu na zwiady, a znając stosunki Miry z panią Lullier, udał się wprost do jéj domu, pod Krakowską bramę.

Ale do tego tajemniczego przybytku, tych, którzy widzianemi być nie chcieli, dostać się nie zawsze było łatwo. Na dole, szwajcar formalną poprzeczył indagacyą wnijsie klienta, któremu talar dał przystęp do schodów; w sali, drugiego cerbera potrzeba było ulaskawić, ażeby przybyłego zameldować raczył. Nikt z tych marmurowych figur nie wiedział czy pani była w domu i czy mogła dać audyencyą. Orbeka rozgorączkowany, po przyciemnionej salce się przechadzał, szarpiąc na sobie ubranie, gdy po długiem oczekiwaniu, przerywaném stukotem w różnych stronach otwierających się drzwi i drzwi-czek — weszła pani Lullier.

Zdaje się, że przeze drzwi wprzód starła się zobaczyć przybysza, który podbiegł ku niéj żywo.

— Pan! rzekł, na miłość Bożą, powiedz mi, gdzie jest Mira, ja ją widzieć muszę!

Lullier przywitała go chłodno, nawet bardzo chłodno, wiedziała już z listu przyjaciółki, że Orbeka był zrujnowany do nitki.

— Ale ja — ja niewiem.

— Pani musisz o tém wiedzieć! jam ją widział! ona tu jest! Dlaczego wróciła? co się stało?

— Uwolń mnie pan od téj nieprzyjemnej indagacyi, rzekła, proszę bardzo — niestanę upoważnienia od baronowej do tłumaczeń w jéj imieniu, a potem, do czego się to panu zdało? To wiem, że ma nieprześlągany żal do pana... byłeś wszystkich jéj

nieszczęść przyczyną, i ani widzieć, ani znać go nie chce...

Orbeka uśmiechnął się gorzko.

— A! rzekł! to ja byłem przyczyną jój nieszczęść! doprawdy? pierwszy raz o tém słyszę. Powiedz że pani przyjaciółce, że czy chce, czy nie chce, będzie musiała widzieć się ze mną!

— Wcale nie myślę służyć panu za posła, szukaj pan sobie innych, odparła, odwracając się Lullier.

— Pani! rzekł słabnąc Orbeka — jesteś kobietą, masz serce, znasz litość.. wyjednaj mi tylko chwilę rozmowy, zaklinam cię... zaklinam cię, na twoją pierwszą... na twoją jedyną miłość... bo być nie może, żebyś kogoś nie kochała w życiu... klękam... błagam... zlituj się!

Lullier uśmiechnęła się, i w istocie nieco politowania uczuła.

— Panie Orbeko, rzekła — do czego to panu ma służyć! na co rany odnawiać! Ona pana nie kocha... ona go nie kochała nigdy! — nie zakrwawiaj sobie serca. To do niczego nie prowadzi... trzeba zapomnieć.

— Ale ja ją tak kochałem, tak kocham! zawołał biedny Walenty.

A po chwili namysłu, dodał, jakby zmuszając się do ostygnięcia i krwi zimnej.

— Zresztą — chce czy nie chce, użyję wszelkich środków ku temu, a widzieć ją muszę. Lepiej jest więc dla niej i dla mnie, aby się to stało bez skandalu, rozgłosu i niepotrzebnej wrzawy...

Domawiał tych słów, gdy drzwi się otworzyły w głębi, i wbiegła raczej niż weszła, z gniewem na twarzy, z oburzeniem Mira...

Orbeka ukląkł milczący i wyciągnął ręce ku niej.

Ona zaczęła się śmiać, sucho, chłodno, przymuszonym śmiechem, najzjadliwszego szyderstwa.

— Czego waćpan chcesz jeszcze odemnie? zawołała tupiąc nóżką — nie dosyć goryczy jeszcze wlałeś w życie moje, nie dosć poświęcałeś mnie swój bydlęcej passyi, nacierpiałam się dość chcę być raz wolną od tych żebraczych jego uwielbień. Wiedz waćpan raz na zawsze, żem go nie kochała nigdy, na chwilę, żem go oszukiwała zawsze, żem cię znosić nie mogła... że okoliczności przykre, upokarzające, zmusiły mnie nieszczęśliwą uleść jego niezdolnemu natręctwu...

— Miro! Miro.. litości! wołał Orbeka, ja wiem to wszystko.. pocóż nóż topisz mi w sercu? Pomyśl, jaż to byłem przyczyną twoich nieszczęść? niczem-że nie zasłużyłem na wspomnienie lepsze?

— Idź waćpan, proszę, idź i na oczy mi się nie pokazuj więcej — dodała, nie znamy się, nie znaliśmy się nigdy! żegnam go! brzydzę się waćpanem.

— Na miłość Bożą! krzyknął, rzucając się Orbeka — dwa słowa tylko — dlaczego powróciłaś? co się stało? Jesteś znowu sama? nieszczęśliwa powiadasz? w potrzebie może? ja... ja... ja mam... ja mogę...

Potrzeba było widzieć jak te ostatnie wyrazy, wyszeptane bojaźliwie, nagłe wrażenie uczyniły na przebiegłej kobiecie. Oua i Lulier spojrzały po sobie. Mira się zawahała, wstydziła się pokazać nagłą zmianę, a wiadomość ta, że człowiek, którego zrujnowanym sądziła, jeszcze coś miał, gdy ona gonila ostatkami, zachwiała jęj postanowieniami. Czuła, że może skorzystać jeszcze...

Przyjaciółka przyszła jęj w pomoc.

— Ale moja droga, rzekła — nie bądź bo tak okrutną, możecie się rozstać bez gniewu, *et en bons amis d'autrefois*.

Mira ocierała już łzy, które miały stanowić

przejsście z jednéj sytuacji do drugiej — nie brakło jej na środkach umotywowania płaczu i złagodnienia.

— Al jakże niemam mieć żalu, zawołała — z jego przyczyny — porzucona, na łaskę tego nieszczęsnego Greka, bankruta, który szczęściem umarł w porę.

— Radipulo umarł! podchwycił Orbeka.

— Zrujnowana! zrujnowana! Mira po tym wyrazie mocniej jeszcze łkać zaczęła...

— Gdyby nie litość przyjaciółki, która mi dała schronienie, nie wiedziałabym gdzie złożyć głowę.

— Przecież, przerwał nieśmiało Orbeka — jakiś Włoch przyjechał z panią.

— Kuzyn mego nieboszczyka... który mnie tu odprowadził, gdyby nie on...

Walenty potrzebował tylko jakiegokolwiek tłómaczenia. Kuzynostwo to ani go zraziło, ani zdziwiło, gotów był wierzyć wszystkiemu, byle go nie wypędzano.

Mira jakby znękana, padła na krzesło, złagodniała znacznie, słuchała Orbeki, odpowiadała mu; biedny skazaniec, niemógł odejść, myśli mu się plątały po głowie, w sercu burzyły uczucia, tłómacząc sam przed sobą swe postępowanie, gotów był w istocie uznać się winnym, występny, zbrodniarzem.. a ja ofiarą.

Czuł, że popełnił zbrodnię niedarowaną, nieumiejąc zmiękczyć tego kamienia, dobyć iskierek uczucia z téj istoty, której jednak Bóg musiał dać serce, której oczy obiecywały miłość, usta uśmiechały się nią, a pierś była — pustą. Jak Prometeusz, w ten posąg martwy powinien być módz wlać duszę, nie uczynił tego, był w oczach własnych winnym, upokorzonym. Gdyby namiętność, miłość, szal, były zaraźliwemi, gdyby się udzielać mogły,

a! — pewnie serce jój od bicia jego łona zadrzcć by musiało.

Gdy jego te wyrzuty sumienia dręczyły, ona myślała w duszy, że w jój położeniu nie pozostaje nic, jak zbadać człowieka i korzystać z niego, nie wiążąc się niczém; a miała mu gorzko za złe, że gdy go już sądziła zniszczonym do szcztetu, on śmiał coś jeszcze zachować, czego jój nie rzucił pod nogi! *Oh! le perfide* — myślała — *il a pensé a soi!*

Powoli z tego patetycznego tonu i nastroju rozpaczliwego, rozmowa przeszła na potoczniejszą. Mira dawała mu czuć, jak dalece była wspaniałomyślną, Orbeka mówił z nią, patrzył na nią, i zapominając o jutrze, był szczęśliwy.

Z nadzwyczajną zręcznością doszła nareszcie do celu, dowiedziała się, udając, że o niczém wiedzieć nie chce, o jego wiosce, nawet o prawdopodobnej jój wartości; i natychmiast rozpoczęła malować mu swe położenie, swą nędzę obecną, jałmużnę przyjaciółki, z której żyła...

Stała się wymowną, czułą, płakała nad własną dolą, a gdy się rozstawali, Orbeka wzruszony do głębi, wybiegł z mocnym postanowieniem sprzedania bodaj wszystkiego, byle jój przyjść w pomoc.

Ta ohydna komedia, której by uwierzyć trudno, gdyby serce ludzkie nie było tą przepaścią, z której najnieczystsze wyziewy i najświetniejsze dobywają się dyamenty — odegrała się tak naturalnie, tak łatwo, iż Orbeka pod wrażeniem jój, wyszedł ze łzami na oczach.

Bez namysłu udał się wprost do Pierskiego, postanowiwszy albo natychmiast sprzedać Krzywosielce, lub dług na nie zaciągnąć. Szczęściem przewidujący ten wypadek Sławski wyprzedził go do prawnika, a Pierski już obmyślił środki zapobieżenia.

Mecenas był w domu, ale uprzedzony, udał wybornie jakby o niczem w świecie nie wiedział, przyjął więc Orbekę wesoło, ciesząc się jego powrotem do zdrowia, i zapytując, kiedy na wieś wracać myśli.

Pan Walenty nieco się zmięszał. I on także był w tem przykrém położeniu, iż do fałszu uciec się widział zmuszonym.

— Kochany kolego, rzekł, spuszczać oczy — bardzo bym w istocie życzył sobie na wieś powrócić, ale mnie jeszcze niektóre interesa wstrzymują.

— A! interesa! toć moja rzecz, dawaj je tu, rzekł Pierski.

— Przyznam ci się — dodał Orbeka, że mam jeszcze ze starych moich czasów pozostałe długi...

— Dużo to tego?...

— Dosyc... ale ponieważ Krzywosielce są czyste, a ja stary i bezdzietny, postanowiłem, albo je sprzedać, lub odłużyć hypotecznie, byle się pozbyć ciężaru.

Pierski począł jakby zakłopotany głową kręcić, ramionami ruszać, zżymać się, trzeć czoło.

— Wiem, rzekł Orbeka, że będziesz temu przeciwny, ale konieczność nagła.

— Jaby nie był temu przeciwny, gdyby rzecz była możliwa — dodał Pierski po chwili. Zmuszasz mnie do bardzo przykrego wyznania. Radbym ci był oszczędził... uczucia, jakiego doznasz, ale konieczność.

Orbeka spojrział przestraszony.

— Cóż to jest? spytał.

— Krzywosielce nie są twoje, rzekł Pierski — chcieliśmy, my, przyjaciele twoi, zachować ci je dożywotnie, tak, ażebyś o tém niewiedział. Pamiętasz jak się rządził i szastał tu w Warszawie, w czasie podróży włoskiej, we Florencyi, żadna w świecie fortuna takiego szturmu wytrzymać nie mogła. Krzy-

ruinie. Postanowili wspólnie ze Sławskim, użyć bodaj kłamstwa na ocalenie człowieka, który biegł w przepaść, niczem się pohamować nie dając.

wosielce poszłyby były z kapitałami, gdyby nie ja.

Orbeka pobladł strasznie.

— Jestem więc żebrakiem, wyjąknął cicho... żebrakiem utrzymywanym łaską przyjaciół.

Spuścił głowę, łzy potoczyły mu się z oczów, drżał cały.

— Słuchaj rzekł Pierski, trudno by mi ci to wytłómaczyć, ale ocalając Krzywosielce, uczyniłem to w ten sposób, iż przy oszczędności mogłeś długi te pospłacać. Uregulowałem to tak, iż byś niewiedząc i nieczując okupił je znowu... na to wszakże potrzebaby czasu.

— Cóż ja pocznę?! zawołał Orbeka.

— Daj mi spis tych długów, rzekł spokojnie Pierski i zostaw mi układy... ja ci pomogę... Lecz daruj mi, pieniędzy tobie nie dam, bo interesów robić nie umiesz... tego na mnie żadna siła ludzka nie wymoże.

Zamilkli... Orbeka przechodził z rozpaczy milcząc, do niecierpliwości i gniewu prawie, nieodpowiadając już Pierskiemu, podał mu rękę zimno, skłonił się i wyszedł.

Pocziwy Sławski, który miał na sercu wybawienie Walentego, a przeczuć mógł łatwo jaki obrót weźmie sprawa, i z drugiej strony pewne poczynił starania. Nie mogąc sam zbliżyć się do pani Lullier, użył za pośrednika jednego z przyjaciół swoich, pułkownika G.— Wiedział o jego ścisłych stosunkach z tą panią. Nie wyznał mu wszystkiego, bo się obawiał zdrady, ale opowiedziawszy historią Orbeki, odmalował go jako zrujnowanego człowieka, który gotów był udawać że jeszcze coś ma, aby się

do Miry zbliżyć i prosił pułkownika by ostrzegł panią Lullier, iż Orbeka, ani wsi, ani kapitału, ani złamanego szeląga nie po siada... a pobożném kłamstwem przyjaciół tylko utrzymuje się.

Pułkownik tegoż dnia po obiedzie wszystko przed Lullier wygadał, ta zaś nie zwlekając powtórzyła Mirze, która się zakłęła w największym gniewie, że go na oczy widzieć nie będzie... i t. d.

Czuł zarazem Sławski, że rzeczy w ten sposób postawiwszy, łatwo było do rozpacz przyprowadzić Orbekę i należało go pilnować, aby się jakiejś ostateczności nie dopuścił. — Pobiegnął więc w ślad za nim, po powrocie od Pierskiego. Zastał biednego człowieka przybitego, milczącego... to chodzącego wielkimi krokami po pokoju, to bezwładnie i na pół martwo leżącego w krześle. Nie można było z nim nawet zawiązać rozmowy.

Ostatnie dwieście czerwonych złotych, pozostałe w domu z przyniesionych przez Sławskiego pięciuset, Orbeka zapieczętowałszy natychmiast z listem odesłał Mirze.

Na list nie było żadnej odpowiedzi, ale pani Lullier w imieniu przyjaciółki poświadczyła, że zostały odebrane.

W małej izdebce, przed obrazem Matki Bożej Częstochowskiej, klęczała modląc się ze łzami Anulka, która o wszystkiém, to jest o przybyciu swjej dawniej pani, wiedziała... a Jan w pół drżąc, pół płacząc, — zdawał się nieprzytomny z obawy o swego pana, z bólu, że znowu wyjazd ten do Krzywosielec, którego tak pragnął, został... Bóg wie na jak długo — odłożony.

ROZDZIAŁ XIV.

Wierzmy wszyscy w sprawiedliwość Bożą— ale nikt z nas pojąć się nie może dróg, któremi się ona spełnia, wytłómaczyć. Patrzącym na ten świat widzą się sprawy jego często najnielogiczniejszą płatiną; w danej chwili wszystko się zdaje dziać odwrotnie, właśnie przeciwko trybowi w jakim by isć powinno. Powodzenie służy najniegodniejszym dobrego losu, noga się osuwa, najzaczniejszym i cnota walczy z boleścią, występki zaś rozsiada się w szczęściu i chwale..

Patrząc na to... od początku świata... wszędzie, gdzie język ludzki myśl tłómaczyć próbował, odzywały się narzekania, często szło zatém zwątpienie, wiara w fatalizm ślepy... Grecy i Rzymianie, a dziś Turcy wierzą tylko w przeznaczenie, nie dodając mu prawnej konieczności; Słowianie zdaje się że od wieków inne mieli pojęcie téj *ananke*, bo mówili, że los był *sądzonym* człowiekowi. Sąd zaś mieści w sobie rozsądek i jest wyrokiem w sprawie, a nie fatalnością ślepą. Pomimo to— wszyscy my ileż to razy na *ślepe losy*, na *fortunę ślepą* narzekamy.

A ślepą jest nie fortuna, nie losy, ale człowiek co ich nierozumie, bo końca tego dramatu, który się przed nim odegrywa, nie widzi nigdy.

Na to *ślepe* szczęście, ruszano ramionami w Warszawie, gdy piękna Mira powróciwszy wdową, Baronową Radipulo, po tylu skandalach, tylu dowodach płochości, zdradach, postępowaniu, któreby każdą inną kobietę potępiło, została przyjętą z no-

wym zapalem, weszła niezmiennie w modę i po kilku miesiącach już stary Wojewoda Wawrzęta nie wychodził prawie od niej.

Dajemy mu to imię schwycone w powietrzu, niechając prawdziwego wymieniac. Starzec należał do bardzo znakomitej w dziejach rodziny, był niezmiennie bogaty, używał dotąd najlepszej sławy, miał lat siedemdziesiąt, dzieci dorosłe i wnuki podrostki.

W dodatku pedogra rozpoczynała się już gnieździe w trochę obrzękłych nogach, a choć jeszcze sam chodził o lasce, można się było spodziewać, że wkrótce pomocy dworzan potrzebować będzie.

Wszyscy Wawrzętowie od kilku pokoleń, kończyli na tém, że ich na krzesłach wożono.

Wdowiec po dwóch żonach, z obu mający liczną rodzinę, Wawrzęta choć miał przy sobie syna, trochę się w domu nudził, bez niewieściego towarzystwa. Jak niemal cały nasz naród szlachecki był kobieciarz... a na starość wyrzec się nie umiał niewieścich pieszczot.

Ale był to człowiek poważny i zacny, do płochój niewiasty byłby się nie przywiązał.

Nigdy wprzód nie spotkał on Miry, o której słyszał coś zdala;.. dopiero teraz wypadkiem zjechał się z nią na wieczorze u pani Krakowskiej. Mira czuła potrzebę pokazywania się teraz jak najskromniejszą, smutną, żalobną wdówką. Strój czarny, koronki, aksamit, dodawały jej wdzięku... Była mało mówiącą, zamyśloną, nadała sobie postać interesującą. Przy wieczerzy wypadkiem posadzono ją przy Wawrzęcie, grzeczny starzec zawiązał rozmowę, kollacya trwała dość długo, pod koniec jej już haczyk wędki tkwił w jego gardle...

Pod urokiem czarownicy, Wawrzęta przez dni

kilka nie mówił tylko o niej, usiłując ją bronić od złych języków. U Starościny Małogoskiej spotkali się raz drugi. Wawrzęta przysiadł się wcześniej do swojej znajomej. Ona była zachwycającą prostotą, naiwnością dziecinną, skromnością układu... słowem, tém wszystkiém na czém jęj w istocie najwięcej zbywało.

Przy wieczerzy Wawrzęta podał jęj rękę, mówił tylko z nią, odprowadził i zasiadzał się dłużej niż zwykle.

Zaczęto już szeptać o téj skłonności starego, rodzina, córki zamężne, synowie, zięciowie, nieco przelekli, bo u nas małżeństwa siedemdziesięcioletnich starców wcale nie były osobliwością, ze wszystkich stron puscili na Wawrzętę wieści o przeszłym życiu wdówki. Przysyłano mu biografie, listy, dokumenta, satyry, piosnki, z każdą niemal pocztą, znajdował je codzień na stolikach. Ale w takich razach działanie słowa, najprzeciwniejszy skutek wywiera, jest-to dowiedzioném, i Wawrzęta bronił swój przyjaciółki, upór się w nim zrodził i przyspieszył wybuch staręj namiętności, która w piecu siedemdziesięcioletnim diabliem się pali płomieniem.

Oburzyło pana Wawrzętę, że smarkacze chcieli go uczyć rozumu, i mieli już za niedolęgę potrzebującego kurateli.— Odprawił przychodzących z plotkami, różnie, trochę niegrzecznie, a bardzo dumnie.— Gdy sprobowano kogoś namówić, aby się trochę pośmiał ze starego — (myślano że to poskutkuje) — Wawrzęta odparł: — Gości panie... rejestra z przeszłości niebezpieczne, gdyby się nam i naszym paniom ze wszystkich grzechów spowiadać przyszło, każdy by miał torbę grzechu, a świat torbę śmiechu. Co było a nie jest, to nie pisać w registr.

Wawrzęta pojechał naumyślnie do Miry.

Mira wiedziała dobrze, iż na taką grubą zwie-

rynę inaczej trzeba polować, niż na pospolitych fircyków. Grała więc rolę niewiasty ubogiej, zrujnowanej przez nieszczęśliwy skład okoliczności, spotwarzonej, ale chrześcijańską rezygnacją przejętej,— była skromną i dumną razem, nie przyjmowała żadnych podarków, nie żądała pomocy, mieszkanie miała nader szczupłe, sługę jedną... jeździła najętym powozem...

Wszystko to coraz bardziej jednało jej serce Wawrzęty, który nie mógł się domysleć ani Annibala w buduarze, ani kilku dobrych przyjaciół, mających różne w dniu godziny. Jak wszystkie niewiasty do intryg wdrożone, Mira dzień miała bardzo ściśle podzielony pomiędzy klientów swych, tak, że nigdy jeden drugiego nie spotykał. Praca, odwiedziny, nawet modlitwa służyły jej za tłumaczenie, iż nie zawsze mogła być widzialną.

Wawrzęta znajdował ją zawsze nad książką, przy fortepianie, nawet nad robotą. Dodać należy, iż przybywał karetą huczącą po bruku, że powoli wchodził na schody, a zatém na przygotowanie właściwego przyjęcia dość było czasu.

Mira choć grała tym razem, jak dawniej mówiono, *va banque*, postępowała cierpliwie, rozważnie, wcale nie myśląc psuć sobie gry niepotrzebnym pośpiechem, ani przedwczesną chciwością. Wawrzęta z delikatnością niezmierną, różnemi drogami chciał jej dopomóc, widząc w położeniu, które zdawało się potrzebować przyjacielskiego wsparcia, baczna wdowa odrzucała wszelkie ofiary.

Miała ona mocne postanowienie wydać się za Wawrzętę, dlatego względem niego była okrutniejszą nawet, niż kiedykolwiek dla innych. Rumieniła się jak wiśnia, gdy końce paluszków chciał pocałować. Raz znalazł ją zapłakaną, i wyznała mu, po wielu

naleganiach, iż lęka się, aby jego odwiedziny o nowy szwanek nie przypawiły jój sławy... Wawrzęta rzadziej się więc pokazywał.

Gra to była mądra, choć niebezpieczna, bo rodzina miała czas wystawić baterye, szukać środków obrony, a wiedziała dobrze co jój groziło, gdy się różowe te łapki do skrzyń antenatów dostaną. Popłoch w obozie był tem większy, że Wawrzęta ilekroć go zaczepiono zdaleka, dawał taką odprawę, iż powracać nie było bezpiecznie.

Nie było prawie środka dla odwrócenia klęski, rachowano tylko na czas, na rozmyśl, a zapomniano, że ten sam czas rodzi nałogi serca, nawyknięcia nieprzełamane, dla starych szczególnie.

Wawrzęta przywiązał się, a jak to ongi poufale mówiono, zaszłapał i zaszłapał tak fatalnie, że się już wypłatać nie mógł.

Ponimo nóg obrzękłych, wieczorem ukląkł, całując rączki Bogini, oświadczył się, i z nieśmiałością wielką, ofiarował serce, imię i ślub natychmiastowy.

Dla wytrwania w przybranym charakterze do końca. Mira się rozplakała i odpowiedziała stanowczą odmową, nie żeby w sercu nie czuła szacunku, a nawet tkliwszego uczucia dla pana Wawrzęty, (bo ona zawsze lubiła tylko ludzi w wieku statecznym) — ale że jój nie tajno było jakie prześladowanie, jaką na siebie ściąganie nienawiść całej rodziny, że zostanie posądzoną o chciwość, i t. p.

Dodała, że gdyby była niezależną, bogatą, z chęcią, z radością oddałaby rękę temu, którego serce jój z tysiącaby wybrało... ale... i t. d.

Ta przemowa miała i to w sobie dobrego, iż naprowadzała wojewodę nieznacznie na myśl konieczności zapewnienia jój losu, aby nie została na łasce nieprzyjaznej familii.

Tego wieczora, nie jednak stanowczego nie wyrzeczono. Mira się opierała. Wawrzęta przysięgał miłość, decyzją odłożono i czule nastąpiło rozstanie.

Ale lichy chciało, że dworzanin Wawrzęty coś u drzwi podsłuchał, nazajutrz gruchnęła po rodzinie wieść o oświadczeniach; nakazano pospolite ruszenie, co żyło zebrało się na klęczkach błagać starca, aby pięknego imienia nie dawał istocie, która go nie była warta.

Rozpacz dochodziła do tego stopnia, że córka Wawrzęty księżna C. błagała, aby ją sobie wziął, chował, obdarzył jak zechce, byle się z nią nie żenił... Synowie uciekli się pokątnie do innego środka i powtórnie przez panią Lullier ofiarowali pół miliona, byle starcowi ręki odmówiła.

Ale już to wszystko przychodziło za późno. Mira była pewną, że dostanie oprawę większą niż to co jej obiecywano, a tytuł, imię, położenie towarzyskie, i miłości własnej tryumf musiały też wchodzić w rachubę.

Nie nie pomogło, ani przyjaciół uwagi, ani łzy córek, ani pokorne prośby synów, Wawrzęta był niewzruszonym; listów bezimiennych, których mu przysyłano krociami, nierozpieczętowywał nawet, rzucając je w ogień; wyrobił indult i cichusieńko, rano o godzinie siódmej, wziął ślub u Kapucynów. Za świadków służyli: plenipotent, stary palestrant i dwóch pisarzy od jakiegoś mecenasa. Małżonkowie pocztą wyjechali na wieś, do rezydencji wojewody.

ROZDZIAŁ XV.

We drzwiach kościoła, przytulony do sciany, stał blady, biednie ubrany człowieczek, którego słuszniejszy mężczyzna podtrzymywać się zdawał. Był to Orbeka, który od czasu jak został odprawionym, szukał wszelkich środków, aby ją widzieć choć zdaleka. Chory włókł się gdzie tylko o nią zaśłyszał lub przeczuł iż być może.

Mira spotykała te oczy wpadłe, błyszczące, jakby z dwóch czarnych przepaści, wlepione w siebie z wyrazem bólu i błaganiem o miłosierdzie — zżymała ramionami i okazywała gniew i niecierpliwość. Tym razem pewnie z jej woli, służba pana Wawrzęty, chciała wypchnąć Orbekę za drzwi, i byłaby to uczyniła, gdyby się Sławski nie oparł. Wyszli oba dobrowolnie... Walenty stanął u schodów, na przechodzącą rzucił jeszcze raz spojrzenie milczące, ale świetne szaty i różowe lica mignęły tylko, a poszostna karetą uniosła szczęśliwego wojewodę, który klęcząc w basztardzie, całował rączki swjej młodej małżonki.

Od opisanych wypadków upłynęły lata. Gdy nie szczęśliwego Orbekę odprowadzono od schodów Kapucyńskiego kościoła, spostrzegł Sławski z przerażeniem, że dawał lekkie wprawdzie, ale bardzo zagrażające oznaki jakiegoś pomieszania. Nie był on ani całkiem nieprzytomny, ani zupełnie obłąkany, mówił chwilami do rzeczy, a potem jakby głęboko zadumany, wyrывał się z wykrzykiem i uśmiechem niezrozumiałym.

Gdy powrócili do dworku, siadł w krzesle, i jakby

od tego momentu wyrzekł się woli i władzy nad sobą, pozostał nieruchomy, posłuszny temu co czynić kazano. Przywołany lekarz, wspólnie ze Sławskim i płaczącą Anulką, uradzili, ażeby bądź co bądź namówić go na wyjazd do Krzywosielec. Nie było w tém najnniejszj trudności. Orbeka nie odpowiedział nie, ale się nie opierał. Gdy przyszła chwila wyjazdu, dał się wsadzić do powozu, do którego Sławski odprowadzający go towarzyszył mu, — i pojechał. W drodze był oswiały i nulezący, nie go nie zajmowało, jak dziecię dawał sobą rozporządzać i słuchał z pokorą.

Przybycie na wieś, do tego dworku, w którym spokojnie spędził długie lata — obeszło się [bez wszelkich oznak czułości i wzruszenia. Wysiadł, wszedł do pokojów, z razu chodził po nich, jakby szukając, czy wszystko było na miejscu, potem zażądał zobaczyć kaplicę. Tu przypadł na swoim kłęczniku, rozplakał się rzewnie, został długo, pomimo, iż go Sławski usiłował wyprowadzić, i wyszedł nareszcie spokojniejszy. Razem z Sławskim przeszedł się jeszcze, po ogrodzie, potem wróciwszy do saloniku, otworzył fortepian zapyłony i uderzył po jego klawiszach. Zapomniano go nastroić, wydał dźwięk fałszywy, i Orbeka odezwał się po cichu, że potrzeba posłać do Kodnia po organistę. To było pierwsze jego słowo, dowodzące powrotu woli własnej.

Od tego dnia, powoli, zdawał się leczyć z tego wrazenia, jakie na nim uczyniły ostatnie wypadki, ale o nich o swj przeszłości od wyjazdu z domu, unikał nawet wspomnienia. Nikt też mu nie napomknął o tém.

Trzeciego dnia, jak gdyby sobie nagle coś przypomniał, pobiegł sam się dowiedzieć, gdzie i jak pomieszczono chromą Anulkę. Zatrzaszczył się, czy jej

w pokoiku przy garderobie dobrze będzie, i polecił Janowi, aby o wszystkich jój wygodach pamiętał.

Sławski ujrzał z pociechą wielką, że ta mgła, którą boleść jego umysł okryła, rozpraszała się, powracał do nawyknień dawniejszych. Spróbował muzyki, która go nie drażniła, z pyłu wyciągnął książki, słowem, zdawało się, że ożył. Stary Jaś, składając ręce i dziękując Panu Bogu, mówił o tém. Nie było już niebezpieczeństwa w uwiadomieniu go o prawdziwym stanie interesów, o własności niezaprzeczonej Krzywosielec iocalonego kapitału. Ale to najmniejsze na nim zrobiło wrażenie, wysłuchał opowiadania, i cicho odszepnął tylko. — Na co to mnie potrzebne! zawsze na resztę życia mam dosyć.

Tak się tedy wszystko, mimo groźnych z początku oznak, złożyło, że Sławski, po kilkunastu dniach pobytu na wsi, mógł śmiało odjechać do Warszawy. Rozstanie było rzewne.

Na parę godzin przed odjazdem, Orbeka ujawszy go pod rękę, wyszedł z nim do ogrodu.

— Przyjacielu mój! rzekł, to pewna, że ci kilka dni życia spokojnych zawdzięczam. Któż więc, co by się ze mną stało, gdyby nie twoja opieka, czuła, macierzyńska, serdeczna! Ale wyratowałeś z wody garnceczek rozbity, któremu by lepiej było może leżeć na dnie. Zawsze to dobroczynny dowód przyjaźni. Wierz mi, że ci umiem być wdzięcznym, że choć nie pokazuję tego może po sobie, znam wszystko coś uczynił i z jaką ofiarą. Chyba uczucie własnego serca ci to nagrodi. Wyrwałeś mnie, jeżeli nie śmierci, to gorszemu od niej szaleństwu i obłąkaniu. Zwróciłeś na drogę, kazałeś żyć. Dzięki ci przyjacielu! powlokę się do końca, nie musi to być daleko, złamane egzystencye nie mogą trwać długo.

Bądź pocieszony tem, że mi tu będzie dobrze,

nadto dobrze, nawet pocziwy uśmiech kobiecy tej nieszczęśliwej Anulki... czasem mi dzień jaki ożłoci... Tego doprawdy wart nie byłem...

Przyznam ci się, iż się boję, że ona tu zostaje... nałóg sobie uczynić z tego życia... mnie się stanie potrzebna... a przywiązać się i sercem odwdzińczyć za uczucie, ja już nie jestem zdolny... wyczerpało się to do dna.

— Nie ci na to wszystko nie powiem, odparł Sławski, zrobiłem com był powinien. Co do Anulki, proszę cię, abys jęj nie odpędzał od siebie — o ile ją znam, wiem, że wiele by na tém ucierpiała...

— Śmieszna dziewczyna, dodał Orbeka, doprawdy śmieszna, jeżeli jęj ta samotność tęskna miłą być może.

Dwaj przyjaciele uścisnęli się, Sławski odjechał.

Po wyjeździe jego, w Krzywosielecach powrócił tryb życia przedsukcesyjny, jak mówił stary Jan, wszystkie dawne obyczaje, muzyka, czytanie, kominek, przechadzki z młodym Neronem.

Jedna tylko zachodziła różnica między pierwszymi onemi dniami samotności, a dzisiejszemi, że Orbeba czasem w ogrodzie spotkał Anulkę i godzinę z nią o tém i owém przegawędził. Anulka podkradała się słuchać go gdy grał na fortepianie, a niekiedy płakała siedząc na ziemi pod drzwiami, ale pan Walenty wcale o tém niewiedział, pokazywała mu się rzadko, on zdawał się jęj unikać. Jeżeli okazał radość z widzenia jęj, to się potem wstrzymywał z objawem nowym, i widocznie pilnował siebie. Czy to poznał jęj skłonność, czy się jęj obawiał, dosyć, że mimo dowodów troskliwości, zbliżenia się większego, widocznie starał się unikać.

Trwało to z rok, potem, jakby już niebezpieczeństwo minęło, a on zapomniał o niem, częściej

z nią rozmawiał, dłużej, poufalej. A co zarząd domu i interesów, to zdał całkiem na nią. Nazywał ją swoją gospożą i plenipotentem.

Biednemu dziewczęciu, ile razy do niej przemówił serdeczniej, łzy z radości stawały w oczach, oddechu brakło, ręce drżały, ale on prawie tego nie widział.

I płynęły tak spokojnie dnie za dniami, tygodnie, miesiące, lata. Anulka rozkwitała jak dzika róża. Walenty wiadł jak podcięte drzewo. Włosy mu posiwiały, twarz nagle się okryła piętnami starości. Rysy jej pozostały piękne i szlachetne, oblicze było znaczące, ale młodości ostatni promyk zszedł z niego, życie dogorywało. Stał się powolniejszym, cierpliwszym; ale ocieżałym i obojętnym.

ROZDZIAŁ XVI.

Raz, było to jakoś późną jesienią, po długiej przechadzce, w dzień bardzo ciepły, który się skończył chłodnym wieczorem, Orbeka wrócił z gorączką i zachorował.

Anulka naturalnie pośpieszyła z lekami, radami, ziółkami, i troskliwie nad nim czuwała. Na nieszczęście, stary Jaś niedomagał i leżał, musiała więc sama siedzieć przy nim. Około północy słabość się wzmogła widocznie, Anulka była nadzwyczaj niepokojną. Ale Orbeka, choć gorączką rozmarzony, zachował przytomność. Pierwszy raz naówczas dostrzegło dziewczę oczy jego dziwnie namiętne zwró-

cone na siebie, serce jój jakimś strachem uderzyło, wzięła to za obląkanie. Poczęła się tém pilniej krzątać koło niego. Orbeka nic nie mówił, patrzył długo, nagle podniósł się, pochwycił ją za ręce, i płacząc całować je począł.

Dziewczę struchlało, niewiedząc co począć, klękło przy łóżku, w tém on krzyknął, jakby oprzytomniony nagle, z lekka ją od siebie odepchnął, i zakrywszy oczy, niedając znaku czucia, pozostał tak do rana.

Co się tam działo w biedném sercu téj kobiety, której na chwilę zdawało się otwierać błyskawicą niebo, i zamknęło... znowu?!

Następnych dni, powoli, przyszedł do zdrowia pan Walenty, ale, jakby zawstydzony, unikał Anulki, której ta chwila była jedyną w życiu szczęśliwą.

Nie wspomniał on o tym wypadku, jakby go chciał złożyć na gorączkę, chociaż był całkiem przytomnym, ale odtąd w stosunku swym do dziewczęcia, był jeszcze ostrożniejszym i zimniejszym.

I płynęły znów lata, a nic się już nie zmieniało w Krzywosielcach, ale przeznaczenie znać chciało, aby Orbeka nie dokończył tak życia w téj ciszy i pokoju... gotowało mu jedną z najmniej oczekiwanych i miłych niespodzianek...

W pięć lat po zamieszkaniu na nowo w Krzywosielcach, w pięknej jakoś porze wiosennej, pod wieczór, gdy Orbeka był w ogrodzie na przechadzce z Neronem, na gościńcu dał się słyszeć turkot, który on wziął za powracające z pola wozy. Ale po chwili, pies się zerwał od nóg jego i zaszczekał, szelest posłyszał w ulicy i zobaczył, zdala jakąś postać czarną, dosyć żywo podchodzącą ku niemu.

Była to kobieta!..

Kobieta nieznajoma, obca w Krzywosielcach, prawie niezrozumiałe zjawisko! Orbeka zrazu tak był

zdumionym, że przypuścić nie umiał, ktoby to być mógł.

Dopiero gdy się zbliżyła, z uśmiechem na ustach, w rysach twarzy nieco zbladłej, trochę postarzałej, zawsze jeszcze pełnej wdzięku, poznał osłupiały — Mirę, pięknie wcale jeszcze zakonserwowaną.

Po ostatniej rozmowie, po ostatniem wejrzeniu rzuconém mu ze schodów Kapucyńskiego kościoła — bytność téj pani, tutaj, była niewytłómaczoną. Pan Walenty stał, nie wiedząc co począć, jak przywitać, gdy ona podbiegła żywo ku niemu, i zawołała:

— Walusiu, to ja! to ja.. o! jakżem szczęśliwa! to ja! twoja Mira!

Tych wyrazów domawiając syrena, pewna swego uroku i władzy, rzuciła się niemal w objęcia Orbeki, pomieszanego zjawieniem się tego widma przeszłości. Usta jego bełkotały wyrazy niezrozumiałe, serce po tylu przetrwanych boleściach, — nie wahamy się dodać, głupie serce — uderzyło jak za dawnych lat, wszystko zostało zapomniane w jednej chwili, łzy potoczyły się z powiek.

Zimném, bystrém wejrzeniem, Mira mierzyła tymczasem tego człowieka, któremu tyle bolesnych zadała ciosów, ehciała zbadać go, a ujrzawszy rozczulonym, przekonawszy się, że siłę dawną miała nad nim jeszcze... padła już uspokojona na ławkę, przykładając rękę do serca, które nie biło, jak gdyby uśmierzyć ehciała wzruszenie, którego nie doznawała.

Siadła, cała w czerni i żałobie, z czém jój nadzwyczaj było do twarzy, (wiedziała o tém doskonale) uśmiechając się smętnie, wdzięczna, niby roztkliwiona, i poczęła mówić głosem, którego chwilami udawała, że jój brakło.

— Al! to próżno, gdy się raz kogoś w życiu ko-

chało, gdy się razem z nim wiele chwil szczęśliwych i biednych dzieliło, pamięć i uczucie zostają na zawsze.

Ty nic nie wiesz, o moich losach? Nic? O! ciężko odpokutowałam za tę niedolę, która mnie do ulegnienia natarczywości Wawrzęty skłoniła. Prześladowanie rodziny, gorycze, potwarze, niemasz wyobrażenia czem te lat pięć się zapelniły. I on i ja byliśmy najnieszczęśliwsi, chociaż stary kochał mnie z całą namiętnością młodzieńczą. Wiesz że umarł?

Nie.. a! tak! umarł! I wystaw-że sobie, rodzina jego mszcząc się na mnie, tak zabiegała troskliwie, tak pilnowała go, że do ostatniej chwili obiecywanego zapisu zrobić mi nie mógł. Zostałam wyrzuconą jak ostatnia przybłęda z domu, ale na tych ludziach ja się pomszczę! ja im wytoczę proces, ja ich okryję sromotą, ja im leż moich nie daruję.

To mówiąc, oczy sobie zakryła.

Orbeka stał, słuchał, ale wiedział to tylko, że ona do niego wróciła, że znowu była z nim.. na wsi, gdzie ją nic oderwać odeń nie mogło. Twarz jego rozpromieniona świadczyła o bijącym żywo sercu.

O kilka kroków od téj ławki, na której spokojnie rozpatrując się już w nowéj swéj posiadłości, siedziała Mira, Anułka, która nadbiegła na to, żeby wysłuchać jéj wyznań, padła bezprzytomna i omdlała.. Ale nikt tego nie postrzegł zrazu, a później, nikt nawet o tém nie wiedział.

— Nie myśl-że, kochany Walusiu, dodała, że ja cię tu tak najeżdżam, nieprzyzwoicie, jakby z egzekucyą — chciałam cię zobaczyć tylko! tak! wiedziałam, że ty nie przybędziesz do mnie.. na chwilę przyszłam powitać twoją pustelnię. Jestem u Bukowieckich, u moich krewnych w sąsiedztwie, od dwóch dni. Wiesz, że stary podkomorzy umarł i ona także... teraz tam gospodarują młodzi. Otóż zatrzymałam się

u nich, a od nich na minutę wykradłam się tylko do ciebie pod pretekstem. Wiesz jak oni' na wsi są rygorysty, nieznosi, to też tylko tu wpadłam, aby od ciebie wyžebrać przebaczenie win przeszłych...

Orbeka powoli przychodził do siebie, dziwne nim i sprzeczne uczucia miotaly, wreszcie miłość ślepa, biedna przemogła. Usiadł przy niej drżący, zbladły, i przez łzy się uśmiechał minionemu szczęściu. Jak się jęj małeńka, a zawsze śliczna rączka znalazła w jego dłoniach? niewiem... jak jęj główka spoczęła na jego ramieniu? któż wytłómaczy? jak rozmowa głośna w cichy szept się zamicniła?... tajemnice! tajemnice...

A po chwili, idąc szeroką aleją ogrodową, jak starzy, dobrzy znajomi, opowiadali sobie półgłosem dzieje ostatnich lat pięciu. Ona tworzyła z ręcznie romans, on mówił prawdę, jak na spowiedzi. Ona śmiała się w duchu z jego opowiadania, on łzami płakał nad jęj niedolą.

Konie tymczasem stały przed gankiem.

Na wsi, stosunki wszelkie nie uprawnione, są daleko drażliwsze i widoczniejsze niż gdzieindziej, miarkowała to i pani ex-wojewodzina. A choć przyrzekła pozostać w okolicy i widzieć się jeszcze z Orbeką, tego dnia nic jeszcze nie było postanowionego.

Może piękna wdowa byłaby natarczywszą, gdyby miała nadzieję i rachubę wydać się raz przecie za Orbekę, ale naprzód, to by ją pozbawiło nawet pensyi, którą Wawrzętowie wyznaczili, dopóki by ich imie nosiła, powtórę, ten Orbeka był taki nudny! Można było się nim podratować, użyć go, possać jeszcze trochę, ale na wieki wieków wyrzec się dlań swobody i nadziei!! Mira spoglądając w zwierciadło, widziała wprawdzie zmarszczki drobne, zarysowujące się około oczów i ruchawych ustek, ale

pochlebiała sobie, że sztuką im zaradzi, i że nie rychło się zwiększą. Była jeszcze bardzo ładną, świeżą, nieco okrągłęjszą niż przed laty, ale to jój nie odejmowało wdzięku. A teraz przebywszy szkołę doświadczenia, tak była pewna siebie, tak znała połowę brzydzącego rodzaju ludzkiego i jój słabości!

Na tymczasem, Orbeka był bardzo znośny, szczególniej z tego względu, że z nim mogła bcz litości czynić co tylko chciała, — gotowy, bezpłatny sługa, wierny jak pies, którym pomiatać mogła, i odpędzić, gdy zażąda.

Nazywała go nawet w oczy, swoją zawojowaną prowincją.

Po herbacie i podwieczorku, który podając, stary Jan ledwie mógł chodzić z przestrachu, piękna pani odjechała. Orbeka siadł przy kominie, i przez pięć godzin, z krzesła się nie ruszył.

Nazajutrz przyszedł list, we dwa dni pojechał pan Walenty, w kilka tygodni, pani ex-wojewodzina, pod pozorem interesów familijnych i potrzeby spoczynku, wzięła niedaleko od Krzywosielec majątek w dzierżawę od Sapienhów.

Nikt o tém nie wiedział, że Orbeka podjąwszy kapitał swój, pierwszy rok tenuty opłacił. A że od Krzywosielec do Wierzbowej Wulki, było nie więcej nad dobre pół mili, od czasu, jak się tam Mira przeniosła, pan Walenty prawie w domu nie siedział. Sam nie gospodarz u siebie, tam podobno wielce był dla gospodarstwa i porady jój potrzebnym. Chociaż prawdę powiedziawszy, niezbywało tam na towarzystwie młodzieży kiedy niekiedy, ale młodzież jest tak płocha a nie emancypowana, więcej ma zwykle długów niż... środków podobania się osobom gruntowniej rzeczy biorącym.

Już niewiemy spełna, czy o nowój przygodzie

Orbeki dowiedział się Sławski, ale to pewna, że się nie odezwał. W domu Anulka wyschła i wymizerniała strasznie, całe niemal dnie spędzając na nabożeństwie w kaplicy, Jan się położył i nie wstał, ale pan Walenty odmłodził, odświeżył się i prawie stał wesołym.

Trwało to jakiś rok, ale na wsi nic tak nie rodzi obficie jak plotki, z najmniejszego ziarenka, plony są niepolicone, a jak dziwne!

Zaczęto też na Mirę, na Orbekę, na jeszcze może dwóch jak ich panów, wygadywać rzeczy niestworzone, zaczęto się odsuwać, unikać. Kobiety szczególnie do kamienowania okazały się skłonne, może przez odrobinę zazdrostki.

Wkrótce w tym warze wyżyć nie było podobna. Rozsądna i wielce zawsze praktyczna Mira, ze względu na to, że Orbeka rolnikiem nie był, gospodarzyć nie umiał, przekonała go łatwo, iż powinien był sprzedać wioskę, i na spokojne a mile życie przenieść się do stolicy, dokąd się też i ona wybierała.

Tak się w istocie stało, acz nie bez strat dotkliwych.

Piękne owe, złote jabłuszko okolicy, kupił za bezcen, dobrze się wytargowawszy (bo znał doskonale jak pilno je było pozbyć się Orbecę), dawny ekonom Sapieżyński, niejaki pan Dolfowicz. Pan Walenty, którego ex-wojewodzina poprzedziła już była do tej spokojnej, miłej Warszawy, z niecierpliwością wiekowi jego niewłaściwą, ostatnie węzły wiążące go do tego kawałka ziemi heroicznie porozcinał, zabrał pieniądze, sprzedał aż do remanentów wszystko, i z dosyć pięknym kapitalikiem, który samotnemu człowiekowi byłby na wygodne starczył życie, pośpiesznie uciekł do Warszawy, nawet z dawnymi nie pożegnawszy się sąsiadami.

Co się stało z chromą Anulką?

Smutna to historya, którą odgadnąć potrzeba, żeby ją spisać. Od przybycia dawniej swęj pani, biedne dziewczę chodziło zbladłe, wylękłe, nie o siebie, ale o tego człowieka, którego zgubę przewidywało. Teraz jednak, mniej niż kiedykolwiek mogła się zbliżyć do niego, był niecierpliwszy i jakby zawstydzony, unikał jęj, i wszystkich swych dawnych przyjaciół i domowników. Zdała tylko, wolno jęj było śledzić męczarnie tego człowieka, którego trawiła namiętność, w jego wieku starcząca za najgwałtowniejszą truciznę. Cóż miała począć chroma owa siostra miłosierdzia? stała się pobożniejszą niż kiedykolwiek; modlitwy, posty, nowenny, nabożeństwa, na intencye nieszczęśliwego, szły jedne po drugich, ale Pan Bóg był głuchym na nie. Nieubłagana fatalność, ściagała przeznaczonego na zgubę.

W chwili sprzedaży wioski, sam wreszcie Orbeka pomyślał co się stanie z biedną Anulką, przywykłą do tego cichego kąta, a do której on, choć na nią nie patrzył, przywykł też był jak do starego sprzętu, który stoi w pokoju okryty pyłem, a gdy go zabraknie, czuje się niedostatek. Miał pewien obowiązek zapewnienia jęj jakiegoś losu, nie mógł odprawić jak sługę najemną, a brać z sobą do Warszawy było mu ciężko lub niepodobna, tam bowiem chciał się urządzić jak najskromniej, i być wprost tylko sługą, marszałkiem dworu Miry, byle z nią być zawsze i przy niej.

Trzeba więc było raz jakoś, a poludzku skończyć z Anulką, której oczy zaczerwienione dowodziły, że do téj katastrofy była przygotowana. Pan Walenty nie miał złego serca, ale namiętność czyni okrutnym, ludzi nawet najlepszych.

Długo wahał się, odkładał, męczył, myślał co zrobić, nareszcie zdało mu się, że paręset dukatów

posagu, darowizna ruchomości mu niepotrzebnych, mogących stanowić sowitą wyprawę, będą aż nadto wystarczającymi, żeby dowieść chromej, iż jej poczytliwe około siebie starania cenić i zawdzięczyć umiał.

Czas upływał, trzeba było raz się otwarcie rozmówić z Anną. Orbeka z papierem w ręku wszedł do jej pokoiku. Wiedziała ona wcześniej co to znaczyło, wstała ze spuszczonego oczyma, drżąc, ale z odwagą w sercu i pewnością siebie, jakiej nigdy nie miała. Była do tej chwili przygotowaną.

Orbeka drżący siadł w krzesło, podparł głowę na dłoni, słów mu zabrakło. W tej izdebce małej, spokojnej, poczuł i zrozumiał, jakie, jeżeli nie szczęście, to dołą miłą i cichą, miał zburzyć jednym słowem, i żał mu serce ucisnąć. Nie był złym jeszcze człowiekiem.

— Moja panno, rzekł po chwili jękając się — już to wiesz pewnie, że ja Krzywosielce sprzedałem, że się wynoszę do Warszawy, że...

— Wiem, odpowiedziała Anulka.

— Sama tedy pojmujesz, że zmuszony urządzić się oszczędnie, po kawalersku, nie mogąc prowadzić domu, muszę...

— Tak... naturalnie... pan pojedzie sam...

— A cóż... cóż myślisz z sobą?

— Ja? prawdziwie niewiem dotąd, ale mam krewnych dalekich... mam ręce, przywykłam do pracy, a Bóg mnie nie opuści.

Musiała spuścić główkę, aby łzy ukryć, a w głosie śmiałym, poznać wzruszenia nie było można.

— Proszę wierzyć, kochano panno Anno, że jeżeli zmuszony jestem okolicznościami z nią się rozstać, bardzo mnie to samego boli. Ale cóż począć?! co począć?

— Ja to bardzo dobrze rozumiem, dodając sobie odwagi, rzekła Anulka.

Orbeka widząc, że jakoś nadszpiewanie mu idzie dobrze i gładko, dodał zaraz:

— Chciałbym jednak, żebyś panna Anna wierzyła w moją dla niej życzliwość, i nie odmówiła mi, przyjmując jej dowód odemnie. Otóż...

— Przepraszam pana, przerwała Anulka, nigdy nie zapomniała, że jestem i byłam służką, i że naturalnie...

— Ale ja waćpannę nigdy tak nie uważałem! zawołał Orbeka — ja ją miałem za przyjaciółkę, za kuzynę, i chcę się rozstać jak z krewną.

Abyśmy dali zrozumieć postępowanie chromej, musimy wtajemniczyć czytelnika w jej rozmysły i rachuby. Widziała ona od przyjazdu ex-wojewodzinę, na co się nieuchronnie zanosilo, że ruina ostateczna tego człowieka, była nieuchronną, a gdy raz zostanie dokonana, domyślić się było łatwo, że Mira przy sobie go nie znieśie.

Mogła nawet, znając tę panią i Orbekę, obrachować prawie, że zniszczenie szczupłych jego funduszów, gdy raz zostaną uruchomione, nie potrwa długo.

Nędza więc groziła nieszczęśliwemu, a przy niej rozpacz i choroba znowu. Wszystko to jasno, jako nieuchronna konieczność, stało przed oczyma Anulki. Na tę chwilę niedostatku, w której ona go tylko ratować mogła, potrzeba było co można ocalić.

W pierwszej chwili, chciała odrzucić jego ofiary, boleśnie jej było nawet na chwilę zostać posadzoną o chciwość, o interesowność, a jednak, było to koniecznym. Musiała się okazać zimną, musiała brać wszystko cokolwiek było można, nie dla siebie, ale dla niego. Z tym zapasem postanowiła natychmiast

po wyjeździe Orbeki, udać się do Warszawy, niepostrzeżona tam czuwać nad nim, i czekać téj chwili, gdy mu będzie potrzebna.

Z tak osnutym planem, wszelką oznakę czułości odkładając na stronę, Anulka musiała ofiary przyjmować.

Zdziwił się Orbeka znajdując ją tak obojętną, zrezygnowaną i zimną, lękał się przesadzonych czułości, oświadczeń przywiązania, lecz, trafił na chłodny rozsądek i żelazną jakąś odrętwiałość.

Anulka skłoniła mu się do kolan, patryarchalnym obyczajem dziękując za jego dary, a Orbeka wprędce skończywszy przykrą rozmowę, odszedł z łeższém sercem. Jednakże — jednakże... westchnął nad człowiekiem, nad przywiązaniem ludzkim, nad tém, co się zowie miłością, wdzięcznością — zdawało mu się, że Anulka powinna była serdeczniejszą się przy rozstaniu okazać!

Kobieta, gdy raz postanowi coś i sercem stanie przy swéj myśli, w wykonaniu jest upartszą, zaciętszą od mężczyzny. Orbeka darowawszy jéj ogółem ruchomości, nie wchodził już w to co do nich należało, chroma zagarnęła co tylko z tego tytułu godziło się zabrać i w skutek umowy z nowym nabywcą, okazawszy się w targu trudną, wzięła od niego dość znaczną sumkę, gdyż nowy dziedzic wszystkiego potrzebował. Zwiększyło to mienie Anulki, oczekującej tylko na wyjazd Orbeki, aby natychmiast za nim pociągnąć.

Pan Walenty, który tyle lat spokojnych przebył w téj wsi swéj, dla którego ona tyle w sobie mieściła pamiątek, był pod tak żelazném jarzmem swéj namiętności, że o wszystkiém zapomniał, nie rzucił okiem na to gniazdko ciche. W chwili odjazdu poszedł do Anulki, zastał ją zmieszaną, smutną, ale dziwnie zre-

zygnowaną, ani lży nie wylała, żegnając pana Walentego.

Wiedziała, że go zobaczy.

List od Miry, która naiwnie narzekała, że w Warszawie nie miała się kim posłużyć, i że potrzebowała Orbeki, polecając mu pośpieszać, przynaglił jeszcze wyjazd. Podróż odbył biedny człek dniem i nocą.

ROZDZIAŁ XVII.

Mówiliśmy już, że ex-wojewodzina, po ś. p. ostatnim mężu swym, otrzymała tylko jakby z łaski, rzuconą pensją dożywotnią, którą rodzina jego obowiązywała się płacić tylko dopóty, pókiby jój imie nosiła. Powstrzymywało to piękną jeszcze ale przywiedłą Mirę, od nowego małżeństwa, któreby w teraźniejszych jój latach i warunkach, z trudnością świetném tak być mogło, aby to co miała wynagrodziło. Życie wszakże nie zmieniło się wcale, lubiła towarzystwo, przepych, wykuint, błyskotki a nadewszystko nowość, i zmianę; przy nieładzie, do którego była przywykłą, pensya rzadko wystarczyć mogła. Orbeka więc potrzebnym się stawał, bo na niego dosyć było skinąć, aby ostatni grosz oddał.

To tylko wytłómaczyć może zwrot Miry ku niemu, wygodniejszego niewolnika mieć nie mogła, i była to *anima damnata* kobiety, której wiek dodał tylko chytrości, wprawy w szalbierstwa, intrygi i nienasyconej żądzy szukania w życiu nasycenia, gdy życie przesytem było już zużyte i nudne. Głowa jeszcze się

palika tylko, a fantazyje głów są straszniejsze od serdecznych.

Orbeka byle jój służył, był najszcześliwszym, a za tę służbę, jak mało wymagał!... tylko, aby go choć jak psa domowego znoszono i nie wypędzano, by mógł z kątką patrzeć na nią, czasem za wielką nagrodę uśmiech otrzymać, niekiedy poufałe słowo... Zazdrość, która go trawiła dawniej, choć się z nią ukrywał, teraz dziwnym fenomenem ustąpiła miejsca niewiem jakiemu rozumowaniu, czy przeświadczeniu, że do niczego nie prowadzi. Choć więc Mira trzpioła się z młodzieżą, ze staremi przyjaciółmi, wabiła do siebie na wieczory i grę (do której zwolna rodziła się w niej chęć), choć w salonie działały się sceny często bardzo dla Walentego rażące, on albo udawał że nie widzi, lub nie okazywał, aby go one obchodziły. Miał dla niej na wszystko tłumaczenie, uniewinnienie zawsze, jakieś okoliczności łagodzące.

Jakim sposobem godził swe przywiązanie do niej z tém, coby wszelki szacunek i życzliwość odjąć było powinno — jest rzeczą niepojętą. Ale, czyż raz widzimy szaleństwa podobne?

Życie ex-wojewodzinéj w Warszawie, urządziło się już wcale inaczej niż dawne; ale wedle jój nawyknień i smaku.

Naprzód na małej uliczce i w cichéj części miasta zamieszkać nie mogła, ruch i wrzawa były jój potrzebne koniecznie. Najęto więc na Krakowskiém drugie piętro jakiegoś pałacyku, ale z oknami i balkonem od ulicy.

Musiała mieć salon, choć jednego służącego w liberyi, chciała była powozu, ale na ten raz wypadało się obejść, bo kredytu brakło, a pieniędzy także. Meble trafiły się wcale przyzwoite, po jakimś panu, który wyjeżdżał na lat kilka zagranicę. Drobnostek

resztę znalazła Mira po sklepach, a że z natury była niecierpliwa, nim Orbeka nadjechał, już się urządziła, pooddawała wizyty, widziała znajomych, i weszła w owo życie warszawskie, którego koryfeusze byli w owęj epoce najpobłażliwsi, zwłaszcza, gdy wielkie imie i ogłada salonowa pokrywały przeszłość.

Marzyć nie było można o dawnych splendorach, ale Mira, choć świeża i wcale ładna, postanowiła udawać poważną i nie młodą, aby się świeższą jeszcze pokazać — przez antytezę.

Oznaczono już soboty, jako dni przyjęcia, w których salon był otwarty, rozmawiano, grano w bostona, pikietę, śpiewano, ogadywano po cichu i trzpiano się przyzwocie. Mira dawała kolację, co zawsze brukowych pasożytów ściąga. Salon więc był pelen, a że poufałój w nim nad inne można sobie było postępować, i skandaliki mało osłonięne, opowiadano sobie swobodnie, wkrótce pewna sfera towarzysk a bardzo polubiła soboty.

Mira była uprzejmą niezmiernie, a chroniła się wszystkiego, coby od niój odstraszać mogło, nawet nieuniknione intryżki, daleko się ostrożniój wiodły, niż dawniěj.

Wśród tych prymicij warszawskich, nadjechał, powołany listem, Orbeka, i w nocy przybywszy, nazajutrz rano, już był u drzwi swęj pani, czekając przebudzenia.

Jak tylko dano jęj znać o nim, ledwie nieco się ubieliwszy i naróżowawszy trochę, ledwie okiem rzuciwszy na zwierciadło, kazała go prosić do swego pokoju.

Do jęj pokoju! a! było to niewysłowioném szczęściem dla biednego człowieka, wszedł z sercem bijącym, jak niewinny młodzieniec do pierwszėj w życiu kochanki.

Mira podała mu rączkę, tęczką śliczną zawsze, drobną, pulchniutką, którą by go mogła zaprowadzić do piekła. Usta jego wpiły się w nią, i nie mogły oderwać.

— Mój ty Walu, rzekła, czegożeś się ty tam tak długo bawił? Już mnie to niecierpliwiło! byłeś mi tu tak potrzebny momentami, *j'étais outrée*, gniewałam się strasznie, doprawdy!

— Ale najdroższa pani! ta sprzedaż...

— A! więc sprzedałeś! no! to dobrze. Tu rozpoznał się egzamin. Orbeka wypowiedział się co do grosza.

— I cóż myślisz zrobić z pieniędzmi? spytała.

— Muszę żyć, rzekł Walenty, będę się starał umieścić tak, abym mógł się jako tako utrzymać.

Ex - wojewodzina schwyciła się z kanapki i przeszła po pokoju zadumana.

— Co to umieścić! rzekła, wszak ty wiesz, jak trudno o pewną hypotekę, procentów nikt nie płaci, a najpewniejsze domy jak Teppera i Szulca bankrutują... Trzeba coś innego obmyśleć.

— Ale cóż innego? spytał Orbeka.

— Ja ci powiem, całe życie byłam stratną i niepraktyczną, ale mnie bieda nauczyła rozumu i rachuby... Już tylko mnie posłuchaj. Ty masz kilka tysięcy dukatów, ja tysiąc mieć będę na Ś. Jan, złożmy razem i kupimy dom na wspólne imię. Dom w Warszawie przynosi ogromne procenta, ci ludzie fortuny robią. Zważ co to się płaci za łada mieszkanie.

— Tak, może to być myśl dobra, ale zawsze poradzę się mego pocziwego kolegi, adwokata.

— A! zlituj się! a proszę! tylko się nikogo nie radzić! Prawnika! a! to są zbójcy, ja ci powiadam, ja ich znam. Nigdy! nigdy! Oni czyhają na kapitały

dla bankrutów, zaraz ci lokatę podstawię! zobaczysz.

Orbeka zauważył.

— Zresztą naradziemy się wspólnie, dodała, już ci bezemnie, starą swą, dobrą przyjaciółkę, ty nic nie zrobisz?... Podała mu rękę! rękę!

— Ale moja pani najdroższa, cóż za myśl! zrobię to co ty każesz.

— Zobaczysz, ja tym interesem pokieruję dobrze, ja teraz jestem bardzo, bardzo rozumna, widzisz jak się urządziłam oszczędnie. I koni nie mam! i powozu nie mam! Ah! żyć bez powozu! mnie!

Westchnęła.

— A! przyznam ci się! że to najwięcej mnie kosztuje. Jednakże z ludźmi żyć muszę... niewiedzieć jak zajechać do nich najętą karetą, bo do fiakra nie siadę za nic w świecie! *C'est ignoble*. Nie zawsze zaś i nie wszędzie można pójść piechotą. Dla mnie, ten powóz i konie, to jest prywacya najcięższa... to męczarnia.

— Więc może by można jakoś...

— A! nie! nie! niepodobna, rachowałam... *c'est impossible*. Czuję, że to mnie zabija, upokarza, ale cóż począć? Bo widzisz, wszelki inny niedostatek, daje się łatwiej osłonić, nie jest tak widoczny, a ten...

Chodziła, udając, że oczy ociera, po pokoju niby płacząc, a patrząc na niego.

— Dodaj i to, że jestem słaba... to życie ze starcem... tych lat kilka przy niedołędze schorowanym, odeję mi siły, zdrowie. Czuję się teraz wcale inną.

Orbeka nagle spytał:

— Więc i mieszkanie najęte bez stajni i wozowni?

Mira zarumieniła się, ale pod różcem i bielidłem wcale tego widać nie było.

— Tak jest, odpowiedziała, chociaż gospodarz mi mówił, że ma tam jakąś niby do ustąpienia

w przypadku, ale poco to mówić o tém co niemożliwe!

Zręczna kobiecina, z tego jednego pytania Orbeki domyśliwszy się, (nadto go dobrze znała, aby powątpiewać mogła) — iż powóz i konie mieć już będzie, natychmiast odwróciła rozmowę na rzeczy mniejszej wagi, wszakże tego rodzaju, iż przy każdej z nich Orbeka miał coś do wypełnienia kieszenia.

Wcale jój o to nie szło co będzie później z tą nieszczęśliwą wyciśniętą gąbką... dziś szło tylko o to, aby do kropli a zręcznie z niej wyssać, co z sobą przynosiła.

W kilka dni potem, gdy Mira zażądała najętego powozu, zajęchała ładna karetką od Dangla, parą szpakowatemi konikami zaprzęzona. Skromny to był ekwipaż, ale z niezmiernym wybranym smakiem, prawdziwe cacko...

Scena odegrana przez Mirę, która doskonale zawczasu wiedziała o kupnie, jój zdziwienie, gniew, srogi żal, potem niezmierna czułość i wdzięczność roztkliwiły Orbekę, i powiedział sobie po cichu: Płocha jest biedaczka! Ale co ona temu winna przy takim wychowaniu, wśród takiego otoczenia... serce ma dobre! Ile razy ono przemówi... o! anielskie serce!

Po historyi karetki, nastąpiła druga płaczliwa scena szalu, który wszystkie osoby poważniejsze miały, a jój brakło. Szal był niezbędny. Niedostatek jego nie dał się zastąpić niczem.

Dla Miry było to znowu upokarzającym, wychodząc z wieczoru, być spytaną: — Szal pani? i odpowiedzieć że go niema.

— Szal francuzki, kupiłabym już sobie, rzekła, ale dla mnie, taki szal.. co je lada porządniejsze noszą służące, to już lepiej żadnego.

Orbeka po tych zeznaniach poufnych, wyobraziwszy sobie, że to jest rzecz kilkudziesięciu dukatów, poszedł natychmiast do Dyzymańskiego. Tu dopiero został należycie objaśnionym, że przyzwoite osoby innych jak kaszmirowe szale nie nosiły, że pąsowy w palmy był najmodniejszy, że turkusowe także wielce poszukiwano, że białe pięknie ubierały osoby wysmukłe i słusznego wzrostu, i że prawdziwy szal w pyszném pudle, z kawałkiem piżma, które go od mólów bronilo, kosztować mógł od dwóchset do pięciuset, a nawet do tysiąca dukatów.

Zmieszkał się wielce pan Walenty, i pierwszym razem odszedł nic nie postanowiwszy, z bólem głowy. Nazajutrz usłyszał znowu jakąś bolesciwą historią szalu, przy wyjściu z wieczoru od sędziniej, Mira była w rozpacz, dostała migreny, nerwów, i potrzeba było lecieć po Gagatkiewicza. Dwa dni siedziała z głową związaną, nikogo nie przyjmując.

Trzeciego dnia przyniesiono śliczny szal turkusowy w pudle z bronzami, Mira ukłękła przed Orbeką.

— Tyś anioł! tyś święty! ja ciebie nie byłam wartą, nie jestem... zawołała w zapale. Orbeka się rozplakał, a chora została uzdrowioną i tegoż wieczora pojechała do sędziniej, aby się szalem swym pochwalić.

Wróciwszy do skromnej izdebki, którą zajmował w przeciwległej kamienicy od tyłu, Orbeka smutny obrachował co już stracił. Oprócz powozu, koni, szalu, mnóstwo drobnych wydatków przeszły przez jego kieszeń, w domu za wszystko niemal płacił, część znaczna kapitału wziętego za Krzywosielce, już się była rozplynęła.

— Co dalej będzie? pytał sam siebie.

— Oszczędzę się, uskąpię wygod, zresztą, czy długo tego życia!

W istocie mógł to powiedzieć pan Walenty, gdyż ostatniemi czasy okrutnie postarzał. Gwałtowne szczęście równie jak cierpienie wyczerpywać umieć, włos posiwiał, oczy wpadły, kaszel dokuczał z rana, niekiedy wieczorami, nogi czasem pętały się dziwnie, jakby już posługi odmówić wkrótce zamierały.

Ale rachuby na zgon, zawodzą — równie jak liczenie na życie... — równie jak wszystko na tym padole nieustannych omylek.

Orbeka mimo zniszczenia i pozorów starości, miał jeszcze dosyć siły, ażeby długo cierpieć.

Ale gdy poczynął ściśle się obrachowywać — starość ta służyła mu za wymówkę, by się w zbyt ściśle nie wdawać obliczania na długie terminy.

Ta starość też była nieraz dlań dobrym pozorem do uniewinnienia Miry, gdy na zbyt dla młodych się okazywała miłą i łaskawą. Orbeka naówczas tłómaczył ją tém, że sam był stary.

Szałbierstwa, namiętności dochodzą czasami do spodlenia, a nielogiczność ich jest już tak pospolitym, charakterem, że o niej nawet wspominać nie warto.

ROZDZIAŁ XVIII.

Tak szło naszemu biednemu niedołędze w Warszawie, do której po eichu, tajemnie, nędzny wózeczek wieśniaczy, wkrótce po jego przybyciu, przywiózł Anulkę. Znała ona już dosyć miasto

z przypomnień dawnego pobytu, aby w niém sobie dać darę—najęła mieszkanko ubogie, wyszukała zajęcia, i osłonięta, niewidzialna, zestarzała cierpieniem, poczęła ukradkiem śledzić Orbekę, Mirę i tryb życia obojga.

Wielkie, szlachetne serce, w małej nawet istocie, położeniem swém upośledzonej, bije tak żywo, iż daje jęj siły do podolania najcięższemu zadaniu. Gdy kto ma jeden królujący cel życia, pewnie go wbrew przeszkodom osiągnąć potrafi. Anna pomimo osamotnienia, ubóstwa, potrzeby ukrywania się — znalazła ludzi, stosunki i pilnóm okiem czuwała nad Orbeką, który zapomniawszy o niej, pobytu w Warszawie domyslać się nawet nie mógł.

Żył on tak odosobniony, pochłonięty swą służbą, iż nawet Sławskiego w Warszawie nie szukał i widzieć się z nim nie pragnął. Obawiał się jego surowości, rad, wymówek, politowania nawet. Sławski znowu był nadto dumnym, ażeby się sam przyjacielowi narzucał, wiedział z odgłosu o jego przybyciu, przewidywał następstwa, opłakał dolę Orbeki, czekając aż mu się stanie potrzebnym.

Nieraz mu też przyszedł na myśl i los téj biednej dziewczyny, z tak cichém a wytrwałém poświęceniem, z przywiązaniem tak stałym — odepchniętej i niepoznanéj. Niewiedział wcale o jęj przybyciu, aż do przypadkowego z nią spotkania.

Zeszli się wśród ulicy, jakoś po chodzie ta postać zakwefiona przypomniła mu chrońną Anulkę, sądził wszakże iż się omylił i szedł już dalej, gdy ona go sama postrzegłszy, zatrzymała, witając.

— A! to ty dobry panie!

— Panna Anna? tu? w Warszawic? Jakto? pozwolił ci więc Orbeka przybyć z sobą?

— A! uchowaj Boże! on o mnie nic nie wie.

Jeżeli się z nim widzieć będziecie, zaklinam was, nie wspominajcie mu nawet o mnie.

— O to niema obawy, rzekł Sławski, bo on się z nikim, nawet ze mną nie widuje.

— Jakto? mój Boże! nie szukał pana!

— Sądzę owszem, że unika, — narzucać mu się nie chcę. Mira czuwać musi nad tém, aby złych znajomości nie odnawiał.

— Czy wiesz pan wszystko?

— Jeżeli niewiem, to się domyślam, bo zgadnąć nie trudno.

— A! panie — z płaczem poczęła Anulka, wiesz, że sprzedał te Krzywosielce, że porzucił wszystko, a mnie, mnie — ja byłam tylko służą — odprawił. Przed panem wyznać to mogę, możemy była więcej i czém inném niż służą dla niego, choć biedny ślepy człowiek o tém nie wiedział; poszłam za nim. Mira go ściągnęła do Warszawy, aby wysać do ostatka. Łatwo odgadnąć co nastąpi, gdy się wszystko wyczerpnie — ona go odpędzi, łatwy jest powód do kłótni, a potem... pan go znasz — mógłby umrzeć z głodu i rozpacz, potrzeba czuwać nad nieszczęśliwym. Na tę chwilę, w której mu ratunku zabraknie, ja czekam... przeczuwam ją, widzę zbliżającą się, i na tę czarną godzinę, zbrojna jestem, przygotowana.

Sławski rękę jej uściśnął.

— W téj godzinie, moja panno Anno razem się przy nim znajdziemy, rzekł z uczuciem — ale Bóg może ją odwróci, a jego ocali.

— A! Bóg o nas zapomniał, bośmy opieki jego nie byli warci, odpowiedziała Anulka.

— Miłosierny On zawsze, nie bluźńmy — przerwał pocziwy inżynier. Słuchaj panno Anno, bądź co bądź, jeżeli bym wam na co był potrzebnym, daję mój

adres — bądź pewną, że — dotrвам przyjacielem wiernym do końca. Dajcie mi także swego mieszkania numer.

Anna szepnęła spuszcjąc oczy:

— Naprzeciw niego, przytuliłam się w biednej izdebce, aby zdaleka choć patrzeć i zgadywać co się z nim dzieje.

Tak chwilę pomówiwszy z sobą rozeszli się spokojniejsi oboje, Sławski z uwielbieniem patrząc na tę cichą ofiarnieję pocziwego uczucia, ona widząc w nim opiekuna i sprzymierzeńca.

Tymczasem dramat szedł biegiem przyspieszonym do nieuchronnego rozwiązania.

Przyspieszyła je nowa Miry znajomość — wielce oryginalna.

Był to człowiek powszechną naówezas obudzający ciekawość w Warszawie. W istocie rzadkie zjawisko. Małym chłopakiem, ubogim synem rzemieślnika, zbiegł on był przed laty z Warszawy do Hamburga, potem się dostał do Ameryki; począł tam jakiś mały handelek, i z niego przyszedł do bardzo znacznej fortuny. Może też przesadzano w jej ocenieniu, ale wiadano, że miał kilka własnych okrętów, dom w Filadelfii i obszerne plantacye w południowej Karolinie.

Przez lat kilkadziesiąt weale o sobie znać nie dawał rodzinie, potem ogarnęła go tęsknota, zapragnął powrócić, zobaczyć, dowiedzieć się co się stało z familią, i na własnym statku przyjechał do Hamburga znowu, zkład przed laty bez grosza jako majtek odpłynął, dostał się do Warszawy.

Ale tu nikogo nie znalazł ze swoich, ojciec i matka umarli, siostra i brat wyniesli się gdzieś bez śladu. Biedny jednak syn rzemieślnika, przyjętym był przez nieznane mu nowe pokolenie i ludzi dla siebie

nowych, z tém współczuciem, jakie zawsze obudzają miliony. Najlepsze towarzystwa wyrwały go sobie, choć do nich, prawdę rzekłszy, wcale się nie zdawał stworzony.

Życie surowe a ostre, praca ciężka, ocieranie się o ludzi twardych, społeczność młoda, w której przebojem musiał się stanowiska dorabiać, wykształciły go wcale nie na salonowego człowieka.

Nie miał ani powierzchowności przyzwoitej, ani form w świecie wynaganych. Ale ta gruba powłoka ozłocona majątkiem ogromnym amerykańskim, nie zrażała, pociągała owszem ku niemu, gburcem by go nazwawszy wyrzuceno za drzwi gdyby nie miał, milionowego przyjmowano uprzejmie i nader uprzedzając.

Trzeba też przyznać, że pan Chryzostom Klapka miał wiele przymiotów, któremi za dość oryginalną powierzchowność plantatorską płacił; wiele zdrowego rozsądku, dowcip ostry, umysł żywy i prawdomówność niespotykaną u innych. Nie stary i nie młody, dotąd nie żonaty, chociaż opowiadał, iż się razy kilka swatał, zawsze niefortunnie znajdując przeszkody do zawarcia małżeństwa — Klapka skłonny był do posłubienia kobiety dobrej woli, miłego charakteru i stęskniony za niewieściem towarzystwem... Powierzchowność jego nieokrzesana, twarz ogorzała, rysy pospolite, siwiejący włos nie były pociągające — ale w świetle złota jak się to wszystko inaczej wydaje! Mira i tytułem i twarzą i dowcipem wielce go zaraz zajęła.

Dopatrzwszy tego wrażenia, które kobiety zgadują i przeczuwają tak cudownie, Mira pochwyciła pana Chryzostoma, ogarnęła go, opanowała i użyła wszelkich możliwych środków, aby się jęj ta ofiara z rąk wymknąć nie mogła.

Pochlebiała mu obrzydliwie, a ów prawdomówca i nieubłagany krytyk społeczności europejskiej, dziwnie się dał wciąść nalep najpospolitszego w świecie, grubego, widocznego, prawie niezręcznego przesadą pochlebstwa.

Mira umiała go bawić, poklaskiwała każdemu słowu, podnosiła je, powtarzała, czyniła go bohaterem, wyciągała zeń opowiadania, odurzyła go kadzidłem jakiego dawno nie kosztował.

Tytuł też Miry, imię jój, temu surowemu republikaninowi, dorobkowiczowi, dziecięciu własnej pracy, więcej smakowały niż były powinny. Przypominał młode swe lata na bruku, boso spędzone i znajdował zapewne przyjemność, licząc szczeble drabiny, które przeszedł, do dzisiejszego stanowiska swojego.

Mira obudziła zazdrości wiele, próbowano jój szkodzić, odciągnąć przybysza, ale Amerykanin był uparty, potrząsał głową i został w miejscu.

Ona tak doskonale grała uwielbienie dla wielkiego męża, stawiając go na równi z Franklinem i Waszyngtonem, iż mu się głowa biednemu zawróciła.

Po prostych Amerykankach surowego obyczaju, po Murzynkach dzikich i Mulatkach dziecięcych, które spotykał Klapka w swą przybraną ojczyznę, Mira wydać się musiała ideałem.

Przywiednienie nic jój nie szkodziło, owszem, byłby się może obawiał młodej, starsza zdawała mu się partją stosowną.

I tak — jednego poranka począwszy zręcznie rozmowę Mira, z żartu w żart, śmiechem ją przerywając, doprowadziła zwolna republikanina, iż się jój ze swą szczerotą trochę szorstką oświadczył najformalniej.

Mira chwyciła za słowo. Z pośpiechem człowieka, który godziny do stracenia niema, bo w Ameryce

bardziej może niż w Anglii *times is money*, pan Chryzostom ułożył, iż się pobiorą niezwłocznie. Pani mając ku temu osobiste powody, uprosiła o dni kilka zwłoki i tajemnicę. Szło jęj o pozrywanie różnych węzłów, pętelek, węzełków i sznurków, które ją z różnych stron przytrzymywały. Jedne należało poprzecinać, drugie potargać, innym zwolna dać się rozwiązać.

W czasie częstych odwiedzin Amerykanina, przyjęć jego w domu Miry, uroczystości dawanych dlań, Orbeka swoim zwyczajem wysługiwał się pokornie, cicho, posłusznie, jakby niedomyślał się nawet, na czém się to ma skończyć.

Z powodu tego nowego konkurenta, narażony na wydatki nadzwyczajne, skubany ze wszech stron, nieustannie nasyłany kwitami i rachunkami, gonił już niemal ostatkiem.

Nadechodziła godzina, gdy stawszy się nieużytecznym, miał prawo być wyrzuconym za drzwi, aby nie zawadzał daremnie. On sam przeczuwał, że to już długo potrwać nie może.

Anna przez Sławskiego, zostającego w stosunkach z bankierem, u którego tymczasowo kapitał złożył w depozycie Orbeka, wiedziała już o jego wyczerpaniu. Dozór pilny nad nieszczęśliwym musiał być co dzień troskliwszym, gdyż nieuchronna katastrofa zbliżała się szybkimi krokami.

Przeciągnęło się jednak rozwiązanie kilka miesięcy, bo Orbeka wyczerpawszy grosz, a starając się przewlec odprawę, sprzedawał po cichu wszystko co miał, pożyczał, dokazywał cudów łapiąc pieniądze na wsze strony.

Tymczasem Mira po cichu też, przez protekcyę silną, wyrabiała sobie zamianę pensyi dożywotniej, którąby straciła przez pójście za mąż, na jednorazo-

wo wypłacić się mający kapitał. Dopóki to się jój wykonać nie udało, Amerykaninowi zamknęła usta, a starała się zimnego kupca rozkochać do szaleństwa. To się jój udało zupełnie. Jest-to pewnikiem, że kobiety, które same dla jakiegoś serdecznego kalectwa kochać nie mogą, najżywszą miłość obudzić, pielęgnować ją i do niezmiernej podnieść umieją potęgą.—Dla nich jest-to rzecz teoryi, rachuby, umiejętności z nieubłaganą logiką prowadzoną. Jak dobry doktor znają one symptomata, wiedzą jakie po sobie następują, co oznaczają, do czego prowadzą i na wszystko stosowne mają leki. Uśmiech, słowo, pocałowanie ręki, nawet dozy poufałości lub surowości, łaski i gniewu, ważą doskonale i mieszczą tak trafnie, by pożądany wywołały skutek.

Rzeczy się zbliżały do końca, mianowicie Mirze kapitał zapłacić, pan Chryzostom zgodził się na zrealizowanie dolarów na franki i przeniesienie do Paryża, pocziwy Walenty gorączkowo zajęty swą ruiną, niczego się nie domyślał, nie widział jeszcze. Jednego wieczora—gdy tego dnia właśnie Mira paręset dukatowy rachunek posłała była Orbecie z wierzycielem natrętnym, którego nie miał czém zapłacić, — p. Walenty przywłókł się do jój drzwi jak winowajca nieszczęśliwy.

Strapiony był okrutnie, wierzyciel, którego napróżno błagał o łaskę, powrócił do Miry z wymówkami, ta pobladła z gniewu i wściekłości prawie. — Kazała zawołać Orбекę, przyszedł jak na stracenie.

Wszyscy się byli rozeszli, nikogo w pokojach prócz niej i jego.

Zobaczywszy nieszczęśliwego stojącego w kącie, pobięła ku niemu znicierpliwioną, zagniewaną.

— Co to takiego jest? zawołała, dla czego Werner nie zapłacony?

— Nie miałem w tej chwili..... szepnął cicho Orbeka.

— Ale jakże możesz nie mieć! wiesz że mi pieniądze co chwila potrzebne.... że powinienś mieć zawsze gotówkę...

— Ale nie mam, nie mam już ani szeląga—odezwał się Orbeka ponuro — nie mam, bom oddał ci wszystko, wszystko...

— Mnie! mnie! a to zabawna rzecz! mnie! zawołała wpół szydersko.

Orbeka spojrzał na nią — osłupiał.

— Mnie! dodała—cóż to jest? jak to śmiesz mówić? Żyliśmy razem, expensowaliśmy wspólnie... Mnie! ale ja grosza twego nie widziałam... tyś oszalał chyba...

— Ależ zlituj się — odparł biedny — wszystkie wypłaty odsyłałaś do mnie.

— Jakie? jakie? mizerne tam, jakieś głupie, drobne rachunki, krzyknęła ruszając ramionami oburzona. Waćpan nigdy i większą mając fortunę nie umiałeś się rządzić, ja wiedziałam na czém się to skończy ten nieład. Kto chciał rwał z jego kieszeni. Jakto, już ze sprzedaży Krzywosielec nie ma nic? nie?

— Nie—ani szeląga—rzekł rozpaczliwie Orbeka, nie...

— A cóż ty teraz poczniesz? zapytała zimno, naiwnie kobieta, odstępując od niego.

Orbeka nie umiał odpowiedzieć na taki cynizm, udaną czy umyślną prostotę, nie było co odrzec, spuścił głowę.

Była chwila dziwnego, ponurego jakiegoś milczenia. Mira podeszła kroków parę i wróciła ku niemu.

— Zapomniałam panu powiedzieć — odezwała

się zmienionym, suchym głosem, że ja z baronem, (zrobiła go nim już na prędce) z baronem Klapką, który jest moim narzeczonym, wyjadę w tych dniach do Paryża.

— A ja? ja? spytał osłupiały Orbeka.

— Właśnie się pytam co waćpan ze sobą poczniesz?

— Nie wiem, rzekł Orbeka, nie wiem.

— Przecież powinienes się być domysłć, wiedzieć—że ja wychodzę zamaż?

— Zamaż! zamaż! powtarzał jakby nieprzytomny Walenty.

— Cóż w tém tak dziwnego?

— Dziwnego, tak, nie, szeptał przybity Orbeka, nie.

— Przecież waćpan sam mówiłeś mi tyle razy, że starą nie jestem, choć przedwcześnie starość udaję, juścić tak zostać nie mogłam.

Mówiła tak przerywano, śmiejąc się, łając, papłąc — ale Orbeka nie słyszał i nie słuchał... w głowie mu się zmyliło — uczuł że ten cios nowy uderzył go tak, iż przestał być panem woli i myśli — odwrócił się do drzwi machinalnie, powoli — i wyszedł.

Co się działo w jego biednym mózgu, jak doszedł do kroku, który zapewne za ostateczny ratunek uważał — trudno by było wytłómaczyć. Instynkt więcej niż rozum nim kierował. Zszedł ze schodów na dół zataczając się, jak pijany, postął chwilę sparty o bramę, potem włożył rękę do kieszeni, i znalazłszy w niej ostatnich pięć dukatów, które tegoż dnia był wziął za stary kameryzowany zegarek, zamysłony począł iść, coraz żywiej, coraz gwałtowniej, spiesząc... do domu gry...

Orbeka nie grał nigdy w życiu, myśl sprobowa-

nia się z losem, przychodziła mu po raz pierwszy.

Wszystkim naówczas znane były te niemal publiczne, otwarte dla każdego sale złote i srebrne, na których szalona gra, dzień i noc się nie przerywała. Chociaż to były niby prywatne czyjeś mieszkania, wchodził tam kto chciał, grał kto miał co postawić — ta tylko była różnica zaproszonych od nieznanych, że pierwszym gospodarz dawał kredyt, pomagał uprzejmie do ruiny, przyjmował od nich fanty, domy i dobra na słowo, inni grali gotówką.

Ludzie największych imion trzymali banki, i najpiękniejszych imion ludzie zgrywali się przy nich do koszuli. Nie jeden wchodził bogatym, a wychodził żebrakiem.

Orbeka trafił tym samym instynktem, który mu myśl nastroczył, do jednego z najznacześniejszych domów gry: znał nieco gospodarza. Tu nikt na niego nie zważał, przyszedł, chwycił kartę walającą się na ziemi i posunął na nią swoje pięć dukatów.

Oczy w nią wlepił, jak w tęczę, stał... wygrała raz... załaniał, wygrała drugi, przeszła trzeci... Naówczas, sam znów nie wiedząc jak chwycił inną kartę ze stołu, przerzucił całą wygranę... czekał. Szczęście mu wedle przysłowia służyło... podwoił wygranę jeszcze...

Była już ta summka dosyć znaczną by oczy zwrócić na niego; grał dalej, ciągle nieumiejętnie, ale gorączkowo, machinalnie, pod władzą jakiegoś natchnienia niezrozumiałego jemu samemu.

W kilku minutach zebrany pieniądz wyrósł na kilkaset, i na tysiąc dukatów.

Naówczas Orbeka wstał, zagarnął to złoto, odrzucił z niego jeszcze pięć dukatów, postawił je, przegrał i z zimną krwią zabrawszy resztę w chu-

stkę, cofnął się wśród śmiechu, nawoływania i żartów... Ale na szyderstwa, na łajania był jak kamień, pilno mu już było iść natychmiast... domysłu się łatwo dokąd. Branie zastał zamkniętą, dzwonił próżno, i wreszcie zmokły a zziębły powrócił mruczając do domu.

— Śmieszna rzecz, szeptał ciągle — śmieszna rzecz, odpędzać, kiedy ja mam jeszcze pieniądze, to nie może być ..

Był to już rodzaj oblężania, gdyż inaczej tego stanu duszy i umysłu nazwać niepodobna.

Wróciwszy do domu Orbeka rzucił złoto w szufladę, sam padł na łóżko, ale nie zasnął — myśli dziwne błąkały mu się po głowie — płakał.

Samo przypuszczenie, że ma ją utracić na zawsze, niewidzieć już nigdy — zabijało go. W ostatnich czasach tak był znowu nałogowo przyrósł do czarownicy, co nim jak sługą miotała, tak zgodził się ze swém smutném położeniem, tak nauczył być zawsze z nią, przy niej, czuć, że jej na coś służy i jest potrzebnym, — iż myśl rozstania równała się dla niego śmierci.

Niżej upaść już było niepodobna.

ROZDZIAŁ XIX.

Stanu téj duszy znękanéj, bliżej już śledzić, szczegółowiej malować nie widzimy potrzeby; była to choroba w tym wieku nieuleczona, śmiertelna. Nazajutrz zaledwie rozedniało, poszedł do Miry, zapłaciwszy wierzyciela Wernera i nie został przyjęty. Oddał kwit jego u drzwi, i niespokojny bie-

gał dzień cały, szukał innych wierzycieli, płacił długi, odnosząc do drzwi zamkniętych rewersa. Na żadną jednak z tych przesylek nie odebrał odpowiedzi, choć wszystkie rąk Miry dochodziły.

Ku wieczorowi, zostało mu jeszcze pięć dukatów jak wczoraj, z temi znowu pobiegł grać, postawił je gorączkowo i przegrał.

Na tém miejscu, gdzie mu już los ostatnią odebrał nadzieję, przesiedział nieruchomy do białego dnia. Grę skończono, wszyscy się porozchodzili, on siedział, widział przed sobą zawsze kupy złota, których nie było, i swoją kartę z pięciu dukatami niewyciągniętą, czekał... Powoli, znużony, z sił opadły, zsunął się na stół bezwładnie i ze zmęczenia i bólu, wpadł w jakąś rozgorączkowaną senność.

Dwóch ludzi nieprzytomnego już zupełnie, raczej zaniosło niż odprowadziło do domu.

Mira wzięwszy tego dnia właśnie ślub z Amerykaninem, pocztą wyjechała z nim do Paryża.

U łóża nieszczęśliwej ofiary znaleźli się teraz: Sławski, chroma Anulka i zacny doktor Lafontaine. Zbadawszy stan chorego, oświadczył lekarz smutnie, że mało miał nadziei, ażeby mógł przyjść do zdrowia. Łagodne obłąkanie, jak mgłą szarą, powlokło jego myśli.

Przez mgłę tę niekiedy zaświeciła krótka chwila przytomności, ale wprędce znowu biedny człowiek majaczył i plótł od rzeczy. I, jak to zwykle bywa w takich razach, w miarę zwiększającego się obłąkania wyzwalającego ciało, zdrowie cielesne znacznie się zaczęło polepszać. Orbeka zwolna nabierał apetytu i cery, dzieciinniał, tył, rumieniał, był prawie spokojnym. Większą część dnia znajdowano go uśmiechniętym, szczęśliwym, zobojętniałym zupełnie, jakby odmłodzonym. Wspomnienia przeszłości nie-

dogasłe, przychodziły mu jeszcze niekiedy pokruszone, z różnych lat, zawsze pełne najlepszych nadziei, a dziwacznie wpłątane w wypadki innej epoki.

Krzywosielce, pobyte we Włoszech, Warszawa, pierwsze Miry poznanie, powtórny pobyt w stolicy, nawet zapomniana żona i młodość wiązały się w tę mozaikę tém smutniejszą, że uśmiechnioną i jasną.

Godzinami układał karty, ciągnął sobie bank, zgarniał niby złoto i śmiał się, bo zawsze wygrywał, czasem Anna lub Sławski musieli mu służyć do téj niewinnej, a smętnej igraszki. Słuchał ich jak dziecię, ale się nie zdawał poznawać. Jedną Mirę pamiętał, mówił o niej i z pewną jej bronił logiką, utrzymując, że do niego powróci, że ją oczernili ludzie, że intryga ich rozdzieliła tylko, bo ona bez niego, jak on bez niej żyć nie może.

Medalion czarownicy malowany niegdyś przez Lesseu'a, który nosił ciągle na piersiach, kładł czasem przed sobą, prowadził z nim rozmowę, szeptał coś do niego i śmiał się. Nagle zrywał się znów, wołał starego Jasia, wybierał się do Krzywosielec, do lasów, a potem po chwili, żądał, aby go ubierano do podróży, dla spadku we Lwowie.

Sławski sądząc, że mu tém zrobi przyjemność, postarał się o fortepianik dla niego. Pierwszego dnia po przyniesieniu, Orbeka bardzo ciekawie mu się przyglądał, próbował, ale począł go po swojemu stroić, najdziwaczniej w świecie struny poodpuszczał, i dopiero na tak urządzonym grać usiadł z furją i zapalem, tak, iż w domu wytrzymać nie było można, dla straszliwego hałasu. Połamał klawisze, pokruszył młotki, porwał struny i został niemy klawikord, na którym już tylko myśl zdziwaczała grała melodye dla uszu ludzkich nieposłyszane.

... Po długiej często grze tej, oblany potem, znu-

żony, zesłabły, usypiał w krześle i bezwładnego na rękach przenoszono do łóżka.

ROZDZIAŁ XX.

Rok prawie przeżył on w takim stanie, Anna nieodstępowała go na chwilę, miała zawsze nadzieję, że Bóg go jeszcze uleczy, że czas mu przywróci stracone władze, upatrywała polepszenie gdzie go nie było, domagała się u lekarza promyka jaśniejszego, napróžno...

Wreszcie i ją to poświęcenie, ten żywot siostry miłosierdzia wyczerpał, jednego wieczora położyła się z gorączką i niewstała już więcej. Nędza, posty, smutek, znękanie odjęły jój siły, przesilenie skończyło się... śmiercią.

Sławskiego na nieszczęście nie było podówczas w Warszawie, został bowiem odkomenderowany jako inżynier na prowincyę; inni znajomi i przyjaciele lub niewiedzieli o Orbecie, albo byli rozproszeni, biedny obłąkany został na łasce losu. Przez jakiś czas gospodarz domu, u którego najęte było nędzne mieszkanie na tyłach w oficynie, przez litość miał o nim staranie, ale dnia jednego, gdy zabrakło dozoru, Orbeka przyodziawszy się, widząc samym, wysliznął na miasto i — już do swój izdebki nie powrócił.

Pierwsze kroki w ulicy stawiał niesmiało, ale nadzwyczaj pięknym wydał mu się świat otwarty, po długim jakby więziennym życiu. Siadł pod ścianą, wesół mu się zrobiło — począł się kłaniać przechodzącym, śpiewać trochę, i... po kilku dniach oswojenia się z brukowym życiem, z nocą na słocie, z ran-

kiem na chłodzie, z gwarem i ruchem a ciekawością chłopięcą — zszedł na znanego miastu, szalonego Walka, o którym dziwne opowiadano historye.

Prawdziwą jego biografią znało osób wiele, litowano się nad nim, ten i ów nieznacznie rzucił mu grosz jałmużny, czasem ktoś miłosierny nakarmił, niekiedy z politowaniem przemówić spróbował.

Żebractwo nawet uliczne protekcyonalnie wzięło go w opiekę. To babka szpitalna, to dziadek kościelny podzielili się z nim chlebem; podprowadził go ktoś gdy był mniej przytomnym i usadowił w bezpieczném miejscu, nad drogą.

Za groszaka, który spadł mu w czapkę, chłopak bułkę kupił i dał w rękę, bo wiadano, że szalony Walek sam już o sobie pamiętać i dać sobie rady nie może.

Pomimo tych niewygód, mimo wieku, ostrości klimatu, Orbeka był czerstwy, zdrów, silniejszy niż niegdyś za dobrych czasów, bo Bóg — jest litościwym.

EPILOG.

Zaprawdę powieść kończąca się tak dramatycznie, mogła by nas uwolnić od epilogu, gdyby była prostą powieścią, zmyślonym utworem wyobraźni, obrachowanym na zabawę i pociechę czytelnika, lub po Marmontelowsku moralną. Tymczasem prawda się domaga zakończenia takiego, jakie jęj Pan Bóg wyznaczył — dziwniejszego niż by się można spodziewać i wyglądającego na zmyślenie. Choćbyśmy więc posądzeni być mieli o dorobienie epilogu, minąć go niemożemy. Los często straszliwsze piąte akty tworzy od najzuchwalszych dramaturgów.

Szalony Walek od lat już, dwóch był znany, wszystkim na warszawskim bruku, a nawet bardzo popularnym. Kobiety szczególnie litowały się nad tą ofiarą miłości, jakiej już — niestety, — niespotykały! Wesoła twarz Walka, jego śmiejące się oczy, piosnki które nucił, postawa śmiała i nie bez pewnej jakiejś resztki szlachetności — obudzały dłań współczucie.

Nauczyli go żebracy chodzić do furty OO. Kapucynów na obiady i później sam się już machinalnie o godzinie zwykłej przywlekał. Na niczem, doli żebraczej potrzebnej, mu nie zbywało, gdyż nawet miłosierne dusze na zimę przyodziały go w ciepłe buty i starą kożuszykę. Można powiedzieć, że był prawie szczęśliwy, bo powoli wspomnienia przeszłości, coraz się w nim bardziej zacierały. Jedyłą myślą, która teraz w nim tkwiła, było, że jutro ma wziąć po stryju milionowy spadek; z tego obiecywał on każdemu kogo spotkał po tysiąc i po dwa tysiące dukatów.

Młódzież podochociwszy sobie, zapraszała go czasem do winiarni i poila biedaka, ażeby się z niego naśmiewać mogła, pocziwce co znali dzieje nieszczęśliwego, nieraz też nad nim zapłakali. Miał i chwile tryumfu niespodziane, gdy ożywiony winem węgierskim i na żart poprowadzony do klawikordu w winiarni, zagrał im po mistrzowsku, sam niewiedząc jak, jedną ze sonat Beethowena. Ale tryumf ten kończył się omdleniem i szaleń. Słowem, był to żywot dziwny, gorączkowy, ze snów i rzeczywistości spleciony.

Jednego letniego wieczoru, szalony Walek siedział pod kościołem Święto-Krzyżskim. Był tego dnia w przewybornym humorze, śpiewał francuskie piosnki, potem polskie, potem włoskie, które pochwytał w podróży, a gawiedź uliczna, do koła go obsta-piwszy, słuchała.

Pieśni i głos nie tyle może budziły zajęcia, co mimika wyborna, śmiała, pełna charakteru, która im towarzyszyła. Ruchami bowiem, czego w słowach i dźwięku muzyki brakło, dopełniał.

A im dłużej śpiewał, tem więcej zdawało się, że sam się pojąc pieśnią coraz bardziej, goręcej, zapalczywiej, nucił, poczynając co chwila nowe piosnki.

W tém zdala od Krakowskiej bramy począł się zbliżać, tocząc majestatycznie, po bruku powóz otwarty. Walek, którego oczy latały do koła, rzucił nań wejrzenie i jakby go co pochwyciło, podniosło — wstał nagle, wlepił zrenice strasznie, pochylił się, oddech zatrzymał — osłupiał.

W powozie siedziała naróżowana skandalicznie, wybielona i wytynkowana, otyła, pulchna, uśmiechnięta babina, prościej mówiąc, pani baronowa Klapka, cała w koronkach, w jedwabiach, w łańcuskach, bransoletach, piórach i tyftkach, spowita i pootykana, z bonończykiem na kolanach, a małżonkiem prawowitym u boku. Patrzała na miasto rodzinne z góry karety roztwartej, jak miłościwa pani i królowa, która uśmiechać się raczy swój ziemi.

Szalony Walek poznał ją, a w miarę jak mu na jej widok pamięć powracała, bladł, mieniał się. Gdy powóz zbliżył się ku kościołowi, nagle jakby piorunem ciśnięty, popędził doń, krzycząc:

— Mira! Mira!

Woźnica widząc odartego człowieka napadającego na ekwipaż, myślał, że ocali baronostwo od niebezpieczeństwa zacinając konie, żebrak znalazł się właśnie przed niemi, ręce miał podniesione, padł dyszlem przebity, a powóz lecąc pędem, przebiegł po obalonym..

Nikt nie myślał zatrzymywać państwa baronostwa dla tak błachej przyczyny, nie ich było winą, że sza-

lony sam się rzucił pod konie. Ubolewano nad tém, że baron Klapka i szanowna jego małżonka wystawieni byli na niebezpieczeństwo, gdyby się konie przestraszone zbiegały i uniosły. Ocalenie swe winni byli zręczności woźnicy, który został wspaniałomyślnie za to wynagrodzonym.

Skrwawionego i rannego mocno Orbekę, ubodzy i pachółkowie zanieśli do szpitala Św. Rocha.

Ucha baronowej (zwłaszcza że teraz nosiła bawełnę dla częstych fluksyj) czy doszedł wykrzyk znajomego głosu, czy poznała w odartym szaleńcu tego, którego pchnęła na bruk jak wyciśniętą owocu łupinę? — jest niedocieczoną tajemnicą.

To pewna, że ranny, z połamaniem żebrami Walenty, odzyskał na łóżu szpitalném przytomność, jakby cudem, a umarł w kilka dni potem, najprzykładniej przygotowany do téj uroczystej chwili.

Za ubogą jego trumienką o kiju poszedł jeden poczciwy Sławski, który się wypadkiem o tragicznej śmierci dowiedział...

Mira przeniosła się później do dóbr nabytych przez barona i zaszła w nią metamorfoza niespodziana wcale, na najcnotliwszą w świecie, a nawet niezmierniej surowości obyczajów matronę.

Kto ją znał niegdyś, ową wietrzną płochą, nienasyconą, rozrzutną, ledwie mógł oczom i uszom uwierzyć, widząc zatopioną w praktykach religijnych, skąpą, drobnostkową, formalistką i nieubłaganą w sądzie o najmniejszej płochostce niewieściej. Na dworze swym zaprowadziła rygor bezprzykładny, a sama była wzorem ostrości obyczajów i ścisłości w dopełnianiu przepisów wszelkich, kościelnych i społecznych.

Z onych dawnych lat pozostały ję tylko dwa niewinne przywyknienia: zamiłowanie cokolwiek śmiesz-

ne w tym wieku stroju, elegancyi, bielidła, rózu, dorabianych zębów i farbowanych włosów, i—upodobanie w grze, nad którą trawiła cały czas wolny od pacierzy i toalety. Grała we wszystkie gry, jakie naówczas były w użyciu. Lubiała przy tém stół wykwintny i trzymała kucharza Francuza, który pulpety i pasztety doskonale przyprawiać umiał.

Baron Klapka był z nią tak szczęśliwy iż z uwielbieniem i czcią największą, różami usłanym gościńcem, doszedł do końca żywota, dziękując Opatrzności za ten klejnot nieoceniony, który mu dała w nagrodę trudów i pracy.

Poprzedził on ją o kilka lat do grobu, zapisując cały swój ogromny majątek ubóstwianej baronowej.

Zjawili się naówczas na dworze jój, dotąd niewidziani krewni, kuzynowie po matce, ojcu, dziadzie, po mężach, po stryjach, a nie było prawie miesiąca, żeby się ktoś nowy nie przypomniał do pokrewieństwa.

Jakkolwiek bezinteresowną zapewne miłością i dowodami choć nieco spóźnionego szacunku otaczano matronę — przykrego zawodu doznać musiała familia jój, przekonawszy się, po zgonie, iż baronowa nie wielką do tych oznak poszanowania przywiązywać musiała uwagę.

Na dworze bawił od lat wielu znakomity lekarz, który miał staranie o zdrowiu staruszki i w szczególnych u niej był łaskach. Przewidywano wczesnie, że zapewne znaczny uczyni mu zapis, ale nikt się nie spodziewał, aby mu cały legowała majątek. Tak się jednak stało, z wyjątkiem drobnych darów dla sług, zapisu na msze i nabożeństwa, na wystawienie pomnika, na utrzymanie osieroconych Bonończyków, i t. p., cała fortuna Klapków dostała się doktorowi. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, iż napisał dobro-

dziejce swój nekrolog tak pięknie wystylizowany, tak rozczulający i umiejętnie zredagowany, iż wart był sam milionów, które zagarnął.

We trzy miesiące jednak po zgonie baronowej, ożenił się z jej panną respektową — na tém sądzę, iż powieść bezpiecznie zakończyć mogę.

Drezno Październik 1867 r.

Do D. Z. F.

Wczorajsza długa nasza wieczorna rozmowa jest przyczyną, że znowu popełnię — powieść, a co gorzej narażę się na zarzut, iż ją wymyśliłem pozazdrościwszy Marmontelowi jego moralnych historyjeku zbudowaniu ludzi, i poprawie grzesznego człowieka...

Ty jeden — gdyby to było możliwem — poświadczyc byś powinien przed niedowiarkami, jako wszystko com tu ułożył na te karty, jest co do litery prawdziwem, tobie bowiem mogłem zwierzyć imiona, daty i złożyć dowody, że nie tak być mogło, ale tak było w istocie.

Los stworzył i nakreślił sam ze swą nieubłaganą logiką ośnowę tego opowiadania, jam tylko farby narzucił i dotkał gdzieniegdzie porwane nici. Dlatego może powieść się wyda bardziej wymyśloną jeszcze, bo rzeczywistość — niestety — najczęściej dziwniejszą bywa jak marzenie i prześciga najbujniejszą fantazyą.

Z nią do czynienia mając, nieśmiałem nic ująć z tych scen, którebym może tworząc sam, tkanke inaczej pojął, wyraził, lub całkiem odrzucił.

Na twoje żądanie napisałem Orbeke trochę więc odpowiedzialności spada na cię, szanowny przyjacielu.

Jest-to w prawdzie studyum fizjologii patologicznej, — rzekłbym teratologii duchowej, stanu wyjątkowego — ale niemniej, choć ta choroba zwykle niedochodzi tak idealnych rozmiarów, niewyradza tak ostatecznych fenomenów — jest ona w lepszych stopniach pospolitszą niż się zdaje.

Każdy z nas znał w życiu choć jednego chwilowo może, ale ciężko na nią bolejącego.

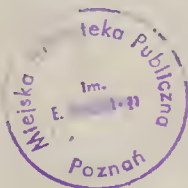
Czy się opowiadanie przyda na co tym nieszczęśliwym, to rzecz bardzo wątpliwa dla mnie? Może tylko obronić od puszczenia cugli namiętności, którą każdy mniema do pohamowania łatwą, nie widząc, iż każda godzina zwiększa jej siłę, a zmniejsza w nim potęgę oporu.

Z tém życzeniem puszczam w świat opowiadanie, jakkolwiek i ty i ja zgodziliśmy się na to, iż cudze doświadczenie a mniej jeszcze opowiadane, nacokolwiek się przydać może. Zawszeć jednak utkwie coś w człowieku, zostanie wrażenie choć słabe, i odczwie się w danej chwili.

Ze wszystkich wad powieści niepotrzebuję się tłumaczyć nie moje one są, ale z samej istoty jej płynął

Na tém posłanie moje kończąc, grzeczy na twoje zrucam sumienie.

K O N I E C.



10 1/2

Biblioteka Raczyńskich

JK2020



JK2020